

DZIŚ W MAGAZYNIE:

- Nad grobami bliskich każdy ma swoją opowieść i każdego dotyka samotność – str. 20-21
- Anna Matusiak: Zmiatamy śmierć po dywan, dlatego nie potrafimy spokojnie żyć – str. 22-23

magazyn
Puls

Dziennik Bałtycki



www.dziennikbaltycki.pl

Piątek-niedziela, 31.10-2.11.2025 • Nr 254 (24 615) // Rok 80 • Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

str. 12-14

Wspominamy zmarłych: w minionym roku
żegnaliśmy wiele osób zasłużonych dla regionu

Odeszli, ale zostawili po sobie ślad

s. 4

**Rozmawiamy
z Basilem Kerskim,
dyrektorem ECS
w Gdańsku**

s. 8

**Niezwykły ksiądz
z Pomorza: dyplomata
w służbie Stolicy
Apostolskiej**

s. 10-11

**Polska polityka znów
przyspieszyła: za nami
kongresy PiS oraz
Koalicji Obywatelskiej**

Nr ISSN 2353-6160 | Nr indeksu 350-028



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA

● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi

PONIEDZIAŁEK

● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu

WTOREK

● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze

ŚRODA

● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia

CZWARTEK

● Coś dla miłośników historii kryminalnych...

PIĄTEK

● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbałtycki.pl

Dlaczego Kościół walczy z Halloween? Od wielu lat przy okazji Wszystkich Świętych słyszymy z ust tego czy innego księdza katolickiego przestrogi przed zabawą w Halloween. „To narzędzie szatana, a demony i czarownice niosą ze sobą satanistyczne konotacje” – słyszymy. Na temat Halloween wypowiedział się nawet swego czasu papież Benedykt XVI, że „promuje kulturę śmierci”, a kilka lat temu także nasz gdański metropolita, a dziś najważniejszy dostojnik kościoła w Polsce, arcybiskup Tadeusz Wojda: - Halloween to pewna tradycja, która naszej kulturze Europy Środkowej jest zupełnie obca. Zrodziło się to na Zachodzie, w Wielkiej Brytanii. Jest to obciążone rytami celtyckimi i taką w cudzysłowie „zabawą” w duchy, co jest niebezpieczne. Duchy, a zwłaszcza te złe, mogą opłacać człowieka, o czym mówi Jezus w Ewangelii – głosił metropolita.

Początkowo myślałem, że księża walczą z Halloween, bo nie mają poczucia humoru. Większość z nas chyba przecież nie odbiera tego na poważnie, rozumiemy, że to pewna konwencja, teatr, popkulturowa zabawa. Dzieci i dorośli w czasie zabaw halloweenowych nie przebiegają się przecież tylko za diabły i stwory z piekła rodem, ale często także za postacie z popularnych horrorów. Bawimy się strasząc i chyba nawet księża to rozumieją. Więc o co chodzi?

Chyba o to, że przez wieki Kościół miał monopol na tajemnicę, śmierć i zaświaty. A teraz nagle ludzie wolą ubierać dzieci w kościotrupy, zamiast wysyłać je na różaniec, a dynia z wyciętym uśmiechem kon-

FELIETON
NA FALIMaciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”„NARZĘDZIE
SZATANA”
HALLOWEEN
ZE WSZYSTKIMI
ŚWIĘTYMI

kuruje z krzyżem o rząd dusz. I, o zgrozo, wygrywa wśród najmłodszych.

Może więc nie chodzi o to, że Halloween jest pogańskie, tylko że... jest fajne, wesołe, z elementem zabawy – czyli dokładnie to, co nie mieści się w schemacie „cierpi i pokutuj”?

I tu przyda się jeszcze jedno przypomnienie. Uroczystości Wszystkich Świętych 1 listopada, to nie jest wynalazek Kościoła Katolickiego, tylko święto, które zastąpiło święta, które obchodzone były przez ludy w całej Europie w czasach pogańskich. Kościół po prostu zaadaptował to co było wcześniej, tylko ubrał w nową formę.

Wcześniej np. ludy Europy Północnej obchodzili w tych dniach święta z okazji końca jesieni, a początku zimy, znanego np. na terenach irlandzkich jako Samhain. Kapłani celtyccy wierzyli, iż w dzień Samhain zacierała się granica między zaświatami, a duchom, zarówno złym jak i dobrym, łatwiej było się przedostać do świata żywych. Ważnym elementem obchodów Samhain było palenie ognisk, które miały przyciągnąć duchy dobre, a odgonić złe.

Z kolei ludy słowiańskie Europy Środkowej i Wschodniej, przed nadejściem chrześcijaństwa, obchodzili Dziady w no-

cy z 31 października na 1 listopada. Wyraz „dziad” oznaczał wtedy przodka, a tego dnia oddawano szacunek przodkom, wierząc, że tej nocy świat żywych i umarłych się styka i można nawiązać relacje z duszami zmarłych.

Słowianie, podobnie jak ludy Europy Północnej również tej nocy palili ogniska i prawdopodobnie pozostałością tamtych pogańskich zwyczajów są współczesne znicze zapalane na grobach.

Z kolei nazwa Halloween najprawdopodobniej jest skrótem od „All Hallows’ Eve”, czyli wcześniejszym „All Hallows’ Eve” – wigilia Wszystkich Świętych.

Dzisiejszy zwyczaj Halloween sprowadzili do Ameryki w XIX wieku imigranci z Irlandii, w których tradycji przetrwało zarówno święto katolickie, jak i celtyckie. Dzisiejsze halloweenowe zwyczaje takie jak np. dynia ze świeczką w środku, makabryczne kostiumy czy dziecięca zabawa w „cukierek albo psikus”, utrwaliły się w tradycji USA, a w XX i XXI wieku, za sprawą kultury masowej, dotarły także do innych państw świata.

Kościół więc w średniowieczu zaadaptował pogańskie święta na swoją modłę, a obecnie próbuje zaadaptować popkulturową zabawę. Wymyślił nawet akcję „Holy Wins” (czyli z angielska święci wygrywają), która brzmi podobnie jak Halloween, ale nawołuje do naśladowania świętych.

Nie wiem, czy taka adaptacja Kościołowi tym razem się uda i dzieci zamiast za wampiry, będą przebiegać się za męczenników kościoła z III wieku, ale próbować zawsze można.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

12°C
5°CWiatr zach.
24 km/hUwaga
Zachmurzenie duże

Sobota

12°C
10°CWiatr pld.
17 km/hUwaga
Przejściowe zachmurzenia

Niedziela

14°C
9°CWiatr pld.
9 km/hUwaga
Będzie deszczowo

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

– numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

– infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00

FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki
obiekt widać na fotogra-
fii?

Tym razem z powietrza uchwycony został fragment pewnego miejsca w Gdańsku. Podpowiemy tylko tyle, że na zdjęciu widać obiekt z urokliwego parku.

Tradycyjnie, rozwiązanie zagadki będzie można znaleźć w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbałtycki.pl oraz na redakcyjnym Facebooku. (AT)

KURSY WALUT

31.10.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48,
Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego,
Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	421/428 (+)	GBP	478/486 (+)
USD	361/368 (-)	CHF	453/460 (-)
GBP	478/486 (+)		
CHF	453/460 (-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	421/428 (+)
USD	361/368 (-)
GBP	478/486 (+)
CHF	453/460 (-)

(+): wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-): spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY

„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem:
jacek.wierciński@polskapress.pl

Jacek
Wierciński

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

POLITYKA

Abonament RTV zniknie?

Zniesienie abonamentu rtv, a w zamian finansowanie TVP i PR z budżetu; likwidacja Rady Mediów Narodowych i gwarancje apolityczności władz mediów publicznych – to niektóre z założeń projektu nowelizacji ustawy medialnej, który w czwartek przedstawiła minister kultury Marta Cienkowska.

Jeszcze w czwartek dokument trafi do Zespołu ds. Programowania Prac Rządu, a następnie do konsultacji publicznych i międzyresortowych – zapowiedziała minister.

Szefowa MKiDN wskazała, że projekt opiera się na trzech filarach: niezależność władz, stabilne finansowanie, ograniczenie wydawania prasy przez jednostki samorządu terytorialnego. Zapowiedziała także likwidację abonamentu radiowo-telewizyjnego, ponieważ, jak podkreśliła, jest on „absolutnie nieskuteczny”, nie zapewnia stabilnego finansowania mediów publicznych, a także jest „archaicznym tworem” i „bardzo słabo ściągana opłata”.
Zygmunt Francuski

ROCZNICA

Czochrański upamiętniony



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

W tym roku przypada 140. rocznica urodzin Jana Czochrańskiego, nazywanego ojcem współczesnej elektroniki. Z tej okazji zorganizowano akcję edukacyjną przypominającą sylwetkę tego wybitnego polskiego chemika i wynalazcy. W związku z tym jedna z lokomotyw została pomalowana na jego cześć.

PRZESTĘPCZOŚĆ

Szajka internetowa rozbita

Policjanci Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości rozbili międzynarodową zorganizowaną grupę przestępczą, która prowadziła nielegalne platformy inwestycyjne, wyłudając w ten sposób blisko 75 mln zł. Zatrzymano 11 osób.

Grupa przestępcza prowadziła nielegalne platformy inwestycyjne symulujące transakcje na rynku FOREX. W ra-

mach śledztwa, które objęło platformy Agricole Trade, Partner Groupe, Paribas Group, Global Maxis oraz Riva Financial Systems, policjanci ujawnili działania, które doprowadziły do wyłudzenia ok. 75 mln zł. Poszkodowanych jest blisko 1,5 tys. osób. Przestępcy działali też na terenie trzech miast w Ukrainie.
Zygmunt Francuski (PAP)

FUNDUSZE EUROPEJSKIE

Komisja Europejska poinformowała w środę o pozytywnym rozpatrzeniu trzeciego wniosku Polski o płatność z Krajowego Planu Odbudowy (KPO). Polska otrzyma 6,2 mld euro (26 mld zł). Według KE pieniądze te mają w szczególności być zainwestowane w edukację, rozwój cyfrowy, czystą energię i transport. Dotychczas Polska z KPO otrzymała 67 mld zł: 27 mld zł wpłynęło do Polski w kwietniu 2024 r.; 40 mld zł – w grudniu 2024 r.

”

Przed nami jeszcze tylko trzy przelewy z KPO, ich wartość przebieje 100 mld zł. Pieniądze trafią do Polski w przyszłym roku

Jan Szyszko, wiceminister funduszy, 30 października 2025 r.

Polskie samoloty poderwane z powodu aktywności Rosji

Beata Kulicka
Warszawa

Polskie myśliwce MiG-29 przechwyciły rosyjski samolot rozpoznawczy Il-20 nad Morzem Bałtyckim. Zamknięto też dwa porty lotnicze w kraju.

Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych (DORSZ) poinformowało w czwartek nad ranem o uruchomieniu „wszystkich dostępnych sił i środków pozostających w jego dyspozycji” w związku z rosyjskimi atakami na cele w Ukrainie.

Jak napisano, poderwane zostały dyżurne pary myśliwskie i samolot wczesnego ostrzegania, a naziemne systemy obrony powietrznej oraz rozpoznania radiolokacyjnego osiągnęły stan najwyższej gotowości. O zakończeniu operowania sił powietrznych w polskiej przestrzeni powietrznej DORSZ poinformowało po godz. 10.

Przebywający w Kartuzach wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz poinformował w czwartek o przechwyceniu przez polskie myśliwce MiG-29 rosyjskiego samolotu rozpoznawczego nad Morzem Bałtyckim.

- Dzisiaj MiG-i-29 przechwyciły rosyjski samolot rozpoznawczy nad Morzem Bałtyckim, tak jak wczoraj – powiedział szef MON.

Kosiniak-Kamysz podkreślił, że zagrożenie dla Polski jest ze wschodu, ze strony Federacji



FOT. MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE DORSZ

Rosyjski samolot rozpoznawczy Il-20 został przechwyciony przez polskie MiG-29 nad Bałtykiem

Rosyjskiej. - Kto dzisiaj prowadzi retorykę antyniemiecką, antyukraińską, budząc takie nastroje, działa wbrew interesowi państwa polskiego – mówił szef MON.

- Trzeba kompletnych dyletantów po drugiej stronie mieć albo cynicznych polityków wykorzystujących takie emocje, albo budujących takie emocje – dodał wicepremier.

W środę Dowództwo Operacyjne informowało o przechwyceniu we wtorek przez dyżurną parę polskich myśliwców MiG-29 rosyjskiego samolotu Il-20 realizującego nad Morzem Bałty-

kim misję rozpoznawczą w międzynarodowej przestrzeni powietrznej bez złożonego planu lotu i z wyłączonym transponderem.

Jak podkreślono, nie odnotowano naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej.

Równolegle polskie wojsko reagowało na działania rosyjskie na terenie Ukrainy. Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych przekazało w czwartek wczesnym rankiem na platformie X, że w związku z atakiem Federacji Rosyjskiej na obiekty znajdujące się na terytorium Ukrainy, trwa operowanie pol-

skiego i sojuszniczego lotnictwa w naszej przestrzeni powietrznej. Działania te, jak wskazywano, miały charakter prewencyjny i były ukierunkowane na zabezpieczenie przestrzeni powietrznej i jej ochronę, zwłaszcza w rejonach przyległych do zagrożonych obszarów.

Z kolei Polska Agencja Żeglugi Powietrznej (PAŻP) informowała zaś, że z powodu konieczności zapewnienia swobody operowania lotnictwa wojskowego lotniska w Radomiu i Lublinie zostały zamknięte na czas działań.

Lotniska zostały ponownie otwarte w czwartek po godz. 10 rano.

Władze ukraińskie poinformowały, że celem przeprowadzonych przez wojska rosyjskie z użyciem rakiet i ciężkich dronów uderzeniowych były obiekty energetyczne, głównie w zachodniej części kraju. Położonym najbliżej Polski obiektem infrastruktury energetycznej Ukrainy, który ostatniej nocy znalazł się pod zmasowanym atakiem Rosji, była elektrownia w mieście Dobrotwór, ok. 60 km na wschód od granicy.

Wojska rosyjskie zaatakowały także elektrownie w Kałuszu, który znajduje się niewiele ponad 100 km na wschód od polskiej granicy, oraz w Bursztynie (ok. 150 km od Polski); obie te miejscowości położone są w obwodzie iwanofrankowskim. PAP

Zarzuty dla Dariusza Mateckiego. Sprawa dotyczy Funduszu Sprawiedliwości. Poseł mówi o upolitycznieniu

Beata Kulicka
Warszawa

Prokuratura Krajowa skierowała w czwartek akt oskarżenia wobec ośmiu osób, w tym posła PiS Dariusza Mateckiego, w śledztwie dot. Funduszu Sprawiedliwości.

Jak przekazał rzecznik prokuratury Przemysław Nowak, Matecki jest oskarżony o popełnienie łącznie sześciu przestępstw.

Akt oskarżenia skierowano do Sądu Okręgowego w Szczecinie. Prok. Nowak przypomniał, że dotyczy on tzw. „wątku szczyńskiego, obejmującego nieprawidłowości przy organizacji trzech konkursów Funduszu Sprawiedliwości, które od początku były przeprowadzane w sposób zapewniający przyznanie wielomilionowych dotacji dwóm z góry wskazanym stowarzyszeniom: Stowarzyszeniu Fidei Defensor oraz Stowarzyszeniu Przyjaciół Zdrowia”.

W marcu tego roku prokuratura przedstawiła Mateckiemu zarzuty dot. popełnienia łącznie sześciu przestępstw zagrożonych karą do 10 lat pozbawienia wolności. Pierwsze trzy dotyczą współdziałania z funkcjonariuszami publicznymi z Ministerstwa Sprawiedliwości przy przekroczeniu uprawnień w związku z przeprowadzeniem trzech konkursów na dotacje z Funduszu w sposób „zapewniający ich rozstrzygnięcie na rzecz powiązanych stowarzyszeń Fidei De-

fensor i Przyjaciół Zdrowia” i przywłaszczenia środków w łącznej kwocie 16,5 mln zł.

Matecki ocenił, że zarzuty są „polityczne i wysrane z palca”. Zapowiedział też, że w najbliższych dniach będzie publikował dowody swojej niewinności i dokumenty odnoszące się do zarzutów prokuratury. Powiedział ponadto, że nigdy nie decydował o wydatkowaniu pieniędzy z Funduszu i nie otrzymał z niego żadnych środków. PAP

LUDZIE Z POMORZA

Janusz Urbańczyk urodził się w Kraszewie – wiosce leżącej między lotniskiem wojskowym a Starym Polem. Gdy widział nad głową samoloty odrzutowe z pobliskiej bazy, nie sądził, że kiedyś też wyfrunie w świat jako duchowny. Życie tak się ułożyło, że obecnie jest nuncjuszem apostolskim w Zimbabwie, ustanowiony jeszcze przez poprzedniego papieża – Franciszka **STR. 8**



FOT. RADOŚLAW KONCZYŃSKI

STYL ŻYCIA

Meksyk jest zupełnie inny, to inny wymiar
Aktor Krzysztof Żabka wybrał nietypową zawodową drogę: sprawdza się teatralnie w Meksyku – kraju, gdzie wszystko działa odmiennie niż w Polsce **STR. 18**

GDAŃSK, BAGDAD, BERLIN, DÜSSELDORF. MÓJ DOM MA WIELE ADRESÓW

Po piętnastu latach kierowania Europejskim Centrum Solidarności Basil Kerski kończy swoją kadencję. W rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim” opowiada o kryzysie mediów, lekcjach Jerzego Giedroycia, roli Pawła Adamowicza i o tym, dlaczego ECS to coś więcej niż tylko muzeum

Marek Sterlingow

Marek Sterlingow: Na pana biurku leży „Tygodnik Powszechny”, „Der Spiegel” i „Foreign Affairs”. To pisma, które powinien czytać każdy inteligent?

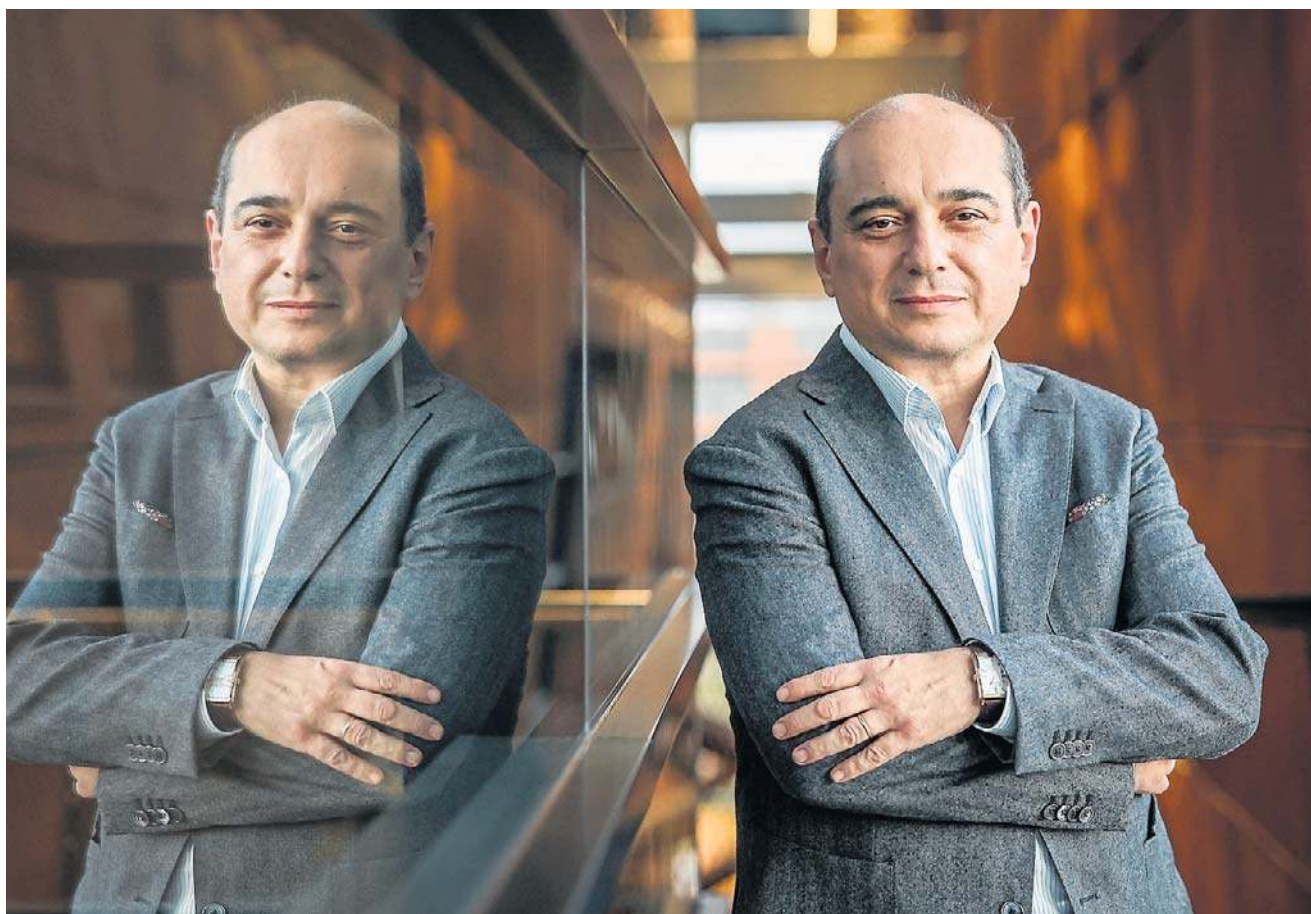
To położymy tutaj jeszcze magazyn „Dialog”, wydawany w Berlinie i Gdańsku. Po dwudziestu siedmiu latach kończy się tam moja praca jako redaktora naczelnego.

„Dialog” to nietypowe wydawnictwo. Teksty drukowane są równocześnie po polsku i po niemiecku.

I jeszcze jeden magazyn dołożę „Przegląd Polityczny”. To dla mnie bardzo ważne gdańskie czasopismo. Tam szefem jest od 35 lat Wojciech Duda, a ja raczej jestem redaktorem dochodzącym. Czytam prasę jako normalny konsument mediów, ale też jako redaktor. Wypracowałem w sobie taki instynkt. Obserwuję świat jak redaktor, łączę wątki, wążam tropy jak pies. „Der Spiegel” to chyba najlepszy tygodnik w Europie, ostatni taki. A z „Foreign Affairs” dowiaduję się, jak działa świat.

Nakłady prasy drukowanej są już tylko symboliczne. A w internecie trudno odnaleźć wartościowe teksty. Media są w kryzysie.
Obserwuję, jak wytrzymują tę presję.

I jak?
W 2011 roku, kiedy zacząłem odpowiadać za instytucję pu-



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

Basil Kerski, rocznik 1969 - syn Polki i Irakijczyka, urodzony w Gdańsku, mieszkał w Gdańsku, Bagdadzie i Berlinie. Menedżer kultury, redaktor, politolog i eseista

bliczną w Polsce, odkryłem ze zdumieniem, że szeroko stosowaną praktyką jest udzielanie płatnych patronatów medialnych. Firmy czy instytucje nie po to inwestują pieniądze we współpracę z mediami, żeby dowiadywać się o sobie przykrych rzeczy. Minimum to do-

pilnowanie, żeby o mnie źle nie pisano.

A maksimum?

Moją pasją jest Gdańsk, szczególnie centrum miasta i tereny stoczniove. Obserwowałem w ostatnich latach, jak wszyscy inwestorzy przez patro-

naty medialne kupowali sobie po kolei wszystkie media. Proszę popatrzeć za okno. Kilka metrów od ECS stanął właśnie wielki apartamentowiec. I nikt z mediów nawet tego nie próbuje krytykować, pod względem urbanistycznym i estetycznym.

Deweloperzy to poważni reklamodawcy. Nikt nie będzie wchodził im w drogę.
Dokładnie. My codziennie otwieramy te media i wierzymy, że najważniejsze jest, w jakim humorze obudził się Jarosław Kaczyński i co na X-ie napisał Donald Tusk. Albo czy

Angelina Jolie już pogodziła się z Bradem Pittem.

Oni się już chyba nie pogodzą.
Ale to nie jest rzeczywistość ważna. To jest tylko rozrywka, odwracanie uwagi od istotnych wyzwań.

To może od początku. Urodził się pan w Gdańsku, dorastał w Iraku i Berlinie Zachodnim.
Moja matka jest gdańszczanką, ojciec pochodzi z Iraku. Studiował tutaj medycynę.

Skąd wzięło się pana imię?
Mój ojciec pochodził z rodziny niewierzącej. Religia kojarzyła się im z feudalizmem arabskim, więc dzieciom nie nadawano imion religijnych. Irak to kołębka naszej cywilizacji, Mezopotamia, i antyczna kultura powiązana z światem śródziemnomorskim. Mój dziadek miał na imię Kamil – jak nasz Kamil, od Camillus. Ojciec wybrał dla mnie imię Basil, od greckiego Basileus, taki ukłon wobec Aleksandra Macedońskiego, który zmarł w Babilonie Ale kiedy się urodziłem, urzędnik PRL-owski uznał, że takie imię nie może istnieć. Skreślił literę „i”. I tak powstał „Basl”. Przez lata walczyłem o poprawną formę. Dziś w dokumentach mam wreszcie „Basil”. Ale się nie upieram się. Jak ktoś się pomyli i powie „Bazyli” albo „Bazyli” też dobrze. Wszystkie polskie wersje mojego imienia Basil są prawdziwe.

Dokończenie na str. 6

Finansowe wsparcie dla polskich pszczelarzy

W Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa ruszyła właśnie czwarta edycja programu pomocy dla polskich pszczelarzy, który finansowany jest z Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027. Nabór wniosków potrwa do 28 listopada 2025 r.

Pszczelarstwo jest jednym z najstarszych zajęć człowieka. Początkowo korzyści z chowu pszczoł upatrywano w możliwości pozyskiwania większej ilości miodu. Musiały minąć wieki, by ludzkość zdała sobie sprawę, że niezastąpioną rolę tych małych owadów jest zapylanie roślin, że dzięki ich pożytecznej pracy rosną plony zbóż, a drzewa i rośliny uprawne wydają owoce i nasiona, co bezpośrednio wpływa na łańcuchy pokarmowe i produkcję rolniczą.

W Polsce owady zapylające, wśród których 90 proc. stanowią pszczoły, odpowiadają za zapylanie około 80 proc. roślin. Z danych Najwyższej Izby Kontroli wynika, że korzyści z zapylania roślin uprawnych przez pszczoły szacowane są w naszym kraju na kwotę od 4,1 do 7,4 mld zł rocznie. Z kolei wartość tego wkładu pracy dla całej Unii Europejskiej określana jest, według informacji Komisji Europejskiej z 2024 r., na poziomie około 15 mld euro. Według danych Inspekcji Weterynaryjnej w Polsce w 2024 r. było 99 tys. pszczelarzy, co oznacza wzrost o 2,4 proc.

w porównaniu do 2023 r. i o 96 proc. w stosunku do roku 2011. Średniej wielkości gospodarstwo pasieczne w kraju w 2024 r. posiadało ponad 24 rodziny pszczele. Systematycznie zwiększająca się liczba pszczelarzy i pni pszczele to dowód na duży potencjał sektora pszczelarstwa w Polsce. Jednym z decydujących czynników w rozwoju tej branży są unijne programy pomocowe. Podobnie jak inne sektory polskiego rolnictwa, po 1 maja 2004 r. pszczelarstwo zostało objęte narzędziami wsparcia dostępnymi w ramach Wspólnej Polityki Rolnej, w tym działającym od 1997 r. w Unii Europejskiej mechanizmem „Wsparcie rynku produktów pszczele”.



FOT. ADOBE STOCK

Na jego bazie państwa zainteresowane tą formą pomocy opracowały trzyletnie, krajowe plany wsparcia branży pszczelarstwa, które mogły wdrażać po akceptacji Komisji Europejskiej. Polska realizowała Krajowe Programy Wsparcia Pszczelarstwa od 2005 do 2022 r. Do 2017 r. odpowiedzialna była za to Agencja Rynku Rolnego, a po jej likwidacji Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolniczego, który przyjmował i oceniał projekty złożone przez pszczelarzy. Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa przypadła rola płatnika środków dla pozytywnie zweryfikowanych wniosków.

UNIJNA POMOC RAZY SIĘDEM

To się zmieniło w nowej unijnej perspektywie budżetowej. Teraz to Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa jest jedyną instytucją realizującą – od przyjęcia wniosku, przez jego ocenę, do wypłaty środków – europejski program wsparcia pszczelarzy. W Planie Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027

przygotowano dla branży pszczelarstwa siedem rodzajów pomocy, tzw. interwencji. 24 października 2025 r. ruszył w ARiMR czwarty nabór wniosków o wsparcie w ramach tych interwencji, który potrwa do 28 listopada 2025 r. Na co konkretnie można otrzymać pieniądze?

Wsparanie podnoszenia poziomu wiedzy pszczelarstwa (I.6.1)

Ta oferta dofinansowania skierowana jest do organizacji pszczelarskich oraz jednostek doradztwa rolniczego. Wsparcie można otrzymać na organizację szkoleń dotyczących m.in. prowadzenia gospodarki pasiecznej, chorób pszczoł, pożytków i produktów pszczele. Koszty kwalifikowane zostały w tym przypadku szczegółowo określone, a refundacji podlegać może nawet 100 proc. poniesionych wydatków.

Inwestycje, wspieranie modernizacji gospodarstw pasiecznych (I.6.2)

O ten rodzaj wsparcia mogą ubiegać się indywidualni pszczelarze oraz – w ich imieniu – organizacje

pszczelarskie. Pomocą finansową objęty jest zakup nowego sprzętu pszczelarskiego, maszyn i urządzeń wykorzystywanych na potrzeby gospodarki pasiecznej, np. miodarek, odstojników oraz uli lub ich elementów. Refundacja wynosi do 50 proc. poniesionych kosztów netto i nie może przekroczyć 100 zł na jeden pień pszczele (maksymalnie 15 tys. zł w danym roku pszczelarskim).

Wsparanie walki z warrozą produktami leczniczymi (I.6.3)

O środki finansowe w ramach tej interwencji mogą ubiegać się w imieniu pszczelarzy zrzeszające ich organizacje, jak również indywidualni pszczelarze. Przeznaczenie tych pieniędzy to zakup warrobojczych produktów leczniczych – nie tylko weterynaryjnych, lecz także tych zawierających substancje czynne dopuszczone do stosowania w gospodarstwach ekologicznych. Zwrotowi podlega do 90 proc. kosztów netto.

Ułatwienie prowadzenia gospodarki wędrowniej (I.6.4)

W tym przypadku pomoc jest skierowana wyłącznie do indywidualnych

pszczelarzy. Realizowane z dofinansowaniem inwestycje muszą dotyczyć zakupu nowego sprzętu, maszyn i urządzeń wykorzystywanych na potrzeby gospodarki wędrowniej, m.in. wag pasiecznych czy przyczep do przewożenia uli. Refundacja wynosi do 50 proc. kosztów netto. Natomiast limit wsparcia ustala się na podstawie wielkości gospodarstwa pszczelego. 150 zł na jeden pień pszczele otrzyma hodowca, który ma ich od 25 do 149. Tych pszczelarzy, którzy mają co najmniej 150 pni, obowiązuje stawka 200 zł. Jednak w sumie nie mogą oni otrzymać więcej niż 40 tys. zł.

Pomoc na odbudowę i poprawę wartości użytkowej pszczoł (I.6.5)

Wnioski mogą składać w imieniu pszczelarzy zrzeszające ich organizacje, jak i indywidualni pszczelarze. Wsparciem objęty jest zakup: matek pszczele z linii hodowlanych, dla których prowadzone są księgi lub rejestry; odładow lub pakietów pszczele z matkami pochodzącymi z linii hodowlanych; a także odładow lub pakietów pszczele od producentów, którzy uzyskali rekomendację związków lub zrzeszeń pszczelarzy. Refundacji podlega do 70 proc. kosztów netto, natomiast maksymalna kwota pomocy na beneficjenta to 10 tys. zł.

Wsparcie naukowo-badawcze (I.6.6)

Ten rodzaj pomocy adresowany jest do jednostek naukowo-badawczych, które zajmują się tematyką pszczelarską. Dofinansowanie – w maksymalnej wysokości 80 tys. zł na jednego beneficjenta w danym roku pszczele – obejmuje prace poświęcone zdrowiu pszczoł, jakości produktów pszczele i innowacjom w gospodarce

pasiecznej. Refundacja wynosi nawet 100 proc. kosztów netto.

Wsparanie badania jakości handlowej miodu oraz identyfikacja miodów odmianowych (I.6.7)

Także w tym przypadku wnioski mogą składać wyłącznie indywidualni pszczelarze. Wsparcie można przeznaczyć na zakup analiz fizyko-chemicznych miodu lub analizy pyłkowej miodu. Refundacji podlega do 90 proc. kosztów netto, a limit wynosi 10 tys. zł.

PSZCZELARZE SKŁADAJĄ WNIOSKI

Wnioski w ramach wszystkich naborów z PS WPR 2023-2027 Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa przyjmuje wyłącznie drogą internetową. A to oznacza, że również ubiegający się o wsparcie pszczelarze i ich zrzeszenia dokumenty mogą składać tylko za pośrednictwem Platformy Usług Elektronicznych ARiMR. Pierwszy nabór wniosków dla sektora pszczelarskiego z PS WPR 2023-2027 został przeprowadzony wiosną 2023 r. Można było się wówczas starać o wsparcie w ramach trzech interwencji: I.6.2, I.6.3 i I.6.5. Dofinansowanie w kwocie ponad 41 mln zł trafiło do około 38 tys. pszczelarzy. Pełną parą program ruszył na przełomie lat 2023-2024, gdy odbył się nabór obejmujący wszystkie siedem interwencji. Tym razem ze wsparcia finansowego skorzystało blisko 39 tys. pszczelarzy, którym ARiMR wypłaciła 39,3 mln zł. Trzeci nabór wniosków jest właśnie rozliczany przez ARiMR, stąd brak na razie ostatecznych danych. Ze statystyk Agencji wynika, że do tej pory największym zainteresowaniem pszczelarzy cieszy się interwencja I.6.2, czyli inwestycje związane z modernizacją gospodarstw pasiecznych.



Dokończenie ze str. 4

Jak trafił pan do paryskiej „Kultury”?

Moi rodzice tułali się po świecie. Jak byłem mały spędziłem trochę lat w Iraku, potem trafiliśmy znów do Polski, by w końcu wylądować w Zachodnim Berlinie. Studiowałem w Berlinie na Wolnym Uniwersytecie, szukałem polskich książek, bo chciałem rozumieć kraj, w którym się urodziłem. W bibliotece Instytutu Europy Wschodniej znalazłem kilka roczników „Kultury”. I nagle zobaczyłem Polskę, jakiej nie znałem: otwartą, europejską, racjonalną. Zachwyciła mnie forma: polityka obok dzienników, proza i poezja obok komentarza. Rytm miesięcznika, kosmopolityczny ton, zero zadęcia, zero kompleksów. Później poznałem w Berlinie współpracownika „Kultury” Leszka Szarugę, poetę, eseistę, syna pochodzącej z Gdańska pisarki Marii Kureckiej i poety Witolda Wirp-szy. To on namówił mnie, że bym napisał tekst o polsko-niemieckim pograniczu. Artykuł ukazał się w 1994 roku w „Kulturze”, a kilka tygodni później dostałem list od Jerzego Giedroycia.

I tak zaczęła się wasza współpraca?

Tak. Poprosił mnie o kolejny tekst – o wyborach do Bundestagu. Pisałem po polsku, choć nie czułem się w tym języku pewnie. W końcu pojechałem do Maison-Laffitte pod Paryżem. Słyszałem, że Giedroyc jest chłodny, że nie lubi kontaktów z młodymi.

A tu niespodzianka.

Spotkałem człowieka ciepłego, z poczuciem humoru, bardzo uważnego. Połączył nas Irak. Był żołnierzem Armii Andersa, spędził tam rok podczas drugiej wojny światowej. Opowiadał o dominikanach francuskich w irackim Mosulu, którzy pomagali Polakom. A ja mówiłem, że moja iracka rodzina też pamięta polskich żołnierzy Andersa. I tak zaczęła się nasza relacja.

Czego pana nauczył?

U niego polityka i literatura się przenikały. I najważniejsze: Polska nie jest samotną wyspą. Giedroyc był realistą – wiedział, że bez pojednania z Niemcami i niepodległości Ukrainy nie będzie niepodległej Polski. Mówił, że prawdziwy patriotyzm polega na tym, by widzieć innych.

ECS to w pewnym sensie instytucja z ducha Giedroycia. Można tak powiedzieć.**Kto wymyślił Europejskie Centrum Solidarności?**

Musimy cofnąć się do 1995 roku. Zupełnie przypadkiem



Basil Kerski w bibliotece ECS: Solidarność chciała uczestniczyć w projekcie, ale od początku z dystansem. Twierdziła, że prawdziwe miejsce pamięci to sala BHP

akurat przy tym, byłem. Do Berlina jedzie wtedy delegacja z Pomorza: wicewojewoda Józef Borzyszkowski, jego asystent Cezary Obracht-Prondzyński, pisarz Paweł Huelle i młody przewodniczący Rady Miasta Gdańska. Wygląda jak student. Jest wysoki i chudy.

Paweł Adamowicz.

Właśnie. Paweł Huelle dzwoni do mnie wtedy i zaprasza na spotkanie autorskie w Instytucie Polskim w Berlinie. Dopiero wiele lat później dowiaduję się, że dla Pawła Adamowicza to był ważny moment. Tego dnia odwiedził też prywatne Muzeum Muru Berlińskiego. To taka społeczna inicjatywa Rainera Hildebrandta, poświęcona walce z komunistycznym zniewoleniem.

Zrobiło to na Adamowiczu aż takie wrażenie?

Nie zachwyciła go forma, na tej wystawie był wielki bałagan. Ale urzekła go idea: opowieść o pokojowej walce o prawa człowieka, od Gandhiego po Wałęsę, taki był też tytuł jednej z ekspozycji w tym muzeum. Pomyślał: to jest to, to jest ta uniwersalna opowieść. Zaczął się też obawiać, że wkład Solidarności w przemianę Europy zostanie

powoli zapomniana, że zdominuje opowieść o upadku żelaznej kurtyny, muru berlińskiego.

Parę lat później został prezydentem Gdańska.

Ale ECS nie powstało od razu. W 2005 roku na 25-lecie Solidarności Paweł Adamowicz razem z Bogdanem Lisem, przy współpracy z rządem Marka Belki i prezydentem Aleksander Kwaśniewski zaprosili do Gdańska światowych przywódców. Podpisano wtedy na placu Solidarności przy Pomniku Poległych Stoczniovców deklarację o utworzeniu ECS. Symboliczny gest, ale bez zobowiązań finansowych. Ale powoli, głównie dzięki Adamowiczowi powstawały zasady tej instytucji. Po pierwsze: upamiętniamy rewolucję Solidarności nie przeciwko innym, lecz jako część europejskiej historii wolności. Niemcy mają Mur Berliński, Czesi swoje do-

świadczenie, Ukraińcy swoje ruchy praw człowieka, my mamy Solidarność. Adamowicz chciał, żeby ECS był miejscem, w którym te wszystkie wątki się spotykają. Bo bez odważnych kobiet i mężczyzn z innych krajów nasza rewolucja Solidarności by ostatecznie nie zwyciężyła. Europejskie rewolucje wolności lat 1989-1991 przyniosły upadek imperium sowieckiego, przyniosły nam niepodległość.

Co jeszcze wniósł Adamowicz?

Zamienił ideę muzeum w instytucję kultury, która ma się zajmować wartościami zagrożonymi. Już w 2007 roku rozumiał, że solidarność to nie tylko przeszłość, ale coś, co trzeba chronić dla przyszłości.

Jak rozumiał tę ideę?

Nie jako coś narodowego czy ekskluzywnego. Solidarność to myślenie o innym, to uniwersalna idea oparta o pra-

wach człowieka. To fundament praworządności i pokoju. Gdy zamykamy się we własnej wąskiej wspólnotce, tracimy sens solidarności.

Adamowicz widział siebie jako Europejczyka?

Tak, oczywiście. Był gdańszczaninem, Pomorzanie, Polakiem i Europejczykiem – i widział te tożsamości jako spójny organizm. One się nie wykluczają. Nie ma wolnej Polski bez solidarnej Europy. Nie ma Polski bez jej samorządności. Takie myślenie polityczne to esencja rewolucji Solidarności.

ECS miał też znaczenie obywatelskie, prawda?

Oczywiście. Publiczne instytucje kultury, finansowane z publicznych pieniędzy, mają też obowiązek kontroli w demokracji. Obserwujemy, czy ponadczasowe wartości naszej demokratycznej rewolucji Solidarności są utrzymywane.

Dla wielu ECS to po prostu muzeum Solidarności.

I w pewnym sensie mają rację, bo sercem ECS jest wystawa stała. Rada Europy przyznała w 2015 roku ECS swoją prestiżową Nagrodę Muzealną, uznała, że jesteśmy jednym z najlepszych muzeów na naszym kontynencie. Ale ECS to więcej: instytucja kultury, agora, miejsce rozmowy o demokracji. Adamowicz stworzył coś bardzo gdańskiego, lokalnego, a jednocześnie europejskiego.

Instytucja formalnie powstaje dwa lata później.

Tak, w 2007 roku. I to znów była wizja Pawła Adamowicza. Nie chciał, żeby ECS był tylko miejską instytucją. Wciągnął do projektu ministra kultury Kazimierza Michała Ujazdowskiego z rządu Jarosława Kaczyńskiego, a także marszałka województwa i związek Solidarność. Chciał, by ECS miał ogólnopolski wymiar.

Jakieś trudności w końcu nadeszły.

Solidarność chciała uczestniczyć w projekcie, ale od początku z dystansem. Twierdziła, że prawdziwe miejsce pamięci to sala BHP. Jasne, Sala BHP jest autentyczna, nikt tego nie kwestionuje, ale ECS miał być czymś więcej.

Do tego doszły problemy finansowe.

Miasto zostało z kosztami?

Dokładnie. Gdańsk wziął na siebie ciężar wybudowania siedziby i podstawowe koszty stałe. Choć pojawiły się środki unijne, pokryły tylko połowę inwestycji. Resztę, musiał wyłożyć samorząd. I zaczęła się znana dyskusja na temat siedziby ECS: po co to, dla kogo to?, czy to nie za drogie, za duże?, a przecież mówimy o miejscu, które miało opowiadać o jednym z najważniejszych momentów w historii Polski.

To takie typowe. Wszyscy zgadzają się, że trzeba pamiętać o historii, ale nikt nie chce za nie płacić. Kto wtedy pomógł ECS-owi?

Ogromną rolę odegrał marszałek Bogdan Borusewicz. To on stworzył w parlamencie swoje lobby na rzecz ECS. Ale ta walka o pieniądze trwała latami. I nie chodziło tylko o spory polityczne. To raczej brak systemowego myślenia o instytucjach pamięci.

Czego dotyczyły pierwsze problemy?

Kiedy przyszedłem do ECS-u, zobaczyłem, że istnieje napięcie między pokoleniami. Dawni działacze Solidarności: Lech Wałęsa, Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Mirosław Chojecki. Obawiali się, że młodsze pokolenie przejmie i przeinaczy ich historię. Mieli traumę po atakach takich historyków młodszej generacji jak Paweł Zyzak czy Sławomir Cenckiewicz na ich godność. Byli ostrożni, nieufni wobec młodych. A ja wtedy nie do końca rozumiałem, jak głęboko ta nieufność jest uzasadniona.

Nie przywitali pana z otwartymi ramionami?

Przeciwnie. Była cała kampania przeciwko mnie. Chcieli, żeby dyrektorem został Bogdan Lis. To człowiek z ich pokolenia, sprawdzony już w czasie wspólnej walki z dyktaturą, mieli do niego zaufanie. Lis robił konferencje prasowe, na których próbował udowodnić, że byłem ustawionym kandydatem

A kto był w komisji konkursowej, która w 2011 przesłuchiwała kandydatów na dyrektora ECS?

NIE WYPROWADZAM SIĘ Z TRÓJMIASTA. MIESZKAM W GDYNI, CHCĘ TU BYĆ, WSPÓŁPRACOWAĆ Z ECS PRZY PROJEKTACH MIĘDZYNARODOWYCH

Z łatwością mogłem przegrać to głosowanie. Bardzo pluralistyczne było. W komisji byli między innymi Wojciech Polak, Andrzej Friszke, Jacek Taylor. Było przecież aż sześciu kandydatów. Ja bym nie podpisał umowy, gdyby nie wynik, bo dostałem 6 z 9 głosów poparcia. Pomyślałem sobie, o to jest solidny mandat, moja wizja ECS przkonała.

Kiedy ten konflikt się skończył?

Mieliśmy takie spotkanie w Sejmie wiosną 2011 roku. Przyjechałem z moimi zastępcami, między innymi z Patrycją Medowską. Zaczęli mnie wypytać, po co to robię, jaki mam pomysł. I po godzinie Władek Frasyniuk powiedział: dobra, ty nie masz wyjścia, my nie mamy wyjścia, musimy być teraz jedną drużyną. Bierziesz odpowiedzialność za wszystko.

Za instytucję, budżet? To chyba oczywiste?

Nie. Oni mieli na myśli coś bardziej zasadniczego, za dziedzictwo Solidarności.

To dużo.

Byłem reakcją Władka zaskoczony. Wydawało, że przecież u nich jest to dziedzictwo, ja nie muszę niczego brać. Dzisiaj rozumiem, co miał na myśli, że nie da się tego rozdzielić

i dlatego było takie napięcie. No nie da się stworzyć tego miejsca z tą ideą bez głębokiego stosunku do rewolucji Solidarności, zrozumienia misji tego tak ważnego dla naszej demokracji ruchu.

Te ataki z ich strony ustały?

Lech Wałęsa mi potem powiedział: wie pan, ja pana nie znałem, ustawili mnie, dlatego dystansowałem się, ale ja nie mam z panem żadnych problemów. To spotkanie miało pozytywne konsekwencje. Wszyscy oni to teraz bardzo bliscy sojusznicy ECS. Bardzo blisko z Wałęsą, Lisem czy Frasyniukiem współpracuję.

Ataków było więcej. Zarzucono panu, że jest pan Niemcem.

Z tym spotykam się do dzisiaj. Próbowano podważyć tym hasłem nie tylko moje kompetencje, ale także mój polski patriotyzm. Te ksenofobiczne ataki przeciwko mnie i innym Polkom i Polakom, którym są bliskie wartości uniwersalne praw człowieka, dyskredytują te osoby, które są ich autorami.

Czuje pan, że ECS jest wyjątkowy?

Coraz bardziej. To miejsce żyje.

To prawda. Któregoś dnia wchodzę do windy i widzę

Lecha Wałęsę jak jedzie do swojego biura. Potem widzę Adama Michnika, jak idzie korytarzem a obok turystów z Anglii ze słuchawkami na uszach. A do tego trwa w ogrodzie trawa jakieś spotkanie kobiet. Fascynujące.

Spotykają się tu ludzie z różnych światów, a każdemu chcemy zapewnić miejsce. Robimy dużo rzeczy sami, ale i udostępniamy naszą przestrzeń wszystkim, którzy tego potrzebują. Czasami wynikają z tego nieporozumienia, zwłaszcza, gdy ktoś próbuje coś ugrać politycznie. Ale to nic wielkiego. Powiedziałbym, że jest to naturalne. Choć bywają różne sytuacje.

Na przykład?

Kiedyś przez wiele tygodni przesiadywała u nas pewna Norweżka. Raz siedziała w ogrodzie zimowym, innym razem na fotelach przy bibliotece.

PAWEŁ ADMOWICZ ZAMIENIŁ IDEĘ MUZEUM W INSTYTUCJĘ KULTURY, KTÓRA MA SIĘ ZAJMOWAĆ WARTOŚCIAMI ZAGROŻONYMI

Nie usunęliście jej?

Ale właściwie czemu mieliśmy to zrobić? Nikomu nie przeszkadzała, miała ze sobą jakieś kłopoty, ale nie było to nic odrzucającego. To raczej nie była osoba bezdomna. Chyba po prostu dobrze się tu czuła. Aż któregoś dnia sama zniknęła.

Rzeczywiście macie tu mnóstwo zakamarków. Może tu trwać kilkanaście imprez jednocześnie.

Ja to czasami jestem na siebie zły, że nie mam czasu, żeby zjechać ze swojego czwartego piętra i zobaczyć, co tu się na dole dzieje. Czasami już w windzie zaczynam z kimś rozmawiać. Ostatnio poznałem niemiecko-turecką parę studentów, która przyjechała tylko dlatego, że zobaczyła coś o Solidarności coś w niemieckiej telewizji. Nie mieli innych powiązań z Polską.

Czy na wasze funkcjonowanie ma wpływ sam budynek?

Tak, bo to genialny projekt. Zrobił go gdański architekt Wojciech Targowski. Zazwyczaj wszyscy skupiają się na wyglądzie zewnętrznym budynku, ale w naszym wypadku to w sumie nieważne. Najważniejszy jest dół budynku, ten tak zwany ogród zimowy. To naprawdę agora: miejsce spotkań i dyskusji. To wprost nawiązuje do historycznej bramy stoczni, gdzie w sierpniu 1980 roku codziennie gromadziły się tłumy gdańszczan.

Po blisko piętnastu latach odchodzi pan z ECS. Dlaczego właśnie teraz?

Bo kończy się kolejna kadencja. Nie lubię słowa „odchodzić”. Nie odchodzę, tylko kończę pewien etap pracy publicznej. Zasadą demokracji jest samoograniczenie i zmiana. Jako szef ECS wybrałem datę końca mojej pracy na stanowisku dyrektora. Każda instytucja publiczna w państwie demokratycznym potrzebuje zmiany liderów, nowych ludzi i nowych pomysłów. Ja miałem swoje prawie piętnaście lat, plus dwa lata przed 2011 w radzie ECS. Czas, żeby ktoś młodszy wziął odpowiedzialność.

Co dalej z panem?

Zostałem powołany na prezydenta Domu Historii Nadrenii

Północnej-Westfalii, aby stworzyć nową instytucję, która opowiada o tradycji demokratycznej i ją rozwija.

Kto pana powołał?

Parlament i rząd Nadrenii Północnej-Westfalii, największego landu Niemiec liczącego 18 milionów mieszkańców. To duży projekt – coś w rodzaju niemieckiego ECS-u. Będzie tam opowieść o narodzinach demokracji zachodnioniemieckiej, reńskiej po 1945 roku. Fascynujące wyzwanie, w centrum Düsseldorfu, nad samym brzegiem Renu, w pięknym zabytkowym budynku z 1912 o długiej historii. Moim głównym zadaniem będzie stwórzanie wystawy stałej, która zostanie otwarta w 2030 roku.

Mówi pan o tym z wielkim entuzjazmem, Gdańsk już pana stracił?

Nie wyprowadzam się z rodzinnego Trójmiasta. Mieszkam w Gdyni, chcę tu nadal być, współpracować z ECS przy projektach międzynarodowych, zabierać głos w ważnych dla nas Polaków debat. Dla mnie Gdańsk to nie punkt w życiorysie, tylko miejsce, które kształtuje sposób myślenia o świecie.

Czyli żadnego pożegnania.

Po prostu nowy rozdział. ©©

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011414538

Powiedz „stop” mowie nienawiści! Podpisz Deklarację Niezgody na Hejt

Wystartowała kolejna odsłona kampanii społecznej #HejtOutLoveIn, realizowanej przez T-Mobile Polska wspólnie z Fundacją SEXEDPL, której celem jest zburzenie bariery obojętności wobec hejtu. Każdy może dołączyć do akcji, podpisując Deklarację Niezgody na Hejt na hejtoutlovein.pl i tym samym pokazać, że głos szacunku jest silniejszy niż głos nienawiści. Deklarację podpisały znane postaci życia publicznego – Anja Rubik, Helena Englert, Maciej Zakościelny, Anna Dec i Irena Wielocha.

Kampania oparta jest o badania dotyczące mowy nienawiści w sieci wśród polskich użytkowników internetu, zlecone przez firmę T-Mobile Polska. Wnioski są pesymistyczne – wynika z nich, że chociaż tylko około pięciu procent komentatorów generuje hejt, to zjawisko przytłacza pozostałą większość. Aż 63 procent młodych osób doświadczyło hejtu – najczęściej z powodu wyglądu, poglądów i stylu bycia. Ponad 80 procent uważa go za problem, a 84 procent sądzi, że wymaga on zdecydowanej reakcji. Jednocześnie aż 67 procent badanych czuje wobec niego bezradność. Niepokoi również fakt, że osoby, które doświadczyły hejtu, pięć razy częściej stają się później jego sprawcami. Działają tym samym z potrzebą odwetu, w efekcie czego napędza się nieustanna spirala nienawiści.



– Wyniki badań były dla nas szokujące – komentuje Małgorzata Rybak-Dowżyk, dyrektorka Departamentu Komunikacji Korporacyjnej i ESG w T-Mobile Polska. – Żyjemy w świecie hybrydowym, w którym świat online łączy się ze światem offline i to, czego doświadczamy w jednym, oddziałuje też na drugi. Dlatego jako T-Mobile Polska, firma, która daje ludziom okno do świata cyfrowego, uważamy, że naszą odpowiedzialnością jest nie tylko do-

starczenie najwyższej jakości usług, ale też sprawienie, by ludzie w cyfrowym świecie byli bezpieczni.

Celem akcji jest zburzenie bariery obojętności wobec hejtu.

– Jako T-Mobile nie zgadzamy się na obojętność – dodaje Rybak-Dowżyk. – Głos szacunku jest silniejszy niż głos hejtu. Wierzymy, że możemy wszyscy połączyć się ponad podziałami i działać wspólnie na rzecz wykluczenia mowy nienawiści w sieci. Możemy rozpocząć

nowy etap kultury i bezpieczeństwa w internecie.

Martyna Wyrzykowska, dyrektorka Fundacji SEXEDPL, zwraca uwagę, że kampania skierowana jest nie tylko do osób, które hejtu doświadczają, ale też do tych, które go generują, bo one również potrzebują pomocy:

– Chcemy pomagać ofiarom przemocy, świadkom, ale też sprawcom. Każda z tych grup jest ważna i każdej trzeba jakoś pomóc, by była możliwa trwała społeczna zmiana. Rosnąca w ludziach złość doprowadza do tego, że odpowiadają złością innym – a najłatwiej to zrobić wobec kogoś słabszego. Hejterzy często piszą nienawistne komentarze nie dlatego, że są złymi ludźmi, tylko dlatego, że tak robią wszyscy. Nauka zarządzania swoimi emocjami, w tym negatywnymi, to pierwszy krok do zwalczania hejtu.

Akcję #HejtOutLoveIn wspierają znani aktorzy, Helena Englert i Maciej Zakościelny. Gwiazdy ekranu jako osoby publiczne, których profile społecznościowe gromadzą tysiące followersów, są szczególnie narażone na złośliwe komentarze hejterów. Ale ich doświadczenia mogą wspomóc i zainspirować także „zwykłych” ludzi, którzy coraz częściej stają się celami ataków w świecie wirtualnym.

– Używamy naszych głosów, które są słyszalne w mediach, aby mówić o problemach, które doty-

kają dziś niemal wszystkich – mówi Helena Englert, gwiazda takich produkcji jak „#BringBackAlice”, „Śleboda” czy „Rodzinka.pl”. – Już nie tylko osoby publiczne mierzą się z hejtem, ale też zwykli ludzie, którzy mają konto na Facebooku, Instagramie, TikToku – czyli w dzisiejszych czasach prawie każdy. Nie może być tak, że hejt staje się walutą wymiany opinii w internecie.

Wsparcie dla akcji #HejtOutLoveIn można wyrazić, podpisując Deklarację Niezgody na Hejt, dostępną online na stronie hejtoutlovein.pl. Zachęca do tego słynna modelka Anja Rubik, współzałożycielka i ambasadorka Fundacji SEXEDPL:

– Mówimy: dość. Nie będziemy wspierać hejtu ani słowem, ani milczeniem. Będziemy reagować, gdy zobaczymy nienawiść. Wybieramy odwagę, empatię i odpowiedzialność. Burzymy barierę obojętności wobec hejtu. Razem możemy pokazać, że głos szacunku jest głośniejszy niż głos nienawiści. Czy dołączycie?

Otwórz aparat w telefonie, zeskanuj kod i podpisz Deklarację Niezgody na Hejt.



KSIĄDZ Z POMORZA. DYPLOMATA W SŁUŻBIE STOLICY APOSTOLSKIEJ

Kraszewo w gminie Stare Pole – Watykan – Harare w Zimbabwe. To w dużym skrócie dotychczasowa droga życiowa Janusza Urbańczyka. Ksiądz, dyplomata watykański, obecnie nuncjusz apostolski, czyli ambasador w kraju położonym w Afryce Południowej

Radosław Konczyński

Janusz Urbańczyk urodził się w Kraszewie, w wiosce leżącej pomiędzy lotniskiem wojskowym a Starym Polem. Gdy widział nad głową samoloty odrzutowe z pobliskiej bazy, nie sądził, że kiedyś też wyfrunie w świat jako duchowny. Życie tak się ułożyło, że obecnie jest nuncjuszem apostolskim w Zimbabwe, ustanowiony jeszcze przez poprzedniego papieża – Franciszka. Afrykański kraj graniczący od południa z RPA, wschodu – z Mozambikiem, północy – z Zambią i zachodu – Botswaną.

Siedzibą nuncjatury jest stolica państwa, Harare.

- Moją odpowiedzialnością jest reprezentowanie Ojca Świętego w kraju, do którego zostałem posłany. Powiedzmy, że lokalni biskupi widzą we mnie głos papieża, to jest informowanie. To jest też kwestia bycia blisko i pomocy biskupom w pracy i misji, którą muszą wypełniać biskupi – mówi ks. abp Janusz Urbańczyk.

Życie codzienne oczywiście różni się diametralnie od tego, co mamy w Europie.

- Dla Europejczyka najprostsze rzeczy, coś, co dla nas wydaje się oczywiste, w Afryce mogą być problemami. Nie ma na przykład prądu z sieci w ciągu dnia, jest tylko od godz. 22.30 do piątej rano. W pozostałym czasie mamy panele, generatory prądu. Na szczęście, jest dużo słońca, bo 330 słonecznych dni w roku, możemy więc wyprodukować tej energii na tyle, żeby mieć prąd, bo to, co jest w sieci, nie wystarcza. Mamy studnie głębinowe do 110 metrów, ale co z tego, jak wody nie ma, bo wyschła. Jest problem suszy. Problem jest z zasięgiem internetu, telefonii komórkowej. Trzeba więc dostosować się do warunków życia. Lokalni mieszkańcy wypracowali sobie sposób radzenia sobie w takich realiach, a pierwsze moje spostrzeżenie było takie, że to są naprawdę szczęśliwi ludzie. Niewiele mają, ale jest w nich radość i wdzięczność za to, co posiadają. Jeżeli widzą, że ktoś jest wobec nich szczerzy, naprawdę chce przyjść z pomocą, okazać wsparcie, są wdzięczni, są bardzo otwartymi ludźmi, bardzo to doceniają – mówi ks. Janusz Urbańczyk.

Życie nie jest doskonałe, ale...

Zimbabwe ma około 17 mln ludności. Chrześcijanie stanowią większość wyznaniową, wynoszącą ponad 80 proc. Natomiast katolicy wśród nich są mniejszością, szacowaną na 1,4 mln osób.

- Natomiast Kościół katolicki przez swoją działalność charytatywną, duszpasterską, prowadzenie szkół, szpitali, domów dziecka jest naprawdę rozpoznawalny i ma wielkie znaczenie. Dlatego też, że wypowiada się, zajmuje stanow-

iska, które są czasami polityczne, żeby mówić na temat biedy, na temat problemów. Biskupi nie boją się podejmować czasami trudnych kwestii i poruszają – podkreśla arcybiskup.

Od strony „zawodowej” jako duchownego uwagę nuncjusza musiał wzbudzić sposób przeżywania liturgii.

- Normalna msza święta trwa półtorej godziny, a inne uroczystości to trzy godziny albo więcej. Kwestia śpiewu liturgicznego, tańca – oni tym żyją. To jest ich czas, czas przeznaczony dla Boga. Samo życie nie jest doskonałe, bo jest wiele problemów, także wiele problemów wynikających z biedy, bezsilności, natomiast to są ludzie, którzy się otwierają. Kwestia wiary jest dla nich elementem, który jest namacalny. Przeżywają to, żyją tym, to jest aspekt ich codziennego życia, który jest niezmiernie ważny. To nie jest coś z lamusa, coś schowanego, dalekiego, to jest blisko. Liturgii w Zimbabwe w ogóle nie możemy porównywać z Europą, ale myślę, że to też jest specyfika całej kultury, czy to afrykańskiej, czy nawet w Azji. To są pięknie przeżywane liturgie. My czasami jesteśmy tacy jacyś zimni w przeżywaniu liturgii, nieobecni, oni są aktywni. My jesteśmy ciałem, a duch, głowa bywa gdzieś poza. Natomiast dla nich liturgia to jest całość, ciało i duch – opisuje ks. Janusz Urbańczyk.

Dyplomata może kojarzyć się z pracą za biurkiem w klimatyzowanych pomieszczeniach, ale w tym przypadku utarty obraz nie ma zastosowania. Arcybiskup wyjeżdża w teren, spotyka się z księżmi, wypełnia też normalnie posługę kapłańską. Msze odprawia w nuncjaturze w Harare, a także podczas wizyt w diecezjach.

- Byłem już we wszystkich diecezjach, w bardzo wielu terenach misyjnych. Biskupi zapraszają mnie do nowych miejsc, żeby spotkać się ze wspólnotą wierzącą w różnych zakątkach Zimbabwe. Staram się być aktywny i mieć kontakt



Ks. abp Janusz Urbańczyk podczas mszy na XII Zjeździe Absolwentów I LO w Malborku

z różnymi rzeczywistościami Kościoła lokalnego – wyjaśnia ks. Janusz Urbańczyk.

ONZ, OBWE, Nowy Jork, Wiedeń

Nuncjatura to kolejny szczebel w dyplomatycznej pracy Pomorzanina w służbie Watykanu. Gdyby cofnąć się o około 40 lat, wtedy jeszcze nie wiedział, czy w ogóle będzie księdzem.

- Powołanie to jest kwestia pewnych decyzji, wyborów, które się dokonują, dojrzewają. Byłem ministrem od 8 roku życia, byłem bardzo blisko Kościoła, przy czym też przez moje zajęcia sportowe były różne okresy, które nie do końca przybliżały mnie do tego, żeby pójść do seminarium. Wręcz przeciwnie, do 17 roku życia to była daleka myśl. Natomiast w 17 roku życia nastąpiły bardzo istotne, zwrotne sytuacje. Wydawało mi się, że jestem dorosły i podejmowałem pewne wybory, ale uświadomi-

łem sobie, że to to nie jest właściwe; że popełniam pewne błędy. I to była taka radykalna zmiana, na tyle radykalna, że poszukiwania większego sensu życia sprawiły, że nawet chciałem wstąpić do zakonu klawułowego. Później była kwestia poszukiwania i dopiero jak miałem 19 lat, kończyłem maturę, zrodziła się myśl: „Idź do seminarium”. Miałem wtedy koleżankę, to nie była narzeczoną, tylko koleżanka bliska – i też mówiłem jej, że jest we mnie ta myśl o wstąpieniu do seminarium i muszę zdecydować. I zdecydowałem – opowiada ksiądz Janusz.

Po święceniach kapłańskich w 1992 roku został sekretarzem i kapłanem pierwszego biskupa elbląskiego, Andrzeja Śliwińskiego. Wtedy pojawiła się szansa studiów w Papieskiej Akademii Kościelnej w Watykanie kształcącej księży do służby w dyplomacji Stolicy Apostolskiej. Ukończył ją w 1997 roku, łącząc to z uzyskaniem dokto-

ratu z prawa kanonicznego. Już w 1997 roku dołączył do pracy dyplomatycznej, pracując w różnych krajach, praktycznie na wszystkich kontynentach. Najpierw jako pracownik nuncjatur, a od 2012 roku jako reprezentant papieża przy organizacjach międzynarodowych. Zaczynał w ONZ w Nowym Jorku, gdzie przez prawie trzy lata był pierwszą radcą w Przedstawicielstwie Stałego Obserwatora Stolicy Apostolskiej. Później przez dziewięć lat w Wiedniu, będąc stałym przedstawicielem Stolicy Apostolskiej przy Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA), Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) oraz przy Komisji Przygotowawczej Organizacji ds. Traktatu o Całkowitym Zakazie Prób Jądrowych, a także stałym obserwatorem przy agendzie ONZ ds. Rozwoju Przemysłu i przy Biurze ONZ.

- To były dla mnie czasy zdobywania wiedzy. Praca przy or-

ganizacjach międzynarodowych jest trudną, ale też jest bardzo ciekawą w zdobywaniu szlifów dyplomatycznych, które były bardzo istotne w rozumieniu pewnych zmian, pewnych sytuacji na świecie – mówi ks. Janusz Urbańczyk. - Stolica Apostolska przy ONZ jest obserwatorem, ale obserwatorem czynnym, to znaczy, że też uczestniczy w tworzeniu pewnych dokumentów. Gdy byłem w Nowym Jorku, też uczestniczyłem w różnych negocjacjach, w tym przez prawie dwa lata zajmowałem się Radą Bezpieczeństwa – chodziliśmy, słuchaliśmy, pisaliśmy raporty; to była kwestia rozumienia pewnych decyzji politycznych na poziomie światowym. W Wiedniu też braliśmy czynny udział w organizacjach. Decyzja czy nawet pozycja Watykanu jako pełnoprawnego członka jest też ważna. Przedstawialiśmy pozycje odnośnie różnych kwestii związanych z tym, co się dzieje na świecie. Czasami nasze stanowiska były przyjmowane, czasami kraje nie do końca się zgadzały, ale to jest normalny proces negocjowania, dyskusji na temat różnych dokumentów.

Jest nadzieja

Arcybiskup przemierzył kawał świata. Aż chce się zapytać o kondycję człowieka, o to, czy... świat oszalał, czy jest nadzieja.

- Nie można mieszać pojęć. Świat w jakiś sposób „oszalał”, ale o której części świata mówimy? My patrzymy z pozycji Europejczyka, a spojrzenie Europejczyka na wiele kwestii politycznych czy religijnych nie jest spojrzeniem całego świata. Myślę, że to jest kwestia zrozumienia pewnych procesów i pojęć. To, że my gdzieś przeżywamy, że są trudne sytuacje na świecie, to faktycznie niestety dokonują się pewne zmiany cywilizacyjne, które nie są do końca właściwymi i to prowadzi do trudności, frustracji, niepewności czy strachu. Natomiast myślę, że jest duży pokład nadziei. Dla chrześcijan, dla katolików to jest kwestia takiej nadziei, że cokolwiek człowiek by nie potrafił zniszczyć, Bóg potrafi wyprowadzić z tego dobro. Trzymajmy się nadziei i tego, żeby wierzyć, że Bóg będzie tym, który zwycięży – radzi nuncjusz apostolski w Zimbabwe.

Ksiądz Urbańczyk nuncjaturę w Zimbabwe objął ponad półtora roku temu. Obecnie przebywa na pierwszym długim urlopie w rodzinnych stronach. Spotkali się przy okazji obchodów 80-lecia I Liceum Ogólnokształcącego im. Henryka Sienkiewicza, którego jest absolwentem. W minioną sobotę, podczas XII Zjazdu Absolwentów, odprawił mszę świętą, zresztą z innym absolwentem – Wojciechem Skibickim, nowym biskupem elbląskim.

„SOŁDEK”: PIERWSZY STATEK SOCJALISTYCZNEJ POLSKI

Rudowęglowiec S/S „Sołdek” był pierwszym statkiem zbudowanym po wojnie w polskiej stoczni. Zwodowano go w Gdańsku 6 listopada 1948 roku

Mariusz Grabowski

Wodowanie odbyło się w atmosferze wielkiej politycznej fety. Byli dziennikarze, oficjele, tłumy i niekończące się przemówienia. Swą nazwę statek zawdzięczał Stanisławowi Sołdkowi, ówczesnemu przodownikowi pracy ze Stoczni Gdańskiej. Matką chrzestną statku została jego żona Helena.

„Spłynął majestatycznie”

„Na trybunę wszedł min. Rapacki - wspominał na łamach „Morza. Marynarza Polskiego” Stanisław Woliński, uczestnik uroczystości. „Podsumował pokrótce osiągnięcia stoczniovców przy budowie nowych jednostek i analizując nazwę tego pierwszego statku, powiedział: »Nazwisko Stanisława Sołdka, które znajdzie się na pierwszym w Polsce wybudowanym statku, jest nazwiskiem prostego, dobrego robotnika i przodownika pracy, nie jest jednak jego prywatnym nazwiskiem, jest symbolem nazwisk wszystkich robotników stoczniovcych«. Następnie, na wniosek min. Rapackiego, zebrani na pochylni stoczniovcy uchwalili. aby następny rudowęglowiec, którego wodowanie ma nastąpić w dniu 15 grudnia, otrzymał nazwę »Jedność Robotnicza«. Po ślubowaniu Stanisława Sołdka poczęto usuwać ostatnie kliny podtrzymujące kadłub statku. Miarowo, z uwagą i napięciem oczekiwali zebrani momentu, kiedy statek drgnie i pocnie zjeżdżać do wody. Usunięto ostatnią zapórę, przysła rozbita o burtę butelka szampana. Przy dźwiękach hymnu narodowego S/S „Sołdek” spłynął majestatycznie na wodę. Jego matką chrzestną była Helena Sołdek, żona przodownika pracy i bohaterki niezapomnianej uroczystości. Tak rozpoczął swój pracowity żywot pod polską banderą »Sołdek« - statek”.

Kim był Sołdek?

Stanisław Sołdek, patron statku, był ciekawą postacią, idealnie pasującą do tamtych czasów. Człowiekiem idealnie pasującym do kanonów socjalizmu. Syn robotnika z Kozienic, przed-

wojenny pracownik Stoczni Modlińskiej Państwowych Zakładów Inżynierii i Płockiej Stoczni Rzecznej na Radziwiu. Ukończył w Warszawie kurs spawaczy.

Po wojnie przeniósł się do Gdańska. Był wśród inicjatorów propagandowego wyścigu pracy w przemyśle stoczniovcym, wzorowanego na podobnych kampaniach w ZSRR. W latach 1952-1956 był posłem na Sejm I kadencji z ramienia PZPR. Był także członkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Po uzupełnieniu wykształcenia średniego, w 1950 r. rozpoczął studia na Wydziale Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej, a w 1956 r. został magistrem inżynierem okrętowcem. W maju 1963 r. otrzymał etat dyrektora naczelnego remontowej Stoczni Wisła. Zmarł w Gdańsku i tam jest pochowany.

Socjalizm i stocznie

„Sołdek” nie wziął się z przypadku - był owocem przedstawienia przedwojennej rolniczej Polski na tory uprzemysłowienia. Oficjalne początki przemysłu stoczniovcowego w Polsce sięgają już 1 lutego 1945 roku, kiedy działania wojenne na znacznych obszarach Polski toczyły się jeszcze z dala od morza. Wtedy to ówczesny minister przemysłu, towarzysz Hilary Minc, powołał Departament Morski, którego dyrektorem został inż. Henryk Sobański.

Już w marcu Departament opracował memoriał zawierający propozycję utworzenia Zjednoczenia Stoczni Polskich, jako instytucji koordynującej planowaną budowę statków morskich. Jednocześnie Ministerstwo Przemysłu wśród grup operacyjnych, mających za zadanie zabezpieczenie i uruchomienie przedsiębiorstw na terenach, które przed wojną nie leżały na obszarze II RP, powołało w Bydgoszczy Morską Grupę Operacyjną.

W jej skład wchodził przede wszystkim inżynierowie i technicy, w tym również okrętowcy, których losy wojenne rozrzuciły po kraju. Głównym zadaniem Morskiej Grupy Operacyjnej skierowanej do Gdańska było zabezpieczenie ocalałej infrastruktury stoczniovcowej, która już nad-



Dzieje „Sołdka” są symbolem rozwoju powojennego przemysłu stoczniovcowego - jednego z filarów gospodarczych PRL

zorowana i inwentaryzowana była przez specjalistów rosyjskich, kwalifikujących ją jako zdobycz wojenną.

Wybrano Gdańsk

Na stronie Portal Morski można znaleźć tekst Jerzego Litwina o trudnych początkach podnoszącego się z gruzów przemysłu stoczniovcowego.

„14. czerwca 1945 r. powołano - pisze autor - Zjednoczenie

Stoczni Polskich z siedzibą w Gdańsku. Dyrektorem owego Zjednoczenia został inż. Henryk Umiasowski, a na jego zastępcę powołano inż. Witolda Urbanowicza. (...) Wybór Gdańska na siedzibę Zjednoczenia miał charakter polityczny i gospodarczy, gdyż pomimo zniszczeń w gdańskich stoczniach dostrzegano warunki do szybkiego podjęcia produkcji. Pierwszymi decyzjami Zjednoczenia było wyznaczenie komisji

odpowiedzialnych za przejmowanie od Rosjan zajętych przez nich stoczni. Działania te zakończono 30 sierpnia 1945 r. Objęły one zarządzanie jedenastoma stoczniami, jakie były w Wolnym Mieście Gdańsku”.

W Stoczni Gdańskiej 13 września 1945 r. oficjalnie uroczystie zainaugurowano remonty statków. Dodatkową produkcją tejże stoczni był montaż 1812 ciągników, 20 parowozów i 500 samochodów przysłanych do Polski w ramach pomocy UNRRA.

Jako muzeum

Już trzy lata później zwodowano „Sołdka” - rudowęglowiec o napędzie parowym. Był to prototyp serii 29 rudowęglowców - małych masowców typu B30 zbudowanych w latach 1949-1954 w Stoczni Gdańskiej. Długi na 87 metrów, szeroki na 12 m, o nośności 2610 ton. Podczas położenia stępki pierwszy nit zakuł wspomniany już minister żeglugi Adam Rapacki, zaś pierwsze blachy poświęcił ksiądz z gdańskiej parafii.

Projekt wstępny statku został opracowany przez grupę polskich konstruktorów pod kierunkiem inż. Henryka Giełdzika, zaś dokumentację warsztatową zlecono francuskiej stoczni Augustin Normand w Hawrze. Budowę statku kierował inż. Jerzy Doerffer.

24 września 1949 r. o godz. 9.55 „Sołdek” odbył pierwszy rejs próbny - z portu wyprowadził go pilot kpt Laskowski za pomocą holowników: „Atlas” na dziobie i „Cyklop” na rufie. Do 30 grudnia 1980 r. „Sołdek” odbył 1479 rejsów morskich, przewiózł ponad 3,5 mln ton towarów, zawijając do ponad 60 portów.

Nie poszedł na złom, pełni dziś inną funkcję. 17 lipca 1985 r. został udostępniony do zwiedzania jako statek-muzeum, oddział Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku. W 2024 roku statek zwiedziło 69 tys. 499 osób.

Rodzi się potęga

Dzieje „Sołdka” są symbolem rozwoju powojennego przemysłu stoczniovcowego - jednego z filarów gospodarczych kraju. Decyzja o „rozwijaniu przemysłu

okrętowego, będącego własnością państwa, w ramach ogólnonarodowej gospodarki planowej”, zapadła w 1946 r. „Przewidywano w nim w okresie 1948-1957 budowę 164 statków o łącznej nośności 357 000 ton. Zadania te miały realizować przede wszystkim gdańska Stocznia nr 1, Stocznia nr 2 i w pewnej części Stocznia nr 3. 31 marca 1947 r. Ministerstwo Żeglugi i Handlu Zagranicznego przekształcono w Ministerstwo Żeglugi, któremu podporządkowano przemysł stoczniovcowo-okrętowy, morską flotę handlową i rybacką” - czytamy w tekście „Stocznie po 1945 r.” na stronie gdansk.gedanopedia.pl.

Śledzenia początków przemysłu stoczniovcowego może jednak dostarczyć wielu niespodzianek. Okazuje się bowiem, że to nie „Sołdek” powinien być określany pierwszym statkiem zwodowanym w Polsce po 1945 roku. W 2018 r. Krzysztof Stefański, w artykule „Pierwsze powojenne wodowanie w Polsce”, zamieszczonym na stronie ZBiAM (Zespół Badań i Analiz Militarnych), postawił tezę, że pierwszą jednostką zwodowaną w naszym kraju był drobnicowiec „Oliwa”. Odbyło się to prawie siedem miesięcy przed wodowaniem „Sołdka”, w szczecińskiej Stoczni „Odra”.

Sprawy przez lata nie nagłaśniano - dowodzi Stefański - a jednym z powodów było to, że budowę rozpoczęli Niemcy 1 lipca 1943 r. w stoczni Stettiner Oderwerke. W ramach powojennej rewidynacji i podziału poniemieckiej floty niekończony drobnicowiec przydzielono Polsce.

We wrześniu 1947 r. podjęto decyzję o odbudowie przemysłu stoczniovcowego, a już w październiku postanowiono wykończyć „Oliwie”. Zamówienie na nią złożył GAL (Gdynia - Ameryka Linie Żeglugowe) i wtedy zmieniono jej nazwę na „Oliwa”.

Stefański pisze dalej: „Dla szczecińskiej »Odry« było to za trudne zadanie, głównie ze względu na brak odpowiednich fachowców, sprzętu i narzędzi. Dlatego Zjednoczenie Stoczni Polskich zleciło pracę Stoczni Gdynińskiej, która miała większe doświadczenie i możliwości. Ponieważ kadłuba nie można było przetransportować, postanowiono wysłać do Szczecina delegację z tego zakładu”.

Budowę kadłuba ukończono w grudniu 1947 r., a wodowanie „Oliwii” odbyło się 24 kwietnia 1948 r.

W celu zamontowania nabytej w Danii maszyny napędowej i wyposażenia statek został w sierpniu 1948 r. odholowany do Stoczni Gdańskiej. Pod zmienioną nazwą „Marchlewski” (następnie „Julian Marchlewski”) wyszedł w rejs próbny z Gdańska 3 VII 1950 r. Pływał pod polską banderą do końca lat 60., potem służył za magazyn. Ostatecznie zezłomowano go w Finlandii w 1982 r.

JAK ZA DWA LATA NIE PONIEŚĆ KLĘSKI. POLITYCY SZUKAJĄ SPOSOBU

Czy lekki facelifting przyniesie jakieś korzyści Koalicji Obywatelskiej? Czy jest ktoś, kto mógłby zastąpić Donalda Tuska na stanowisku premiera i lidera rządzącego obecnie obozu politycznego? Czy PiS uzyska przewagę, która da mu w 2027 roku samodzielne rządy, a niedawna konwencja była początkiem zwycięskiego marszu po władzę? – To są na razie pobożne życzenia – mówi dr Krzysztof Piekarski, politolog z Uniwersytetu Gdańskiego. – Afera CPK jest poważna. Może mieć wpływ nie tylko na wizerunek PiS jako partii, ale i politycznych elit w ogóle – mówi prof. Jarosław Nocoń, również z Uniwersytetu Gdańskiego

Tomasz Cbudzyński

Dwa wydarzenia z ubiegłego weekendu miały dostarczyć tematów do długich politycznych dyskusji – Koalicja Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość zwołały niemal cały partyjny aktyw na programowe konwencje. Tak się nie stało.

- W ostatnich dniach mówimy właściwie tylko o wpadce Roberta Telusa, którą nazwano aferą CPK – mówi prof. Jarosław Nocoń, politolog z Uniwersytetu Gdańskiego. – To najpoważniejsza sprawa minionych tygodni. Moim zdaniem będzie ona wpływała na wizerunek PiS jako partii, być może nawet na wizerunek całych elit politycznych.

Oczekiwania

Konwencje KO i PiS miały nieco inne założenia. Jarosław Kaczyński chce mieć dziś nowe hasła na sztandarach w drodze po władzę, najlepiej samodzielną. Donald Tusk z kolei liczy, że facelifting jego ugrupowania w postaci przejścia mniejszych ugrupowań do tworzących ugrupowanie oraz nowy/stary sztyl, będą swego rodzaju natchnieniem, powiewem optymizmu, w dobie sondaży wskazujących, że obecna koalicja straci władzę za dwa lata.

- Konwencja PiS pokazała tak naprawdę brak świeżej energii w tym ugrupowaniu. Organizacyjnie było to duże przedsięwzięcie, co było widać, ale pod względem narracji, kształtowania nowych idei, to chyba nie wyszło najlepiej. A wręcz wyszło bardzo słabo. Co mieliśmy poza pewnością o powrocie do władzy? Czy przebił się plan związany z reformowaniem systemu podat-



Nic nie wskazuje, by Donald Tusk, polityk mający ciągnąć w dół notowania rządu, miał ustąpić, np. Sikorskiemu

kowego? Nie. Z drugiej strony czy po fiasku Polskiego Ładu ktoś uwierzy, że PiS będzie miał na tym polu coś sensownego do zaproponowania? Krytyczny argument dotyczący zadłużania państwa przez obecny rząd nie jest, moim zdaniem, żadnym ożywczym kierunkiem dla tej partii. Nawet mniej zorientowany wyborca zdaje sobie sprawę, że sam PiS stoi

za wieloma obciążeniami w krajowym budżecie – mówi Jarosław Nocoń.

- PiS nie ukrywa od przegranej sprzed dwóch lat, że odsunięcie od władzy to jedynie krótki interwał w ich rządach. Powrót do władzy wydaje się z ich punktu widzenia bardzo realny, co ogłosił zarówno Kaczyński oraz funkcjonariusze PiS-u, od najwyższego do naj-

niższego szczebla. Oczywiście całość narracji skupia się na „mitycznej winie Donalda Tuska – podkreśla dr Krzysztof Piekarski.

Zakład

Donald Tusk z kolei, po konwencji „zjednoczeniowej KO”, był wręcz gotów zakładać się o wyborcze zwycięstwo w 2027 roku.

- Konwencji KO sprzyjały sondaże, które pokazują niespotykaną wręcz przewagę Koalicji Obywatelskiej nad PiS. Wyniki tych badań rozpisują scenariusze wyborcze na przyszłość. Widać, że koalicjanci Koalicji Obywatelskiej po prostu słabną. Zatem partia ta będzie musiała uzyskać za dwa lata wynik zapewniający większość w parlamencie, nie licząc

na innych. Z kolei Prawo i Sprawiedliwość, w dużej mierze, będzie musiało jednak liczyć na koalicjantów, zwłaszcza Konfederację. Chociaż dyskurs między tymi partiami nie jest w tej chwili zbyt „życzliwy”, to po wyborach się zmieni. Możliwość przejścia władzy nie takie konflikty była w stanie załagodzić – mówi Jarosław Nocoń.

- Wszyscy szukają pomysłu, żeby za dwa lata nie ponieść klęski. Nad KO nadal wisi przegrana w wyborach prezydenckich. W PiS obudziła ona optymizm, pokazała, że wszystko jest możliwe, że wygrana w 2027 roku jest w zasięgu ręki. Dla elektoratu Koalicji Obywatelskiej, wchłonięcie partii, które i tak już de facto właściwie nie funkcjonowały, ma pokazać, że błędy z wyborów prezydenckich się nie powtórzą. Tusk mówi „będziemy jak jedna pięść i będziemy szli do przodu” – tłumaczy dr Piekarski.

Spojrzenie w przyszłość

Do wyborów pozostały dwa lata. Jak zaznacza Krzysztof Piekarski, w polityce w tym czasie wiele może się wydarzyć.

- Czy to, o czym mówią dziś PiS i KO to nie są pobożne życzenia? Analiza tych zapowiedzi opiera się dziś bardziej na pewnych wrażeniach, osobistych odczuciach polityków niż na twardych danych. Najbardziej wiarygodne badania sondażowe dotyczące rezultatu przyszłych wyborów parlamentarnych to będą te, wykonane na kilkanaście tygodni przed samymi wyborami. Na razie opowiadamy sobie polityczne baśnie – mówi.

- Sprawa rozliczeń rządów PiS, jak się wydaje, zaczyna na-

FOT. ADAM JANIKOWSKI

bierać nowego tempa. Mam wrażenie, że jest kilka „topowych” wątków, bardzo medialnych (zarzuty dla Zbigniewa Ziobry, sprawa działki pod CPK). W zależności od tego, jak będą przebiegały, to mogą mieć duże znaczenie przede wszystkim dla poparcia Koalicji Obywatelskiej. Elektorat, który odniósł sukces w wyborach w 2023 r. ostatnio osłabł, moim zdaniem właśnie ze względu na małą efektywność tego rządu w sprawie rozliczeń. Natomiast jako politolog jestem żywo zainteresowany tym, by wyborcy zaczęli postrzegać elity polityczne jako swoich przedstawicieli, realizujących ich interesy, by elektorat przestał być pobudzany afektywnymi konfliktami „my i oni”. Dziś, upraszczając, obowiązuje zasada: nieważne czy kradnie, ważne, że nasz, żeby sprawował władzę i pokazał tym innym, gdzie ich miejsce. Mam nadzieję, że ta narracja nie zwycięży w następnych wyborach - podkreśla Jarosław Nocoń.

Nowi liderzy?

Krzysztof Piekarski podkreśla, że Tusk i Kaczyński są dziś w wieku w standardach ZUS uznawanym za emerytalny.

- Duopol przeżywamy od początku XXI w. - to wzajemne obrażanie się, narastająca niechęć. Być może Konfederacja znalazła tu „kamień miliowy”

i to ona zacznie rozdawać karty w polskiej polityce - podkreśla politolog.

Nie było widać po faceliftingu KO sugerowanej przez komentatorów zmiany lidera. Nic nie wskazuje, by Donald Tusk, polityk mający ciągnąć w dół notowania rządu, miał ustąpić, np. Radosławowi Sikorskiemu.

- Przypomnijmy sobie ten czas, kiedy Tusk wyjechał robić karierę w Brukseli. Jakie efekty mieli Ewa Kopacz, Grzegorz Schetyna, Borys Budka, co się działo z Platformą? Powtarzam to studentom, że Tusk, mimo wszystkich swoich wad, prezentuje całkiem inną jakość polityczną niż większość rodzimych polityków. Po drugiej stronie barierki, tezy o tym, że Kaczyński jest gotów ustąpić weryfikuje sam prezes PiS, który nie przejawia zbyt wielkiej ochoty do przejścia na polityczną emeryturę. Raczej chce być „dożywotnim zbawcą Polski”. Trudno jest dziś mówić, czy wymiana na nowego, młodszego przywódcę dałaby wyraźny efekt w postaci poszerzenia bazy elektoratu. Tym bardziej, że ani w jednej, ani w drugiej formacji nie ma kogoś o wyraźnym potencjale, swego rodzaju delfina, na którego można by stawiać. Może Czarnek w PiS... - wskazuje Krzysztof Piekarski.

- Budowanie postaci nowego lidera, nowej twarzy, jak

wskazują doświadczenie i praktyka, jest kwestią ostatniej prostej przed wyborami - roku, może pół roku przed rozpoczęciem właściwej fazy kampanii. Przykład Karola Nawrockiego pokazuje, że ktoś całkowicie nowy, szerzej nieznany, kto pojawia się nagle, ogniskuje uwagę opinii publicznej. Nie ma jeszcze negatywnego elektoratu a zbiera wszystkie bonusy związane z nadziejami na coś nowego. Nie jest wykluczone, że zmiana lidera w KO, przed końcem kadencji nastąpi - podkreśla Jarosław Nocoń.

Delfin prawicy

Czy delfinem prawicy nie stał się prezydent Karol Nawrocki?

- Ale czy on jest dostatecznie sprawdzony politycznie przez swoje środowisko? Zdolność prezesa PiS do wyciągania królika z kapelusza w postaci Dudy czy Nawrockiego potwierdziła, że człowiek szerzej nieznany może zostać prezydentem, owszem. Ale teraz widzimy „gehennę” Dudy ze znalezieniem sensownej pracy po prezydenturze. Chcąc tego uniknąć Nawrocki zacznie moim zdaniem grać na siebie. Oczywiście jest, że będzie chciał stworzyć z Konfederacją unię polityczną opartą na trochę innych przesłankach niż PiS. Niewykluczone, że odegra istotną rolę. Nie wydaje mi się jednak, żeby

miał szanse być następcą Kaczyńskiego. Starzy fachowcy z PiS nie traktują go jako kogoś do pełnienia tej roli. Z drugiej strony, Kaczyński kiedyś prawie wskazał Ziobrę na swojego następcę. Widać dziś, co z tego wynikało - mówi Krzysztof Piekarski.

- Prezydent Nawrocki nie jest skazany na Prawo i Sprawiedliwość, nie musi robić tego, czego zażąda od niego Jarosław Kaczyński. To oczywiście. Wydaje się, że polityka prezydenta Nawrockiego będzie jednym uzależnioną od sytuacji wyborczej. W zależności od tego, jak się będą przebiegały linie podziałów na arenie politycznej, tak prezydent Nawrocki będzie kierował swoje priorytety. Z drugiej strony funkcja, którą pełni, na pewno wymaga ogromnych pokładów energii i czasu. To nie są łatwe okoliczności dla budowania potencjału lidera politycznego skrzydła - zaznacza Jarosław Nocoń.

- Prezydent Nawrocki ostatnio jakby „przygaś”... Przez dwa pierwsze miesiące nieco szaleńczych prób poszerzania kompetencji, dziwnych wypowiedzi wydaje się, że postanowił znaleźć jakąś formułę kooperacji z rządem, bo on nie może dalej opierać swojej prezydentury na wiecznym wecie.

Działania w stylu, który określono niegdyś „falandyzacją

prawa” nie powinny być immanentnym elementem prezydentury - dodaje Krzysztof Piekarski.

Inne partie

Zaznaczmy, dziś bardzo prawdopodobny jest scenariusz, w którym PiS i Konfederacja przejmują po wyborach w 2027 roku władzę. Wręcz naturalny, mimo „wymiany uprzejmości” między Sławomirem Mentzenem a politykami PiS, na które uwagę zwracają nasi rozmówcy. Te same badania, które wskazują na koalicję PiS - Konfederacja plus Braun, nie dają żadnych szans na pokonanie progu wyborczego Polsce 2050, PSL-owi, a partie lewicowe albo balansują, albo graniczne 5 proc. niewiele przekraczają.

- Szymon Hołownia został sam, pożegnanie z łaską marszałkowską bardzo mu ciąży. Razem w opozycji do wszystkich i wszystkiego nie jest wartością dodaną, a Lewica ma poważne kłopoty. Dwucyfrowy wynik tego ugrupowania to chyba raczej marzenie - mówi dr Krzysztof Piekarski.

- PSL-u nie skreślałbym z zasady. Partii tej wielokrotnie wieszczono upadek, ale jej zdolność przetrwania jest imponująca. Wydaje się też, że PSL ma pewne szanse. Zauważmy, duopol KO-PiS wciąż jest mocny, nadal jest zasilany

afektywnym konfliktem polaryzacyjnym Tuska i Kaczyńskiego oraz ich elektoratów. Ale jego potencjał się wyczerpuje, co pokazują kariery Mentzena czy Brauna, a nawet start Krzysztofa Stanowskiego w wyborach prezydenckich. Mam wrażenie, są zresztą na taką tezę pewne wskazówki, że jest w polskiej polityce luka dla nowego przywódcy, nowej siły, kogoś wyrazistego, energicznego, a jednocześnie nie radykalnego, przywiązanego do tradycji. W Hołownię od początku nie wierzyłem, dziś widać jak bardzo się on polityką zmęczył. Natomiast być może taka nowa osobowość mogłaby zostać wyłoniona właśnie z PSL-u. To jest partia doświadczona, wytrawna. Niewykluczone, że ktoś z drugiego, trzeciego szeregu dostanie szansę - tłumaczy Jarosław Nocoń.

Politolog zwraca uwagę na jeszcze jedną kwestię.

- Mimo że polskie społeczeństwo jest generalnie nastawione centrowo-liberalnie, to polska polityka partyjna jest mocno wychylona w prawą stronę. Pytanie, co będzie z formacjami lewicowymi, mającymi dziś poważne problemy, zarówno Razem jak i Lewica. Ktoś jednak będzie musiał choćby kwestie socjalne wziąć na polityczne sztandary - mówi politolog.

©©

REJSUNKI



FOTOkomentarz tygodnia



30 PAŹDZIERNIKA, KOREA PŁD. **To było pierwsze od sześciu lat spotkanie Donalda Trumpa i Xi Jinpinga w cztery oczy. Liderzy USA i Chin poruszyli najbardziej wrażliwe kwestie geopolityczne. Konsekwencją może być obniżka cel i łatwiejszy dostęp do metali ziem rzadkich. Czy przełoży się to na wojnę w Ukrainie?**

ODESZLI W MINIONYM ROKU

WSPOMNIENIA

6.11.1938-2.11.2024
Jan Sieradziński

Wieloletni emerytowany aktor Teatru Wybrzeże. O pracy w Teatrze Wybrzeże marzył będąc jeszcze studentem, a kiedy marzenie się spełniło – debiutem 16 maja 1962 r. w sztuce Gabrieli Zapolskiej „Panna Maliczewska” – pozostał mu wierny przez wszystkie lata pracy zawodowej, aż do ostatniej roli w „Parawanach” Jeana Geneta w roku 2006. Grał w sztukach reżyserowanych m.in. przez Marka Okopińskiego, Zbigniewa Bogdańskiego, Danuty Baduszkowej, Jerzego Golińskiego, Ryszarda Majora, Stanisława Hebanowskiego i Krzysztofa Babickiego. Wystąpił w kilkunastu sztukach Teatru Telewizji i słuchowiskach teatralnych Polskiego Radia. Praca artystyczna i działalność społeczna były docenione przez władze uhonorowaniem Jana Sieradzińskiego Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz odznaką Zasłużony Działacz Kultury, a także odznaką Za Zasługi dla Ziemi Gdańskiej.


1.10.1927-4.11.2024
Andrzej Krzesiński

Trener, tyczkarz, olimpijczyk z Rzymu (1960 r.), małżonek „Złotej Eli”, czyli Elżbiety Duńskiej – Krzesińskiej. Ukończył III Państwowe Gimnazjum i Liceum w Gdańsku Wrzeszczu (1947 r.) oraz AWF w Warszawie (1959 r.), gdzie otrzymał tytuł magistra wychowania fizycznego. Tyczkarz Spójni Gdańsk (1949-1956), LKS Sopot (1957-1959), Spójni Gdańsk (1960), SLA Sopot (1961-1964) i Skry Warszawa (1964-1969). 24-krotny reprezentant Polski w meczach międzypaństwowych (1950-1962), mistrz Polski (1959 r.) i 8-krotny wice mistrz w skoku o tyczce oraz 10-boju. Po zakończeniu kariery zawodniczej – trener. Jego wychowankami byli m.in. Wojciech Buciarski i Tadeusz Ślusarski. Trener kadry olimpijskiej (1976 r. i 1980 r.). Na igrzyskach olimpijskich w Montrealu (1976 r.) Tadeusz Ślusarski zdobył złoty medal, zaś w Moskwie (1980 r.) srebrny medal.


29.08.1959-16.11.2024
Wiesław Goliat

Piłkarz ręczny, bramkarz, pięciokrotny mistrz Polski, reprezentant Polski. Od 1981 był zawodnikiem Wybrzeża Gdańsk, z którym zdobył pięć tytułów mistrza Polski (1984, 1985, 1986, 1987, 1988) i dwa tytuły wice mistrzowskie (1982, 1983). Dwukrotnie z gdańskim klubem dotarł do finału Pucharu Europy (odpowiednik dzisiejszej Ligi Mistrzów), gdzie Wybrzeże uległo jugosłowiańskiej Metaloplastice Sabac (w 1986 roku) i radzieckiemu SKA Mińsk (1987). W latach 1989–1992 był zawodnikiem belgijskiej drużyny Olse Merksem HC i w 1992 zdobył z nią mistrzostwo Belgii. W latach 1979–1992 wystąpił w 104 spotkaniach reprezentacji Polski, m.in. na mistrzostwach świata grupy „B” w 1985 (3 miejsce), 1987 (3 miejsce), 1989 (2 miejsce) i 1992 (11 miejsce) oraz mistrzostwach świata grupy „A” w 1990 (11 miejsce). Był jednym z najlepszych polskich bramkarzy w historii.


16.12.1950-16.11.2024
Tadeusz Makowski

Kaszubski działacz, muzyk, twórca ludowy, gawędziarz. „Człowiek orkiestra” niezwykle kojarzący się z gminą Chmielno i kaszubską kulturą. Był wytwórcą tradycyjnych kaszubskich instrumentów ludowych, gawędziarzem i tradycjonalistą kaszubskim. Był współzałożycielem Kaszubskiej Grupy Folklorystycznej „Pleskota”. Od lat angażował się w projekty kulturalne mające na celu podtrzymanie kaszubskiej tradycji. Był wielokrotnym mistrzem w konkursie zażywania tabaki. Osobiście wyrabiał tradycyjną kaszubską tabakę, tworzył kaszubskie instrumenty takie jak: diabelskie skrzypce, bazuna i burczybas. Miał niesamowity talent gawędziarski i znakomite poczucie humoru, co można było podziwiać na różnych wydarzeniach kaszubskich. W jego twórczości pełno jest motywów nawiązujących do aspektów życia na wsi kaszubskiej.


20.10.1947-10.12.2024
Teresa Miszkina

Malarka, profesor malarstwa ASP w Gdańsku. W 1968 roku rozpoczęła studia na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, które od 1969 roku kontynuowała na Wydziale Malarstwa i Rzeźby Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Tytuł profesora uzyskała w 1993 roku, zaś od 2003 była zatrudniona na stanowisku profesora zwyczajnego. Była też kierownikiem Katedry Kształcenia Podstawowego (1992–1998), oraz prodziekanem (1999–2002) i dziekanem (2002–2008) Wydziału Malarstwa i Grafiki. Jej obrazy znajdują się w zbiorach, m.in. Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Narodowego w Gdańsku, Muzeum Narodowego w Szczecinie, Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Muzeum Okręgowym w Toruniu a także w zbiorach Zachęty Narodowej Galerii Sztuki w Warszawie, BWA w Sopotcie, Legnicy, Koszalinie, Białymostku, Szczecinie, Olsztynie, a także w kolekcjach prywatnych.


6.05.1952-21.12.2024
Zbigniew Brucki

Dziennikarz, redaktor. Przez wiele lat pisał przede wszystkim o sporcie na naszych łamach i na łamach naszych lokalnych tygodników: „Echo Pruszcza Gdańskiego”, „Dziennik Tczewski” i „Dziennik Kociewski”. Specjalizował się w tematyce sportowej, a zwłaszcza w piłce nożnej tej najbardziej lokalnej. Potrafił również ze swadą napisać tekst na każdy temat i wykonać każde zdjęcie, bowiem również potrafił on zrobić bardzo dobre zdjęcia reporterskie. Jednak dla niego sport był najważniejszy. Był prawdziwą skarbnicą wiedzy o lokalnych klubach, zawodnikach, piłkarzach, meczach i działaczach sportowych. Był wzorem do naśladowania dla młodych adeptów dziennikarskiej szkoły. Co weekend obecny na kilku meczach z nieodłącznym aparatem fotograficznym. Nie uznawał pracy za biurkową, musiał być na danym wydarzeniu i jak to mawiał „je posmakować”.


18.09.1954-8.01.2025
Edmund Skalski

Doktor nauk teologicznych, kapelan honorowy Jego Świątobliwości, infułat kapitulny archidiecezji gdańskiej, proboszcz parafii św. Maksymiliana Marii Kolbego w Gdyni w latach 1988–2008, proboszcz parafii NMP Królowej Polski w Gdyni w latach 2008–2025, dziekan Dekanatu Gdynia Śródmieście w latach 2014–24, członek Rady Kapłańskiej archidiecezji gdańskiej. W 1999 otrzymał tytuł kanonika honorowego Kapituły Katedralnej Pelplińskiej. 22.01.2003 papież Jan Paweł II nadał mu godność kapelana Jego Świątobliwości. Kapelan Komendy Miejskiej PSP w Gdyni. Naczelnny Kapelan Związku Piłsudczyków RP.


6.04.1943-22.01.2025
Janusz Gardzielewski

Były przewodniczący Rady Miasta Malborka. Był też naczelnikiem Rejonowego Urzędu Poczтового w Malborku i kierownikiem Centrum Profilaktyki Uzależnień. W mieście był znany przede wszystkim jako naczelnik poczty, ale współtworzył też malborską rzeczywistość po przemianach ustrojowych roku 1989. W pierwszej kadencji samorządu jeszcze go zabrakło w lokalnych władzach, ale radnym był przez kolejne dwie kadencje, czyli łącznie od 1994 do 2002 roku, a w latach 1998-2002 radni powierzyli mu funkcję przewodniczącego Rady Miasta.


26.12.1956 -24.01.2025
Longin Mażewski

Był absolwentem IX LO w Gdańsku i handlu zagranicznego na Uniwersytecie Gdańskim. Longin Mażewski odpowiadał za konstruowanie budżetu miasta, a także za inwestycje. W latach 1993-1994 Longin Mażewski wchodził w skład Kolegium Regionalnej Izby Obrachunkowej (RIO) w Gdańsku. W latach 1994-1998 sprawował funkcję wiceprezydenta Gdańska. Od 2001 r. do 2003 r. pełnił funkcję zastępcy ds. finansowych dyrektora oddziału TVP Gdańsk. W latach 2005-09, zarządzał jako prezes Lokatorsko-Własnościową Spółdzielnią Mieszkaniową Morena.


14.11.1944-28.01.2025
Jerzy Wąsowicz

Kapitan, żeglarz i podróżnik. W latach 80. XX w. kupił stary kuter rybacki, który przerobił na jacht oceaniczny „Antica” i wypłynął nim w sześćdziesięcioletnią wyprawę dookoła świata. Rejs zakończył się w 1997 r. w Gdańsku. Potem były następne wyprawy: do obu Ameryk w latach 1998-2000, „Śladami wielkich Polaków” 2003-2004, „Ekspedycja do korzeni cywilizacji” - Europa i Ameryka 2005-2006, „Gdańska Ekspedycja wokół Morza Bałtyckiego” 2007. Otrzymał wiele nagród m.in. nagrodę Rejs Roku - Srebrny Sekstant za wyprawę do obu Ameryk, nagrodę Conrada oraz Kolosa


25.03.1955-4.02.2025
Krzysztof Krzemiński

Był burmistrzem Redy od 2006 do 2024 r. W 2024 r. został radnym powiatu wejherowskiego z ramienia Koalicji Obywatelskiej. Karierę samorządowca zaczynał, gdy tylko samorząd Redy zaczął istnieć. Był zastępcą burmistrza w pierwszej i drugiej kadencji oraz radnym Rady Powiatu Wejherowskiego w trzeciej i czwartej kadencji. Był też członkiem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, oddział w Redzie. Przez lata zajmował się rozwojem Redy. W 2014 roku został laureatem plebiscytu „Orzeł Samorządu”, który odbywa się pod honorowym patronatem przewodniczącego Sejmiku Samorządu Województwa Pomorskiego.


22.02.1935-4.02.2025
Zenon Mirola

Artysta fotografik, założyciel fotograf Stoczni Gdańskiej. Od 1962 r. do przejścia na emeryturę w 1990 r. był kierownikiem Pracowni Fotograficzno-Filmowej. Był kronikarzem licznych wizyt oficjalnych, wykonywał portrety dyrektorów zakładu, portretował także budowniczych statków. Był członkiem Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców 1970, stworzył kolekcję zdjęć dotyczących powstania pomnika, a także jego odsłonięcia. Od 2018 r. współpracował ze Stowarzyszeniem Strażników Pamięci Stoczni Gdańskiej. Uhonorowany Medalem 40-lecia PRL, Medalem 1000-lecia Miasta Gdańska.



WSPOMNIENIA

12.09.1947-17.02.2025

Wiesław Wika

Doktor nauk humanistycznych, trener klasy mistrzowskiej, Szkoleniowiec w Unii Tczew, Wiśle Tczew, MOSiR Pruszczo Gd. oraz w Gdańskim Okręgowym Związku Piłki Nożnej i Pomorskim Związku Piłki Nożnej. W PZPN zasiadał w Komisji Ekonomicznej, zarządzie oraz Prezydium Zarządu PZPN. Założyciel i członek pierwszego Zarządu Polskiej Korporacji Menedżerów Sportu. Pełnił funkcję prezesa GOZPN w latach 1991-1999. Był członkiem honorowym, prezesem honorowym GOZPN oraz prezesem honorowym PomZPN. Był również nauczycielem akademickim na Uniwersytecie Gdańskim, w AWFIS w Gdańsku, Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego i Turystyki w Sopocie oraz Pomorskiej Szkole Wyższej w Starogardzie Gd. gdzie piastował funkcję rektora. Wykładowca Szkoły Trenerów PZPN. Był też autorem wielu książek o futbolu, m.in. „Z dziejów pomorskiej piłki nożnej” czy „Kaka. Chłopak ze Starogardu”.



18.04.1947-4.03.2025

Jerzy Pasiński

Działacz państwowy, inżynier mechaniki i menedżer, doktor nauk technicznych, w latach 1989-90 prezydent Gdańska. W 1985 obronił doktorat w dziedzinie mechaniki-trybologii. Autor 12 patentów. W 1968 wstąpił do PZPR. W latach 1984-90 radny Miejskiej Rady Narodowej w Gdańsku. Od 23 listopada 1989 do 10 lipca 1990 sprawował funkcję prezydenta Gdańska. W latach 1990-91 dyrektor generalny Gdańskiej Izby Prywatnego Przemysłu i Handlu, następnie w latach 1994-96 prezes Gdańskiej Izby Gospodarczej. W 1991 pracował jako dyrektor handlowy PPH Marżał, następnie do 1999 prezes Międzynarodowych Targów Gdańskich, następnie zastępca prezesa Gdańskiego Towarzystwa Budownictwa Społecznego. Był również pełnomocnikiem marszałka województwa pomorskiego ds. inowencji oraz zastępcą kierownika Urzędu do Spraw Kompatantów i Osób Represjonowanych.



20.11.1938-5.03.2025

Bronisław Aubrecht -Prądyński

Tancerz, pedagog, dyrektor gdańskiej szkoły baletowej. W 1958 roku ukończył Państwową Średnią Szkołę Baletową w Gdańsku. Od razu został zatrudniony w zespole baletowym Państwowej Opery Bałtyckiej w Gdańsku. Od 1975 r. organizował letnie kursy doskonalenia nauczycieli w zakresie tańca klasycznego, charakterystycznego i współczesnego. Od 1984 r. organizował w Teatrze Muzycznym Gdyńskie Wieczory Baletowe. Reaktywował także Ogólnopolskie Konkursy Tańca. Powołał też do życia Dom Tancerza. W latach 1993-96 pracował na stanowisku dyrektora baletu Państwowej Opery Bałtyckiej w Gdańsku. W 1995 r. otrzymał dyplom i nagrodę Ministra Kultury i Sztuki (IX OKT w Gdańsku), a w 2003 r. – nagrodę prezydenta Gdańska w dziedzinie kultury. Decyzją ministra kultury i dziedzictwa narodowego w 2017 r. został odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”.



31.03.1954-11.03.2025

Zbigniew Buski

Prawnik, publicysta i menadżer kultury. W latach 1999-2022 dyrektor Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie. Ukończył studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Absolwent studiów podyplomowych na Uniwersytecie Warszawskim z kierunku zarządzania działalnością społeczno-kulturalną, zarządzania organizacjami pozarządowymi oraz instytucjami w zakresie edukacji, kultury i pomocy społecznej. W 1997 r. przeprowadził się do Sopotu, by objąć stanowisko głównego specjalisty w Państwowej Galerii Sztuki. Z czasem awansował na stanowisko wicedyrektora PGS Sopot. W 1999 został powołany na stanowisko dyrektora tej instytucji. W 2022 przeszedł na emeryturę i z końcem marca zakończył sprawowanie funkcji dyrektora Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie. Pełnił funkcję członka Zarządu Fundacji im. Daniela Chodowieckiego przy Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie.



8.01.1966-10.04.2025

Dariusz Szymikowski

Nauczyciel historii, badacz dziejów Kaszubów i aktywny członek stowarzyszenia Kaszëbskô Jednota. Przez wiele lat związany był z VI LO w Gdańsku. W swojej pracy dydaktycznej szczególnie podkreślał znaczenie historii Pomorza i Kaszub, zachęcając młodzież do odkrywania lokalnej tożsamości i dziedzictwa kulturowego regionu. Aktywnie działał na rzecz społeczności kaszubskiej. Jako członek Kaszëbsczi Jednotë angażował się w działania na rzecz promowania języka i kultury kaszubskiej. W 2013 r. zainicjował i współtworzył projekt „Jinternetowégò Uczbowni-ka Historie Kaszëbów” – pierwszego internetowego podręcznika do historii Kaszubów. Był to projekt edukacyjny stworzony z myślą o nauczycielach i uczniach szkół ponadpodstawowych. Podręcznik powstał jako odpowiedź na potrzebę uzupełnienia treści szkolnych o wątki związane z kaszubską tożsamością i tradycją.



3.07.1951-23.04.2025

Leszek Kopeć

Producent filmowy, przedsiębiorca, wydawca. Dyrektor Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, Gdyńskiej Szkoły Filmowej oraz prezes Zarządu Pomorskiej Fundacji Filmowej w Gdyni. W 1976 r. ukończył studia na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Był współzałożycielem i redaktorem pisma studenckiego „Literaria” (1973-1979), redaktorem naczelnym wydawnictwa „Fokus” (1993-1994). Od 1999 do 2005 dyrektor Neptun Filmu, od 2000 do 2002 – dyrektor Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Od 2005 do 2010 dyrektor Centrum Kultury w Gdyni. Od 2010 do 2022 wydawca kwartalnika artystycznego „Bliza”. Od 2010 był dyrektorem Gdyńskiej Szkoły Filmowej, a w latach 2015-2022 Gdyńskiego Centrum Filmowego. Odznaczony brązowym, srebrnym i złotym Medalem Gloria Artis ministra kultury.



2.10.1938-7.05.2025

Kazimierz Jaremczak

Judoka, brązowy medalista mistrzostw Europy (1965), pięciokrotny mistrz Polski, trener, prezes Polskiego Związku Judo (1990-1994), także mistrz Polski w rugby. Był zawodnikiem Zryw Gdańsk, Spójni Gdańsk i Wybrzeża Gdańsk. Pięciokrotnie zdobywał mistrzostwo Polski. Karierę zawodniczą zakończył w 1965. Następnie pracował jako trener w Wybrzeżu i od 1969 w AZS Gdańsk. W 1968 ukończył kurs przewodniczącym tej komisji. W 2013 zdobył stopień mistrzowski 8 DAN. Jako zawodnik Lechii Gdańsk występował w latach 1958-1960 w I lidze rugby i w 1960 zdobył mistrzostwo Polski.



2.01.1942-14.05.2025

Jadwiga Kopeć

Przez wiele lat pracowała w Urzędzie Miejskim w Gdańsku. To dzięki niej mamy Park Reagana. Do Gdańska przyjechała jako niespełna 18-letnia dziewczyna na studia. Ukończyła Wydział Chemii na Politechnice Gdańskiej. Przez całe dorosłe życie związana była z Wrzeszczem Górnym. Wiele gdańszczan zapamiętało ją jako kobietę z klasą, elegancką i życzliwą. Od początku lat 90. aż do przejścia na emeryturę Jadwiga Kopeć kierowała Wydziałem Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego w Gdańsku. Jej być może najważniejszym i zrealizowanym projektem było przekształcenie terenów Pasa Nadmorskiego w obecny Park Reagana. Po przejściu na emeryturę nadal angażowała się w ochronę środowiska, już jako ekspertka Polskiego Klubu Ekologicznego Okręg Pomorski. Uczestniczyła m.in. w przygotowaniu Społecznej Koncepcji i Inwentaryzacji Przyrodniczej Pasa Nadmorskiego na odcinku Jelitkowo-Brzeźno.



21.08.1935-15.05.2025

Joanna Rutkowiak

Pedagog, profesor nauk humanistycznych. W 1957 r. ukończyła studia pedagogiczne w Instytucie Pedagogicznym im. Hercena w Sankt-Petersburgu, w 1969 r. obroniła w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku pracę doktorską „Błędy dydaktyczne początkujących nauczycieli” napisaną pod kierunkiem Ludwika Bandury, w 1979 r. habilitowała się na podstawie pracy „Instytucjonalne czynniki doskonalenia zawodowego nauczycieli”. W 1993 r. uzyskała tytuł profesora nauk humanistycznych. Pracowała na Uniwersytecie Gdańskim, gdzie od 1980 kierowała Zakładem Dydaktyki, a także w Olsztyńskiej Szkole Wyższej im. Józefa Rusieckiego, w Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku, oraz w Szkole Wyższej im. Pawła Włodkowica w Płocku. Była członkiem Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN. W 1998 otrzymała tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Linköping.



5.02.1957-26.05.2025

Andrzej Walas

Rugbista i szermierz, reprezentant Polski i Lechii Gdańsk oraz kolekcjoner sztuki. W latach 1972-1980 trenował szermierkę. Następnie studiował na Akademii Wychowania Fizycznego w Gdańsku, gdzie reprezentował AZS WSWF Gdańsk. W latach 1981-1999 grał w sekcji rugby Lechii Gdańsk. W reprezentacji Polski zadebiutował 23 sierpnia 1985 r. w meczu Polska – Czechosłowacja. Pod koniec życia prowadził kantor wymiany walut w Sopocie. Kolekcjonował początkowo gdańskie znaczki i monety, z czasem interesując się twórczością związanych z Gdańskiem niemieckich malarzy. Następnie zaczął kolekcjonować meble, porcelanę i ceramikę. Jego kolekcja dzieł sztuki obejmuje około tysiąca eksponatów, w tym obrazów, grafik, ceramikę, sztućców, naczyń, mebli i literatury, które to były wielokrotnie prezentowane w muzeach i galeriach w Trójmieście oraz w Nadbałtyckim Centrum Kultury.



10.07.1956-12.06.2025

Ewa Kowalska

Blogerka, dziennikarka obywatelska, przewodnicząca. Znała gdańską przewodniczką, autorka popularnego bloga iBeder adresowanego do „turystów, organizatorów wycieczek, pilotów, przewodników turystycznych i miłośników Gdańska, Gdyni i Sopotu” oraz spacerownika „Spacer po Trójmieście”. Od 2006 roku dała się poznać jako dziennikarka obywatelska. W ciągu trzech lat w różnych serwisach internetowych opublikowała około tysiąca artykułów na tematy trójmiejskie, w tym kronikarski cykl o budowie stadionu w Letnicy, spuentowany wystawą fotograficzną w Dworze Artusa. Od lata 2011 była organizatorką cyklicznych i bezpłatnych spacerów dla mieszkańców Trójmiasta, z udziałem licencjonowanego przewodnika. W listopadzie 2011 we współpracy z Instytutem Kultury Miejskiej zaczęła realizować projekt edukacyjny dla gdańskich szkół „Gdańskie Miniatury”.



27.05.1949-13.06.2025

Piotr Nowina-Konopka

Polityk, nauczyciel akademicki, dyplomata, minister stanu w Kancelarii Prezydenta RP w latach 1989-90, poseł na Sejm I, II i III kadencji, urzędnik Parlamentu Europejskiego, w latach 2013-16 ambasador Rzeczypospolitej Polskiej przy Stolicy Apostolskiej oraz Zakonie Maltańskim. W 1972 r. ukończył studia na Wydziale Ekonomiki Transportu UG. W 1978 uzyskał stopień doktora nauk ekonomicznych. Do 1989 był adiunktem w Instytucie Ekonomiki Handlu Zagranicznego UG. W latach 1982-89 był rzecznikiem prasowym Lecha Wałęsy. Z rekomendacji „Solidarności” w latach 1989-90 pełnił funkcję ministra stanu w kancelarii prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Po 2001 wycofał się z działalności politycznej. Od 2006 pracował w Parlamencie Europejskim w Brukseli (będąc pierwszym Polakiem na dyrektorskim stanowisku w strukturze PE). 19 czerwca 2013 powołany na stanowisko ambasadora RP przy Stolicy Apostolskiej.



WSPOMNIENIA

22.08.1960-29.07.2025

Krzysztof Matuszewski

Aktor teatralny, dubbingowy, filmowy i serialowy. Dołączył do zespołu Teatru Wybrzeże w 1983 r., po ukończeniu studiów w krakowskiej PWST. W tym samym roku zadebiutował rolą Hajmona w „Antygonie” Sofoklesa w reż. Marka Okopińskiego. Był jednym z najważniejszych artystów gdańskiej sceny, stworzył wiele wybitnych kreacji scenicznych. Często grał w spektaklach cenionych reżyserów, m.in. Jana Klaty, Eweliny Marciniak, Radka Stępnia i Adama Orzechowskiego. W ostatnich latach można go było oglądać w takich przedstawieniach jak m.in.: „Wspólny pokój”, „Puste miejsca”, „Lilla Weneda”, „Czego nie widać”. Występował również w filmach i serialach, m.in. „Wróżby kumaka”, „Czarny czwartek”, „Kamerdyner”, „Wielka woda”. W 2013 r. otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Gdańska w Dziedzinie Kultury, a w 2016 r. odznaczono go Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze - Gloria Artis”.



19.08.1963-11.08.2025

Dariusz Męczykowski

Był wieloletnim dyrektorem Szkoły Podstawowej w Nowej Karczmie i radnym województwa pomorskiego, a także aktywnym działaczem sportowym i trenerem zespołu piłkarek ręcznych UKS PCM Kościerzyna. Jego działalność samorządowa rozpoczęła się jeszcze przed wejściem do Sejmiu Województwa Pomorskiego. W latach 1998-2002 pełnił funkcję m.in. radnego i członka Zarządu Gminy Nowa Karczma. Od 2006 r. przez 18 lat był radnym województwa pomorskiego. W latach 2010-2014 był wiceprzewodniczącym sejmiku, w latach 2014-2018 przewodniczącym Komisji Nauki, Edukacji i Sportu. Z pasją realizował się jako nauczyciel i dyrektor szkoły. Sportową drogę rozpoczął na początku lat 80. Był trenerem i działaczem piłki ręcznej, współpracował z takimi klubami jak Bałtyk Gdynia, Start Gdańsk oraz KS Kościerzyna.



10.03.1945-7.09.2025

Jerzy Włodzik

Wieloletni wójt gminy Kosakowo, radny powiatu puckiego, członek samorządowców i społecznik. Od ponad pół wieku związany był z Kosakowem, które stało się jego życiową pasją i misją. Był pierwszym wójtem gminy wybranym w wyborach bezpośrednich. W czasie trzech kadencji na stanowisku wójta zmienił on oblicze Kosakowa. Pod jego kierownictwem gmina była wielokrotnie nagradzana w rankingach i konkursach samorządowych. Kosakowo zajęło pierwsze miejsce w rankingu „Gmina Manager 2006” i zostało laureatem konkursu „Teraz Polska”. Otrzymał również tytuł „Orzeł Samorządu 2014”. Zapisał się w historii Kosakowa jako człowiek, który całym sercem oddał się swojej gminie. Pozostawił po sobie trwałe ślady – zarówno w postaci zrealizowanych inwestycji, jak i budowanych przez lata relacji z mieszkańcami.



25.09.1952-16.09.2025

Stanisław Seyfried

Dziennikarz, absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1977 roku współpracował z Rozgłośnią Polskiego Radia w Gdańsku, redakcją „Sportu” w Katowicach i miesięcznikiem „Widnokręgi”. W latach 1979-1993 w Rozgłośni Polskiego Radia w Gdańsku: dziennikarz w redakcji publicystyki, redakcji rolnej, od 1991 roku zastępca redaktora naczelnego. Dyrektor stacji TV Sky Orunia (1993 rok), był wydawcą „Głosu Wybrzeża”, wiceprezesem zarządu gdańskiego „Wybrzeża”, współtwórcą „Gazety Gdańskiej” oraz wielokrotnym mistrzem Polski dziennikarzy w piłce nożnej. Po studiach w Akademii A.F. Modrzewskiego recenzent sztuk plastycznych, znawca „Szkoły sopockiej - między sztuką a polityką”, kurator wystaw malarskich, ich animator i niestrudzony promotor.



9.09.1962-20.09.2025

Piotr Piesik

Dziennikarz, prezenter radiowy, śpiewak, nauczyciel, konferansjer. Był rodowitym malborczaninem. Dziennikarstwo rozpoczynał w redakcji tygodnika „Wiadomości Elbląskie”, następnie pracował w „Dzienniku Bałtyckim”. Po przeprowadzce do Częstochowy został redaktorem naczelnym „Życia Częstochowy”. Pracował także w „Dzienniku Zachodnim”, Radiu City i Telewizji Orion w Częstochowie. Po powrocie na Wybrzeże przez wiele lat prowadził tygodnik „Po- wście Sztum i Dzierzgoń”, gdy był zatrudniony w sztumskim oddziale „Dziennika Bałtyckiego”. W 2022 r. odszedł do tygodnika „Zawsze Pomorze”. Działal też w Radiu Malbork. Zawodowo żałował tylko, że nie spełniło się jego jedno marzenie – chciał zostać spikerem na stadionie i komentować mecze, szczególnie żużlowe. Zmarł niespodziewanie podczas urlopu, który spędzał w Portugalii.



4.05.1959-27.09.2025

Janusz Czerwiński

Dziennikarz, redaktor, podróżnik. W latach 80-tych ubiegłego wieku rozpoczął pracę w korekcie w RSW „Prasa Książka Ruch”, następnie trafił do redakcji „Dziennika Bałtyckiego”. Najpierw pracował jako redaktor depe- szowy, później został reporterem i wydawcą dodatków „Rejsy” i „Relaks”. Po przygodzie z „Dziennikiem Bałtyckim” na krótko trafił do „Głosu Wybrzeża”, gdzie był sekretarzem redakcji. Następnie został redaktorem naczelnym magazynu „Poznaj Świat” miesięcznik. Angażował się w „Harpagona”, chciał też porwać się na wydawanie dużej, nadmorskiej gazety bezpłatnej. Był współtwórcą i pierwszym prezesem Polskiego Klubu Przygody. Jego pasją były podróże a także sport, a zwłaszcza wioślarstwo – stąd jego zamiłowanie do „Smoczycy łodzi” oraz organizacja na Motławie wioślarskich regat gdańskich mediów.



16.05.1941-3.10.2025

Jan Jakubowski

Dziennikarz, redaktor. Absolwent Wydziału Elektroniki Politechniki Gdańskiej. W czasie studiów nawiązał współpracę z tygodnikiem „Politechnik”. Od 1973 r. w dziennikarstwie: publicysta, kierownik działu nauki i kultury „Tygodnika Morskiego (1973-1975); kierownik działu oświaty i nauki tygodnika „Czas” (1975-1981). W 1982 r., w stanie wojennym, po likwidacji tygodnika „Czas” i zwolnieniu z pracy w wyniku weryfikacji (zakaz pracy w dziennikarstwie) zatrudnił się na etacie technicznym w Instytucie Okrętowym Politechniki Gdańskiej. W tym okresie współuczestniczył w redagowaniu nielegalnego Biuletynu Solidarności Gdańsk. Zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Gdańskiego” (1989-1991); redaktor naczelny „Dziennika Bałtyckiego” (1991-1996). Od roku 1997 współwłaściciel firmy JT Transmedia. W latach 1980-1981 działacz NSZZ „Solidarność”, przewodniczący Komisji Zakładowej w Domu Prasy.



13.10.1931-9.10.2025

Zenon Ciesielski

Skandynawista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Doktoryzował się w 1967 r., a habilitował w 1983 r. W 1973 r. został docentem, a w 1991 r. profesorem tytularnym Uniwersytetu Gdańskiego. W 1970 r. zorganizował w Uniwersytecie Gdańskim Zakład Języków i Kultury Kra- jów Skandynawskich, przekształcony w 1981 r. w Katedrę Skandynawistyki. Kierował tymi jednostkami organizacyjnymi w latach 1972-1981 i 1983-1990. Był członkiem wielu organizacji i towarzystw naukowych m.in. Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, International Association for Scandinavian Studies, Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej Akademii Nauk, Komitetu Neofilologicznego PAN, Instytutu Polsko-Skandynawskiego w Kopenhadze, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W latach 1995-2007 był przewodniczącym jury międzynarodowej Nagrody im. Stanisława Sawickiego.



26.03.1943-9.10.2025

Barbara Szczepuła-Ponikowska

Dziennikarka, reporterka, publicystka. Absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej, Wydziału Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego i teologii na Wydziale Papieskim w Warszawie. Dziennikarka tygodnika „Perspektywy”, następnie tygodnika „Kobieta i Życie” w Warszawie. Na Wybrzeżu od 1989 r.: publicystka „Tygodnika Gdańskiego”, następnie dziennikarka „Dziennika Bałtyckiego” (przez pewien czas szefowa magazynu „Rejsy”). W 1981 roku publikowała na łamach tygodnika „Solidarność”. W jej dorobku są tomy reportaży: Przystanek Politechnika, Kod Heweliusza, Dziadek w Wehrmachcie, książka „Alina Pienkowska. Miłość w cieniu polityki”, za którą otrzymała Nagrodę Miasta Gdańska w Dziedzinie Kultury Splendor Gedanensis. W czasie reporterskich penetracji odkryła młodzieńcze wiersze oraz listy Zbigniewa Herberta, a ich historię opisała w reportażu „Niedokończona miłość”.



12.08.1964-19.10.2025

Andrzej Kołakowski

Pieśniarz, poeta, pedagog, publicysta, nauczyciel akademicki, działacz opozycyjny w okresie PRL. W 1989 r. ukończył pedagogikę na KUL, w 2006 r. obronił pracę doktorską. Pracę zawodową rozpoczął w 1990 r. Pracował w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Międzyrzeczu, Areszcie Śledczym w Gdańsku, Domu Pomocy dla Dzieci Upośledzonych Umysłowo w Gdańsku czy Pogotowiu Opiekuńczym przy Zespole Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych w Gdańsku. Od 2006 r. był pracownikiem naukowym Uniwersytetu Gdańskiego. Publikował felietony i artykuły historyczne w „Naszym Dzienniku”. Napisał kilka książek z zakresu historii wychowania w Polsce. Od wielu lat koncertował, wykonując swoje piosenki o tematyce historyczno-religijno-społeczno-politycznej. W 2014 r. zasiadł w Komitecie Honorowym Fundacji „Łączka”. Prywatnie był mężem Anny Kołakowskiej, która była gdańską radną z ramienia PiS.



24.07.1952-21.10.2025

Stanisław Esden-Tempski

Poeta, prozaik, publicysta ps. Janusz Wilczak. Wywodził się z rodu szlachty kaszubskiej. W 1972 r. ukończył Technikum Tworzyw Sztucznych w Gdyni. W 1973 r. podjął studia z psychologii na Uniwersytecie Warszawskim. Po roku przeniósł się na studia polonistyczne na Uniwersytecie Gdańskim, które ukończył w 1980 r. Debiutował, publikując razem z Aleksandrem Jurewiczem, Antonim Pawlakiem i Markiem Bińkowskim w 1973 r. w „Literach” wiersze opatrzone wspólnym tytułem „Muzea samowiedzy oraz wspólną deklaracją programową twórców”. Jako dziennikarz współpracował m.in. z „Ex Librisem”, „Polityką”, „Midwest Review”, „Nowym Dziennikiem”. W 1980 r. był pierwszym protokolantem obrad Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. W latach 1988-1992 przebywał na emigracji w USA, następnie w Wielkiej Brytanii, od 2000 r. mieszkał w Polsce. W 2002 r. został redaktorem serii miniatur „TYPOezja”.



29.01.1936-25.10.2025

Jacek Mach

Dziennikarz, redaktor, publicysta. W okresie studiów współpracował z „Głosem Politechniki Gdańskiej” (1955) i dwutygodnikiem młodych Wybrzeża „Uwaga” (1957-1958). Publicysta tygodnika Marynarki Wojennej „Bande- ra” (1958-1959); redaktor depe- szowy i publicysta „Głosu Wybrzeża” (1959-1968); kierownik redakcji publicystyki i informacji, sekretarz programowy w Gdańskim Ośrodku Telewizyjnym (1969-1983); kierownik działu ekonomicznego, miejskiego, „Magazy- nu” w redakcji „Głosu Wybrzeża” (1983-1996). Od roku 1996 na emeryturze, stale współpracował z „Głosem Wybrzeża” i „Dziennikiem Bałtyckim”. Autor reportaży telewizyjnych z Arktyki i Antarktyki oraz filmów dokumentalnych: „Droga przez pustynię” i „Tam, gdzie kończy się mapa”. Publicysta ekonomiczny, od 1990 r. w swoich publikacjach zajmował się upowszechnianiem wiedzy o nowych instrumentach finansowych i giełdzie.



Zwycięzcy VI edycji Oliwskiego Budżetu Sąsiedzkiego ogłoszeni

Warsztaty międzypokoleniowe, koncert, warsztaty fotograficzne, publikacja o Domu Bramnym i flash mob – te projekty zostaną zrealizowane w ramach VI edycji Oliwskiego Budżetu Sąsiedzkiego, finansowanego przez Olivia Centre, Andrzeja Stelmasicwicza i Przemysław Skokowskiego, radnego dzielnicy Przymorze Małe.

Oliwski Budżet Sąsiedzki to lokalny program wsparcia inicjatyw rozwijających Oliwę i Przymorze Małe oraz mieszkańców dwóch dzielnic położonych przy Olivia Centre. Inicjatywa jest konsekwentnie realizowana od 2020 roku, a jej celem jest umożliwienie realizacji projektów, zgłaszanych przez samych mieszkańców i dla nich realizowanych. Wyniki tegorocznej edycji ogłoszono 26 października w trakcie uroczystości w holu głównym Olivii Star.

W VI edycji budżetu zgłoszonych zostało aż 15 inicjatyw, spośród których jurorzy zdecydowali się na dofinansowanie lub całościowe wsparcie realizacji 5 projektów. Pierwszym z nich jest koncert dla mieszkańców Oliwy i turystów, jaki odbędzie się w lipcu 2026 roku na terenie Parku im. Adama Mickiewicza w Oliwie. To kontynuacja tradycji letnich koncertów i odpowiedź na potrzebę uczestnictwa w wydarzeniach kulturalnych osób w każdym wieku i w różnym stanie zdrowia. Na podstawie frekwencji w latach ubiegłych organizatorzy zakładają, że obecnych będzie około 250-300 osób. Miejsce i pora koncertu pozwalają na uczestnictwo osób w każdym wieku, można wysłuchać go zarówno na kocu z pupilem, jak i na wózku inwalidzkim, dzieci mogą wysłuchać go razem z rodzicami, poznając literaturę muzyczną.

Drugim projektem, który uzyskał dofinansowanie, jest kontynuacja inicjatywy, która dotychczas realizowana była w innych dzielnicach Gdańska. Projekt Czas i obraz Gdańska: Oliwa i Małe Przymorze obejmuje warsztaty tworzenia kolaży z dawnych pocztówek i łączenia ich z obrazami codzienności mieszkańców obu dzielnic. Inicjatywa ma na celu łączenie pokoleń w oparciu o uchwycone na starych fo-



” W VI edycji budżetu zgłoszonych zostało aż 15 inicjatyw, spośród których jurorzy zdecydowali się na dofinansowanie lub całościowe wsparcie realizacji 5 projektów. ”

tografiach i pocztówkach przeobrażenia przestrzeni dzielnic. Umożliwia nie tylko międzypokoleniowy, ale i międzykulturowy dialog z uwagi na różnorodną historię dzielnicy, ale także poprzez jego uczestników: projekt adresowany jest do osób w różnym wieku, kraju pochodzenia czy wyznania. W jego ramach zaplanowane są 4 warsztaty, w których weźmie udział 50 osób. Projekt uzupełnia spotkania w innych częściach Gdańska, które docelowo mają umożliwić stworzenie historycznej mapy miejsc i ich zmian na przestrzeni czasu.

Dofinansowanie uzyskał także projekt Regionalnego Centrum Informacji i Wspomagania Organizacji Pozarządowych. Oliwa w Obiektywie słowa i obrazu to warsztaty łączące w sobie edukację i twórczą aktywność

mieszkańców. W jego ramach odbędą się warsztaty z tworzenia reportaży i fotografii dokumentujących życie dzielnicy. Spotkania będą prowadzone przez doświadczonego dziennikarza, a uczestnicy poznają podstawy tworzenia reportaży, nauczą się konstruować pytania do wywiadów, zbierać materiały i budować opowieść. W ramach projektu odbędzie się także warsztat reportażowej fotografii mobilnej w formule terenowej, w trakcie którego uczestnicy dowiedzą się, jak korzystać ze smartfona jako narzędzia reporterskiego. Poznają zasady kompozycji i narracji w fotografii oraz nauczą się, jak uchwycić życie codzienne Oliwy w obrazie.

Wśród projektów, jakie uzyskały wsparcie, znalazła się także publikacja historii Domu Bramnego w formie drukow-

anej i jej kolportaż wśród mieszkańców. Dom Bramny to miejsce oliwskich spotkań, a zarazem najstarsza perełka gotyku ceglanego, położonego przy ul. Stary Rynek Oliwski. Budynek pochodzi z XV wieku i pomimo że jest położony w samym sercu dzielnicy, to jego historia nie jest szeroko znana. W stworzenie publikacji zaangażowali się pasjonaci historii Oliwy – wolontariusze i seniorzy, na co dzień korzystający z zajęć, jakie się w nim odbywają. Obiekt przez stulecia pełnił rolę bramy, przez którą do Oliwy wjeżdżali polscy królowie: Jan III Sobieski, Jan Kazimierz, Zygmunt III Waza, królowa Ludwika Gonzaga i inni. Przez nią wjeżdżali także posłowie, którzy negocjowali pokój oliwski po bitwie ze Szwedami. Publikacja przybliży także historię oliwskich cystersów, jak i aktualnie realizowane na jego terenie inicjatywy jako Domu Sąsiedzkiego.

Dzięki dofinansowaniu z Oliwskiego Budżetu Sąsiedzkiego dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 23 w Oliwie zorganizują akcję flash mob w ramach ogólnopolskiego Narodowego Czytania. W październikową niedzielę uczestnicy projektu będą promować poezję Jana Kochanowskiego na terenie

Parku w Oliwie i czytać gościom parku jego poszczególne utwory. Wydarzenie będzie nagrane i zmontowane w krótki film, który później pozwoli promować szkołę i literaturę Jana Kochanowskiego.

Historia Oliwskiego Budżetu Sąsiedzkiego sięga 2020 roku, kiedy to powstała platforma wsparcia lokalnych inicjatyw mających na celu rozwój Oliwy i Przymorza Małego – dwóch dzielnic Gdańska, położonych bezpośrednio przy Olivii Centre, a których mieszkańcy najczęściej pracują w Olivii. – W ten sposób chcemy wspierać wszystkie inicjatywy, które są ważne dla mieszkańców i przyczyniają się do rozwoju otoczenia, w którym prowadzimy działalność – mówi Bogusław Wieczorek, pełnomocnik zarządu Olivia Centre. – Jako największe w Polsce centrum biznesowe wspieramy rozwój Gdańska i Pomorza, oferując miejsca pracy i przestrzeń do rozwoju biznesu, jednak liczy się dla nas także ta mikrospołeczność, której na co dzień jesteśmy sąsiadami. Chcemy wspierać organizację zajęć pozalekcyjnych, warsztaty aktywizacyjne skierowane do seniorów i osób potrzebujących, ale także chętnie wesprzemy rozwój przestrzeni wspólnych o nowe obiekty czy

elementy małej architektury. Doświadczenie pokazuje, że Oliwski Budżet Sąsiedzki sprawdza się tam, gdzie na co dzień potrzeba wsparcia, a inne źródła finansowania nie dają takiej możliwości. Cieszymy się, że w ten sposób możemy przyczynić się do podniesienia jakości życia i być dobrymi sąsiadami dla naszej lokalnej społeczności.

Oliwski Budżet Sąsiedzki to inicjatywa Olivii Centre, którą od samego początku wspiera Andrzej Stelmasicwicz, lokalny przedsiębiorca, działacz kultury i wieloletni gdański radny, a od 2024 roku w działalność Oliwskiego Budżetu włączył się również Przemysław Skokowski, radny dzielnicy Przymorze Małe, także gdański przedsiębiorca. W jury, decydującym o wyborze dofinansowanych inicjatyw, zasiadają: Małgorzata Skwira – dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 35, Tomasz Strug – przewodniczący Zarządu Dzielnicy Oliwa, Przemysław Skokowski – przewodniczący Rady Dzielnicy Przymorze Małe, Andrzej Stelmasicwicz – mieszkaniec Oliwy i społecznik, Grzegorz Kidybiński – członek Zarządu Olivia Centre, Bogusław Wieczorek – pełnomocnik Zarządu Olivia Centre ds. public relations.

JAK ŚWIATŁO I CIEŃ

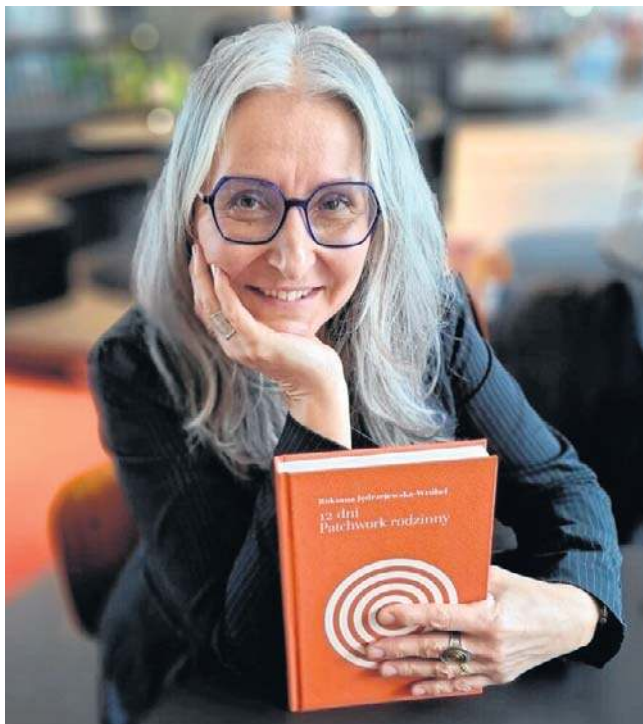
Aleksandra Kozłowska

Aleksandra Kozłowska: Napisałaś 40 książek dla dzieci i młodzieży, fantastycznych, mądrych, nagradzanych. Mogłoby się wydawać, że znalazłaś i na dobre zakorzeniłaś się w swojej dziedzinie. Aż tu nagle w zeszłym roku publikujesz powieść dla dorosłych „12 dni. Patchwork rodzinny”. To historia czterdziestu lat z życia rodziny Migrowiczów, ale każdy rozdział przynosi czyjąś śmierć. W sumie umiera trzynaście osób: starzy, młodzi, nawet dziecko. Jesteś członkinią Instytutu Dobrej Śmierci, prowadzisz spotkania w ramach Death Cafe. Dlaczego zajęłaś się właśnie tym tematem?
Roksana Jędrzejewska-Wróbel: Może dlatego, że gdy miałam sześć lat, miałam wypadek? Podczas zabawy spałam ze śmietnika na szkło, które przecięło tętnicę. Na chwilę zawisłam między światami.

Jak jedna z bohaterek „12 dni”.
Użyłam elementów autobiograficznych do wyhaftowania różnych wątków tej powieści. Tak jak jej bohaterka, Róża, zostałam uratowana, ale otarłam się o śmierć. Myślę, że tamto doświadczenie jakoś mnie naznaczyło, bo od zawsze wiem, jak ważny jest to temat.

Ważny, ale niechciany. Unikamy go jak diabeł święconej wody.
A szkoda. Myślenie, rozmowy o przemijaniu i śmierci bardziej osadzają nas w życiu. Pozwalają je docenić, głębiej doświadczać, znaleźć sens. Może dlatego zawsze lubiłam cmentarze, przestrzenie, gdzie śmierć spotyka się z życiem. Myślę, że to kluczowe, żeby ich nie rozdzielać, bo przecież życie i śmierć z natury są połączone, nie ma jednego bez drugiego.

Jak pory roku, jak światło i cień.
Właśnie. Udawanie, że tak nie jest to wielka iluzja. Dlatego, kiedyś miałam dziewiętnaście lat, chciałam opisać ostatni dzień życia różnych ludzi. Takich, niby obcych a znanych, których latami się widuje, gada o drobiazgach, a którzy pewnego dnia znikają z rzeczywistości: pani z wazywniaka, szewc, na którego zakładzie nagle wisi kartka „ZAMKNIĘTE”, a potem dowiadujemy się, że zmarli. Ludzie, którzy tworzą naszą co-



Roksana Jędrzejewska-Wróbel

dziennosc, a gdy znikają, razem z nimi znikają fragment świata, a my nie mamy czasu, żeby się nad tym zastanowić, bo życie pędzi dalej. To był mój pierwszy pomysł literacki, chociaż nie myślałam wtedy wcale o pisaniu.

Opisałaś ten ostatni dzień?
Nie, nie miałam czasu. Ale temat za mną chodził. Gdy miałam 23 lata, pojechałam na wieś pod Zieloną Górę, by pomóc w opiece nad umierającym wujkiem. Ten wątek też znalazł się w „12 dniach”. To były wczesne lata 90., miałam akurat dziekanę, był potrzebny ktoś do pomocy, to pojechałam. Nie miałam świadomości, w co się pakuję. Nigdy wcześniej nikt przy mnie nie umarł. Jadąc nie wiedziałam, że ten miesiąc spędzony przy łóżku umierającego będzie miał wpływ na całe moje życie, stanie się dla mnie takim wzorcem z Sèvres odchodzenia. Dowiedziałam się też sporo o sobie. Że wiem, do kładnie, kiedy zaczyna się agonia, że wiem, co robić, kiedy człowiek umiera. Jakbym połączyła się z jakąś prastarą pokoleniową wiedzą o cyklach życia, jakby przepływała przeze mnie mądrość pokoleń - babek, prababek. Ku swojemu zaskoczeniu nie czuję strachu, tylko spokój. Po tym doświadczeniu zrozumiałam, że jest sposób, aby zmniejszyć lęk przed śmiercią.

Jaki?
Tak jak do wychowania dziecka potrzeba całej wioski,

tak potrzeba jej, kiedy człowiek odchodzi. Gdy umierał mój wujek, mimo, że opiekowaliśmy się z nim z cicią same, nigdy nie czułyśmy się samotne, cały czas działała silna siatka społeczna całej wsi - kiedy się spadało, ona łapała. Doświadczylam tam odchodzenia wspólnotowego, wręcz rytualnego, bardzo silnie wtopionego w społeczność. Kiedy tak trudny czas możemy dzielić z innymi ludźmi, jego ciężar nie wbija w ziemię. Zobaczyłam, jak wielkie ukojenie niesie wspólnota, jaką ma moc ma moc transformacji cierpienia.

Ten rozdział twojej książki najmocniej mnie poruszył. Pamiętam sąsiadów wpadających do chorego bez żadnej celebracji, po prostu po to, by przez chwilę przy nim posiedzieć, poklepać po dłoni. A gdy nad ranem Józik umarł, cała wieś zeszła się, by być razem z nim i jego rodziną.
Właśnie. Bo tam nikt się śmierci nie bał. Nasz dom nie był omijany, bo umierał w nim człowiek. Wręcz przeciwnie, ludzie przychodzili, żeby pomóc z wujkiem, pożegnać się. Wujek umierał, ale nadal był członkiem społeczności, która śmierć traktowała jako zjawisko naturalne. Świadoma, że na każdego przyjdzie jego czas. Opieka nad terminalnie chorym jest ogromnie wyczerpująca, to rodzaj transu. Miałymy z cicią dyżury, spałyśmy z cicią dyżury, spałyśmy na zmianę po kilka godzin. Wizyty ludzi „z zewnątrz” dodawały nam otu-

Jest sposób na śmierć. Gdy umierał mój wujek, mimo że opiekowaliśmy się z nim z cicią same, nigdy nie czułyśmy się samotne, cały czas działała silna siatka społeczna całej wsi - kiedy się spadało, ona łapała. Doświadczylam tam odchodzenia wspólnotowego, wręcz rytualnego, bardzo silnie wtopionego w społeczność – mówi Roksana Jędrzejewska-Wróbel, pisarka, członkini Instytutu Dobrej Śmierci

chy, łączyły z życiem. Tak jak bliskość natury: koń w stajni, pole, las. Pięknie pisze o tym Małgorzata Lebda w „Łakomym”. Tam natura zabija, ale i nieustająco rodzi, wpisując śmierć w naturalny rytm. Aby o tym pamiętać, wytatuaowałam sobie podwójną spiralę którą zobaczyłam dziesięć lat temu na Krecie. Były nią ozdobione minojskie urny w kształcie wielkich waz. Wkładano do nich zmarłego jak do łona matki, co symbolizowało powrót do źródła. Koniec stawał się początkiem, a podwójna spirala znakiem nieustającego cyklu narodzin i śmierci. Motyw podwójnej spirali pojawia się zresztą w wielu kulturach, zgodnie z nią działa nasz kalendarz - tak przecież rozwija się rok, robi się coraz jaśniejszy, dzień się wydłuża, jest pik i rok zaczyna się związać, powracać do ciemności. A wracając do wujka i jego wsi - tam doświadczylam bólu i smutku śmierci, ale jednocześnie siły odrodzenia, wspólnoty, tego, że możemy wszyscy przeżywać coś razem, w poczuciu ludzkiej solidarności.

Trudno to sobie wyobrazić w mieście.
To prawda. W mieście jesteśmy pooddzielani, pozamykani, mało o sobie wiemy. Ludzie umierają samotnie, w szpitalach, za parawanem, szybko proszę, proszę zdjąć zegarek, zabrać rzeczy z szafki, ktoś już czeka na łóżko. Odchodzenie stało się zimne, bezosobowe, oddaliśmy je instytucjom. Żeby tylko śmierć zniknęła z oczu, bo ona psuje ogólny wizerunek, a wizerunek w świecie, który rządzi paradygmat produktywności i media społecznościowe jest kluczowy. Kreujemy się więc na nieśmiertelnych, pięknych, odnoszących same sukcesy. Jak tu mówić o śmierci?

Udajemy, że jej nie ma, że nas nie dotyczy.
Schowaliśmy ją pod dywan, postawiliśmy na nim stół, rozsiadaliśmy się na krzesłach i udajemy, że śmierci nie ma.

A nawet dzieci wiedzą, że to co schowane, straszy jeszcze bardziej. Myślę, że jako społeczeństwo zrobiliśmy sobie potworną krzywdę odcinając życie od śmierci. Dużo o tym mówi Anja Miłńska - filozofka, twórczyni kręgów kobiet, wielka propagatorka wizerunku Czarnej Matki i uzdrawiającej roli ciemności w naszym życiu, bo to z niej przecież rodzi się światło, a wszystko, co się zaczyna, ma też swój koniec.

Umierają rośliny, zwierzęta, nawet gwiazdy... To stąd twoje uczestnictwo w Instytucie Dobrej Śmierci? Stąd wykrzywane przez bohaterkę „12 dni” żądanie: umierać po ludzku?
Tak. Instytut Dobrej Śmierci zajmuje się normalizacją tematu śmierci, uświadamianiem, jak ważne są wszystkie etapy odchodzenia, jaki mają wpływ na żałobę. Organizuje kursy dla osób opiekujących się terminalnie chorymi, kręgi wsparcia online dla ludzi w żałobie, także po osobach zwierzęcych. Są wśród nas lekarze, pielęgniarki, psychologowie, traumatolodzy, filozofowie, artyści, ale też pieśniarze i świeccy celebranci pogrzebów. Rytuały bardzo pomagają w momentach przejścia.

Jakie rytuały?
Własne, takie jakich potrzebuujemy. Przestrzeń rytualna, symboliczna działa na nas inaczej niż słowa. Celebranci pogrzebów pomagają je tworzyć, bo mamy prawo przeżywać śmierć bliskiej osoby po swojemu. Wielu ludziom pomagają rytuały religijne, pogrzeb prowadzony przez księdza. Inni szukają czegoś własnego. Można też łączyć te sfery, tak jak było kiedyś na wsi - wspólne czuwanie przy zmarłym, śpiewanie pieśni, otwarta trumna w kaplicy. To pomaga się oswoić. W mieście to też możliwe, tylko często o tym nie wiemy. Przypomina mi się rozmowa telefoniczna sprzed lat z moją koleżanką, której mama była chora ciężko i leżała w szpitalu. Nie wiem dlaczego, ale

nagle powiedziałam: „Słuchaj, gdyby mama zmarła, kiedy ciebie przy niej nie będzie, to pamiętaj, że masz prawo przyjechać do szpitala i posiedzieć z nią dwie godziny”. Pocułam chłód po drugiej stronie słuchawki, przecież mama wciąż żyła. Zrobiło mi się głupio. Tydzień po naszej rozmowie koleżanka znowu zadzwoniła: „Mama nie żyje. Nie wiem, jak ci dziękować, że mi powiedziałas, że mogę posiedzieć przy ciele. Gdyby nie to, zostałabym w domu. A tak natychmiast pojechałam do mamy. Mogłam jej powiedzieć wszystko, czego nie zdążyłam, trzymać za rękę. To były dla mnie bardzo ważne dwie godziny”. To doświadczenie wielu osób, że posiedzenie z ciałem zmarłego jest potrzebne, przynosi ulgę. Podobnie jak obmycie i ubranie ciała przez bliskich. Ciało swojego wujka przygotowywali do trumny mężczyźni z wioski, jego sąsiedzi, znajomi. Teraz od lat zlecamy to zakładom pogrzebowym, ale ten zwyczaj powoli powraca, bo zobaczono, jak kojący ma wpływ na całą żałobę. Na przykład progresywnych zakładach pogrzebowych w Berlinie, które odwiedziłam z IDŚ, zachęca się bliskich zmarłego do tego rytuału, tworząc przestrzeń, w której jest to możliwe - ciepło oświetlony pokój, łagodna muzyka, ciało przykryte miękkim kocem. Wiem, że niektórym może się to wydawać kontrowersyjne, ale nie o to chodzi, żebyśmy wszyscy zaczęli myć i ubierać naszych zmarłych, ale żebyśmy mogli, jeżeli chcemy. Żebyśmy wiedzieli, że możemy, że to może nam pomóc i że to jest nasze prawo. Jeśli się boimy, można przecież obmyć tylko dłonie. To też może być rytuał. Nasze własne pożegnanie.

W „Patchworku” piszesz o cmentarzu w Berlinie, wielkim parku, do którego przychodzi się nie tylko na pogrzeby ale i na pikniki czy koncerty. Z moją rodziną mamy od dawna zwyczaj, że

na Wszystkich Świętych spotykamy się na Łostowicach przy grobie babci Salomei i dziadka Wilhelma ze zniczami, kwiatami, ale i jedzeniem. Przynosimy ulubione śledziki dziadka, pieczywo, nalewkę. Cicho puszczaemy ulubionego Foggę dziadków, wspominamy, liczymy ile to już lat. Bardzo lubię te międzypokoleniowe, międzyswiatowe spotkania.

Właśnie o to chodzi! Przecież te nasze duże płyty nagrobne aż się proszą żeby pościelić je obrusem i biesiadować. Tak robią Romowie, tak robi się też np. w Gruzji. To wspaniałe, że twoja rodzina ma swój własny rytuał, który podtrzymuje więź ze zmarłym. W jednym z berlińskich hospicjów mają taki piękny zwyczaj, że osoba umierająca i osoba czuwająca trzymają czerwoną nić; w momencie śmierci ta nić jest przecinana jak pępowina. To rytualny moment rozłączenia, ale tylko w świecie materialnym, bo przecież nasza relacja z bliską osobą pozostaje, zmienia jedynie formę. Przypominamy o tym podczas spotkań Instytutu, jako świeccy celebranci ceremonii pogrzebowych. Sama jestem jedną z nich.

Na czym polega twoje zadanie?

Przed wszystkim rozmawiam z rodziną. Rozmawiam z bliskimi o zmarłym - o tym, jaki był, czego by chciał i czego potrzebują ci, którzy go żegnają. Rytuał przejścia buduje się wspólnie, by stworzyć spersonalizowaną, jedyną w swoim rodzaju uroczystość dla zmarłego, a także przestrzeń do wyrażenia wszystkich emocji, których doświadczają żałobnicy: rozpacz i smutku, ale czasami też żalu, ulgi albo złości. By one mogły się jakoś przetransformować. Nie tylko podczas pogrzebu, ale i żałoby, na którą pogrzeb także ma wpływ. Bo żałoba wcale nie składa się z kilku etapów i nie wycisza się po roku. Żałoba, jak pokazuje badania ma charakter spiralny. Niby już wszystko przepracowane, minął rok, dwa, trzy, a emocje wracają. Nieraz bardzo silnie, bo nagle pojawia się jakiś zapach, smak, miejsce, które kojarzymy ze zmarłym. Wtedy myślimy, że coś jest z nami nie tak, że powinno się już przecież wyciszyć, minąć. Ale żałoba to sprawa bardzo indywidualna, każdy przeżywa ją inaczej. Dlatego właśnie Instytut Dobrej Śmierci zainicjował w zeszłym roku kampanię na normalizującą żałobę. W całej Polsce pojawiły się plakaty, na których pokazali się prawdziwi ludzie a obok nich hasła. Na przykład: „Czy to normalne, że czasem żartuję na temat mojej straty”, „Czy to normalne, że nie płakałem na pogrzebach moich rodziców” itp. Wszystko jest nor-

malne. Każdy musi znaleźć swój indywidualny sposób na żałobę i ma do tego prawo. Moim zdaniem żałoba, czyli wyciągnięcie na wierzch tego wszystkiego, co spychamy na co dzień pod spód: smutku, rozpaczy, żalu, utraty, tęsknoty i danie sobie czasu na ich przeżycie jest niezwykle ważna. To czas zatrzymania, który jest dla mnie też rodzajem rebelii i buntu wobec opresyjności dzisiejszej kultury. Wręcz rewolucją w świecie, który zmusza nas do nieustannego pośpiechu, ciągłego odnoszenia sukcesów, udowadniania swojej przydatności...

... Ciągłego „keep smiling”.
Właśnie.

Zmusza nas też do określonych form pochówku. W Polsce niedozwolone jest rozsypywanie prochów.
Dlatego działa szara strefa. Rodzina ma rok na pochowanie urny, przez ten czas może trzymać ją w domu, może też - choć wciąż niestety nielegalnie - część prochów rozsypać w ukochanym miejscu zmarłego.

Pogrzeb nie musi być jak spod sztancy.

Oczywiście, że nie! Na pogrzebie Anety Szyłak, wspaniałej kuratorki sztuki, którego byłam celebrantką razem z Kasią Przłąk, postawiliśmy obok urny kosz z cebulkami kwiatów. Zmarła była osobą, która wiele dała innym ludziom - inspirowała, wspierała. Cebulki były symbolem tego, że chociaż Anety już nie ma z nami, to jej praca i pamięć o niej nie znikną. Na wiosnę ludzie pisali z radością, że cebulki wykiełkowały. To było wspaniałe. Jednocześnie, każdy z uczestników, biorąc tę cebulkę mógł też podejść do urny, pożegnać się. Tymczasem dzisiaj ujednolicenie ceremonii pogrzebowych coraz bardziej oddziela nas od osobistego uczestnictwa w pożegnaniu - ostatnią dziwną modą jest wyjmowanie kwiatów z rak żałobników.

Nawet ten ostatni osobisty gest, zostaje nam odebrany. Dlatego ja nigdy nie oddaję swoich kwiatów. Zmarłego żegnają przecież jego bliscy, nie zakład pogrzebowy. Dlatego chyba jeden z najpiękniejszych pogrzebów, na jakich byłem, był pogrzeb profesora Józefa Bachorza..

Dlaczego najpiękniejszy?

Ponieważ składał się z bardzo osobistych opowieści. Prof. Bachórz był słynnym literaturoznawcą, utytułowanym, cenionym. Mógłby mieć pożegnanie z oficjalnymi przemówieniami, urzędnikami, honorami. Ale jego córka z tego zrezygnowała. Zamiast tego oddała głos ludziom, którzy znali profesora, szanowali go, kochali. Dla których był naprawdę ważny. Przyszła uczennica z liceum, dziś już po siedemdziesiątce i w imieniu uczniów tej szkoły opowiedziała jakim był nauczycielem. Co to była za opowieść! Pełna szczegółów, choć minęło ponad pół wieku. I nagle wszyscy zobaczyli młodego człowieka, który naprawdę wspierał swoich uczniów i został w ich sercach do dzisiaj. Potem mówiła studentka, której profesor pomógł, koleżanka z uczelni, dla której był autorytetem, wnuczka, dla której był ukochanym dziadkiem. Dzięki tym opowieściom profesor był wśród nas na swoim własnym pogrzebie – żywy, mądry, dobry człowiek. To był pogrzeb nauczyciela, który nauczał jeszcze po śmierci. Wyszliśmy z cmentarza smutni, ale niezwykle wzbogaćeni.

Czy podobny skutek przynosią rozmowy, które prowadzisz w ramach Death Cafe?
Taką mam nadzieję. Tę inicjatywę non-profit 20 lat temu zainicjował Bernard Crettaz, szwajcarski socjolog organizując Cafe Mortal, a rozprószył Brytyjczyk, Jon Underwood, który w 2011 roku założył stronę internetową pod nazwą deathcafe właśnie. Od tego czasu odbyło się po-

nad 22 tysiące na całym świecie, podczas których nieznanymi ludzkie spotykają się w kawiarni, żeby przy winie albo herbacie porozmawiać o śmierci. Są też spotkania online, które cyklicznie organizuje Instytut Dobrej Śmierci. Natomiast ja w ramach Instytutu prowadzę Death Cafe od roku w Książka i Wino w Oliwie, która zgodziła się nas gościć. Najpierw prowadziłam je z Kasią Przałą z IDS, teraz z Pauliną Dylewską. Tak jak dojrzałam do prowadzenia Death Cafe, tak też dojrzałam do napisania „12 dni”, które od pierwszego pomysłu, który urodził się w głowie 19-latkii musiały poczekać ponad ponad 30 lat. Zdecydowałam się podczas pandemii. Pamiętasz ten wielki strach? Wielką niewiadomą? Puste ulice, zamknięte plaże, zamknięte lasy. Niedługo potem wybuchła wojna w Ukrainie. To był moment, w którym historia była gotowa do spisania.

Twoja książka pomaga znaleźć odpowiedź na wiele pytań.

Takie głosy do mnie docierają. Starałam się opisać uniwersalne sytuacje. Ludzie, którzy przeczytali „12 dni”, mówią, że powieść uruchamia ich własne doświadczenia. Taka wymiana doświadczeń, dzielenie się emocjami dzieją się też podczas rozmów w Death Cafe.

Dużo osób przychodzi?

Przeważnie około dwudziestu, w bardzo różnym wieku. Najmłodszy chłopak miał 20 lat. Przyszedł, bo nikt mu nigdy nie umarł, a teraz jego babcia jest chora i chciałby się przygotować na jej śmierć. Przychodzą osoby starsze, które chcą ośwoić temat śmierci, ci, którym ktoś zmarł, a nikt z nim o tym nie rozmawia. Żałoba już się przewaliła, zostały wspomnienia, została wdzięczność. I oni chcieliby o tym opowiedzieć, tylko nie mają komu. „To był wspaniały człowiek. Dlaczego my o nim milczymy?” - pytają. A jak

próbują mówić, wszyscy
milkną i wtedy taka osoba
umiera po raz drugi. Death
Cafe jest miejscem, w którym
można o tym wszystkim po-
rozmawiać. Nie ma tematów
tabu. Takie spotkanie może
prowadzić każdy, w każdym
miejscu.

Jeśli czuje się na siłach. Rozmowy o samobójstwie należą do najtrudniejszych.

To prawda. Ale o tym też da się mówić z empatią, łagodnością. Byłam na pięknym wykładzie terapeutki Małgorzaty Sieczkowskiej, która pisze książkę o samobójstwie.

Na koniec powiedziała coś, co mnie niezwykle poruszyło. Mówiła o ostatnim etapie godzenia się z samobójstwem bliskiej osoby, o pochyleniu głowy przy jej zdjęciu i słowach: „Szanuję twój wybór”.

Rozmawiacie też o śmierci zwierząt?

Tak. Nie tylko tych domowych, ale i dzikich. Żeby - jeśli się ma czas i możliwość - przynieść przejechanego lisa czy jeża na pobocze, pochować. Wspomniana już Kasia Przola robi ceramiczne urny dla zwierząt.

W Gdańsku jest cmentarz dla zwierząt. Wiele osób odwiedza go w dniu Wszystkich Świętych.

W San Francisco jest taki cmentarz przy Golden Gate Bridge, bardzo stary. Miał być zlikwidowany, teren miał pójść pod budowę drogi. Ale ludzie tak długo protestowali, że miasto zdecydowało się poprowadzić drogę inną trasą. Więc ze zwierzętami może być bardzo głęboka, one są często członkami rodziny.

To wydaje się oczywiste, ale właśnie ta rodzina, przyjaciele, bycie razem w chwilach radosnych i tragicznych to coś najbardziej naturalnego na świecie. Bez udawania, bez koturnów, dzielności na siłę. Widziałam kiedyś piękne zdjęcie z pogrzebu. Wszyscy stoją i obejmują się ramionami: ro-

dzice, rodzeństwo, dzieci, wnuki. Widać w tym było całą rozpacz, ale i ogromną siłę. Małgosia Lebeda powiedziała o swoim doświadczeniu towarzyszenia chorej i umierającej matce, że było dewastujące i budujące jednocześnie. We wspólnocie możemy przeżywać śmierć, która nas dewastuje, a jednocześnie się tym, co może nas budować. Jeżeli jesteśmy sami, to ona nas tylko dewastuje.

**Najbliższe spotkania
w ramach Death Cafe:**

**5 listopada, godz. 18.00, ka-
wiarnia Kompozyt w mu-
zeum NOMUS.**

Telefony pomocowe: Funda-
cja Nagle Sami - telefon: 800
108 108, od poniedziałku
do piątku 14-20

**Gdańskie Hospicjum, funda-
cja Tumbo, Pomoc Dzieci dla
Dzieci i Młodzieży po stracie,
telefon 800 111 123.**

CV

Roksana Jędrzejewska-Wróbel
gdańska pisarka, doktora nauk humanistycznych. Autorka ponad czterdziestu książek dla dzieci i młodzieży, sztuk teatralnych i scenariuszy. Jej książki wpisane są na Złotą Listę Fundacji ABC „Cała Polska czyta dzieciom”, Listę Skarbów Kultury Dziecięcej oraz Międzynarodową Listę Białych Kruków Literatury Dziecięcej. Powieść dla młodzieży „Stan splątania” otrzymała Literacką Nagrodę Hestii, a „W krainie snów” została Książką Roku Polskiej Sekcji IBBY. „12 dni. Patchwork rodzinny” jest jej debiutem dla dorosłych. Powieść napisana w ramach Stypendium Kulturalnego Miasta Gdańska była nominowana do Pomorskiej Nagrody Literackiej „Wiatr od Morza” 2025.

REKLAMA

0011424561

**Samodzielny Publiczny
Zakładu Opieki Zdrowotnej Kolbudach w likwidacji**

ZAWIADOMIENIE WIERZYCIELI O LIKWIDACJI SP ZOZ W KOLBUDACH

Działając w imieniu Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej Kolbudach w likwidacji informuję, iż na podstawie Uchwały nr XIV/128/25 Rady Gminy Kolbudy z dnia 22 kwietnia 2025 r. w sprawie likwidacji Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Kolbudach, zmienionej Uchwałą nr XVI/144/25 Rady Gminy Kolbudy z dnia 24 czerwca 2025 r. w sprawie zmiany uchwały nr XIV/128/25 Rady Gminy Kolbudy w sprawie likwidacji Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Kolbudach oraz Uchwały nr XVII/152/25 Rady Gminy Kolbudy z dnia 26 sierpnia 2025 r. w sprawie zmiany uchwały w sprawie likwidacji Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Kolbudach postanawia się zlikwidować Samodzielny Publiczny Zakład Opieki Zdrowotnej w Kolbudach, ul. Plac Kaszubski 7C, 83-050 Kolbudy. Otwarcie likwidacji SP ZOZ nastąpiło z dniem 1 października 2025 r. Termin zakończenia likwidacji ustalono na dzień 31 grudnia 2025 r.

W związku z powyższym wzywa się wierzycieli Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej Kolbudach w likwidacji, aby zgłosili swe wierzytelności w terminie 1 - miesiąca od daty publikacji ogłoszenia. Zgłoszenia proszę pisemnie kierować na adres: SP ZOZ w Kolbudach w likwidacji, ul. Staromłyńska 1, 83-050 Kolbudy.

Krzysztof Polesiak
Likwidator

REKLAMA

0011423827



**Dyrektor Oddziału Regionalnego
Agencji Mienia Wojskowego w Gdyni**

działając zgodnie z art. 35 ust. 1 Ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r.
o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 1145)
informuje, że

na tablicy ogłoszeń w siedzibie OReg. AMW w Gdyni (tablica ogłoszeń na I piętrze), zostały wywieszone oraz opublikowane na stronie Agencji www.amw.com.pl. WYKAZ dotyczący nieruchomości przeznaczonej do oddania w najem w trybie ustnego przetargu nieograniczonego, obejmujący: **budynek nr 145 o pow. 80,60 m² wraz z gruntem o pow. 540,00 m², położony w Gdyni przy ul. Zielonej**, opisany w księdze wieczystej GD1Y/00119841/2.

Wykaz wywieszono na okres od dnia 31.10.2025 r. do dnia 21.11.2025 r.
Osobom, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu ww. nieruchomości - zgodnie z przepisami art. 34 ust. 1 pkt 1 i pkt 2 ustawy o gosp. nieruchomościach (tekst jednolity Dz. U. z 2024 poz. 1145) termin do złożenia wniosku upływa z dniem 12.12.2025 r.

Informacje na temat nieruchomości można uzyskać w siedzibie
OReg. AMW w Gdyni przy ul. M. Curie-Skłodowskiej 19 (pok. 130)
tel. (58) 690-87-74.

WYKAZ

WYKAZ

WYKAZ

WYKAZ

Martyna Kucybała: Występował pan między innymi w Teatrze Muzycznym w Gdyni, a teraz znajduje się pan w Meksyku. Co sprawiło, że wyruszył pan w nieznane do Ameryki Północnej?

Krzysztof Żabka: Jestem z Siedlec, a w Krakowie zakończyłem studia egzaminem dyplomowym z Wojtkiem Kościelniakiem i to był całkowity game changer, ze względu na zetknięcie się z prawdziwym człowiekiem teatru, natomiast bliżej mojej daty. Z człowiekiem, który myśli w sposób nowoczesny - w sposób, który nas jara. Robiliśmy razem „Sen nocy letniej” i zdobyliśmy Grand Prix na festiwalu szkół teatralnych. Graliśmy też na międzynarodowych festiwalach i była to super przygoda. I ja z Wojtkiem pojechałem do Gdyni, bo robił casting do „Francesco”. Gdynia dała mi wiele i dlatego spędziłem tam pięć lat. Później za Wojtkiem wyjechałem do Warszawy, gdzie grałem w teatrze dramatycznym. Pracowałem też z dziećmiakami w szkołach prywatnych, a później trafiłem do Elbląga. Ciężko jednak zacząć wielką karierę w Polsce będąc aktorem musicalowym. Dużo chętnych osób wchodzi na rynek i dlatego pomyślałem, że może wyjazd do Meksyku będzie dobrym pomysłem, bo tu nie ma takiego teatru jak u nas.

Wszystko działa zupełnie inaczej. Mają inne klimaty, inny storytelling. Dużo tutaj drag queen i teatru, w którym człowiek wychodzi do ludzi i po prostu z nimi rozmawia. Poza tym ja zawsze marzyłem o podróżowaniu i odkrywaniu innych kultur.

A długo tam pan już jest? W mieście Oaxaca?

Rok minął. Jest to teraz miejsce oblegane, ze względu na Día de Muertos. Ja bym Oaxaca porównał do Krakowa. To jest miasto w kotlinie, troszeczkę odcięte, troszeczkę żyjące nietypową sztuką. Teraz co prawda Kraków odżył, mają queerowe teatry i Teatr Proxima, ale za moich czasów to Kraków był jeszcze bardziej związany z tradycją. Z tym mi się kojarzy Oaxaca. Mocna ceramika. Tu jest barrio negro i barrio rojo, czyli dwa typy nietrwałej, ale pięknej gliny. Tkaniny, malarstwo... Stąd pochodzi Frida Kahlo. To chyba najważniejsza postać stamtąd, ale także Porfirio Díaz, czyli prezydent, który chyba najdłużej rządził w historii Meksyku. Sprawował władzę przez różne machlojki i przekręty. Natomiast nie jest to topowe miejsce prężnie rozwijającego się teatru. Ja współpracuję z Casa Ceiba. To jest 5 młodych osób. Jak na nasze warunki bardzo wyzwolonych. Drag queen są

DRAG QUEEN ROBIĄ WARSZTATY Z ROBIENIA JOINTÓW

Cieężko zacząć wielką karierę w Polsce, będąc aktorem musicalowym. Dużo chętnych osób wchodzi na rynek i dlatego pomyślałem, że może wyjazd do Meksyku będzie dobrym pomysłem, bo tu nie ma takiego teatru jak u nas - mówi aktor Krzysztof Żabka

Martyna Kucybała



Krzysztof Żabka, czyli „nasz człowiek w Meksyku”: W tym kraju wszystko działa inaczej

tam na przykład przytulani i robią warsztaty z robienia jointów. To nie są takie bezsensowne spotkania, bo polegają na rozmowie i wymianie doświadczeń. To jest część radzenia sobie ze światem, sposób na relaks, sposób na to, by poczuć się lepiej. Może niekoniecznie używając leków psychotropowych. Ja to tak rozumiem z perspektywy człowieka, który jest z innej kultury. To chyba ma też związek, że Meksyk jest blisko natury i oni nadal korzystają z takich metod naturalnych. Jest taki stan, gdzie mieszkała María Sabina - to jest taka bardzo znana postać Meksyku i uzdrowicielka. Ona już nie żyje, ale uzdrawiała za pomocą ziół i grzybów. To nie jest ćpanie, uzdrowiciel musi znaleźć w danej osobie miejsce, które trzeba wyleczyć.

Taka meksykańska ayahuasca...

Ayahuasca, peyotl to też jest cały rozdział, o którym można rozmawiać. Ja nie eksploruję takich rzeczy, ale one mnie kulturowo ciekawią. W naszej kulturze to my spożywamy, ale w tej kulturze to uzdrowiciele spożywają.



Meksyk potrafi działać na wyobraźnię...

Wróćmy do tego, co robi pan w Meksyku. Prowadzi pan między innymi warsztaty dla Meksykanów. Na czym one polegają?

Założyłem tutaj coś takiego jak El Puente Vivo, czyli żywy most. El Puente Vivo ma dwie

odnogi: El Teatromotorr, czyli teatr, który chce robić polskie sztuki i właśnie nawiązał kontakt parę miesięcy temu z Michałem Walczakiem, który zgodził się, żebyśmy jako niezależny teatr robili za darmo jego sztuki i zaczęliśmy „Piaszkownicę”. To się dzieje na zasadzie barteru, wymiany myśli. Ja nie ponoszę żadnych kosztów, aktorzy są ciekawi warsztatów, które im dają. Druga odnoga El Puente Vivo to Teatro sin fronteras, czyli teatr bez granic. Polega to na tym, że ja proponuję domom kultury darmowy warsztat, który składa się na to, że trochę opowiadam o Polsce, o naszej kulturze i przechodzimy do grupowych ćwiczeń aktorskich. Do tej pory mam za sobą cztery takie warsztaty, ale zakończyłem to, bo mój hiszpański był zbyt słaby, żeby porozumieć się z tłumaczem. Nie chciałem takiego chaosu i dałem sobie przerwę. Mieszkam teraz bliżej natury, ale ucząc się języka, ucząc się kultury, to czuję, że jestem gotowy na drugą turę. Tym razem mam trochę inną koncepcję.

Udało wam się już wystawić jakąś polską sztukę, czy jeszcze nie? Interesuje mnie to pod kątem tego, co pan mówił, że Meksykanie są trochę inni i jest to inna kultura.

My jesteśmy po długiej pracy z Mroźkiem, ale ta praca nakładała się z korespondowaniem z firmą od praw autorskich. Ostatecznie nie wyrazili zgody, mimo wszelkiego tłumaczenia, podawania finansowych realiów miejsca, gdzie jestem, bo to jest jeden z dwóch najbiedniejszych stanów. Mimo mówienia, że to jest niezależne, że wynika z miłości, mimo wsparcia profesora Józefa Opalskiego, który znał Mroźka.

Mimo moich próśb i wsparcia, oni po prostu odmówili, bo ja chciałem użyć opowiadań, nie zmieniając ich, natomiast nadając im kontekst. Teraz zbliżamy się do „Piaszkownicy” i połączenia nie są trudne do znalezienia.

Jak długo planuje pan zostać w Meksyku? Myśli pan o powrocie do Polski?

Z praktycznych względów muszę tu być, bo wyrabiam papiery. Jestem rezydentem już drugi rok i wyjeżdżanie z kraju jest bardzo kosztowne. Bardzo tęsknię. Mam synka w Polsce, który dopiero przyjeżdża do mnie pierwszy raz z babcią. To jest dla mnie bardzo trudne emocjonalnie wyzwanie, nie są to wakacje. Ja tutaj zarabiam też na razie śmieszne pieniądze, to są realia życia tutaj z teatru. Natomiast program Witkac, dzięki któremu tu jestem, jest bardzo pomocny. Takie programy głównie finansują to, co ja mam tutaj, czyli to, że mogę tutaj żyć. Te programy zapewniają pieniądze na bilety, pieniądze na jedzenie. Obecnie staram się o wsparcie z ambasady, pisząc grzecznie, że mam tutaj drobny budżet na moje cele artystyczne.

W jaki sposób można zatem pana wspierać?

Prowadzę zbiórkę na pomagam.pl, którą promuję w mediach społecznościowych. Ta zbiórka działa właśnie dzięki temu, że ktoś udostępni post w mediach społecznościowych albo coś wpłaci. Zawsze dziękujemy, gdy ktoś coś wpłaci. Oferujemy też kawę i zwiedzanie miasta, bo niektórzy czasem tutaj jeżdżą.

Życzę panu zatem, by jak najwięcej osób wspierało pana działania, żeby ten projekt nie przeszedł bez echa.

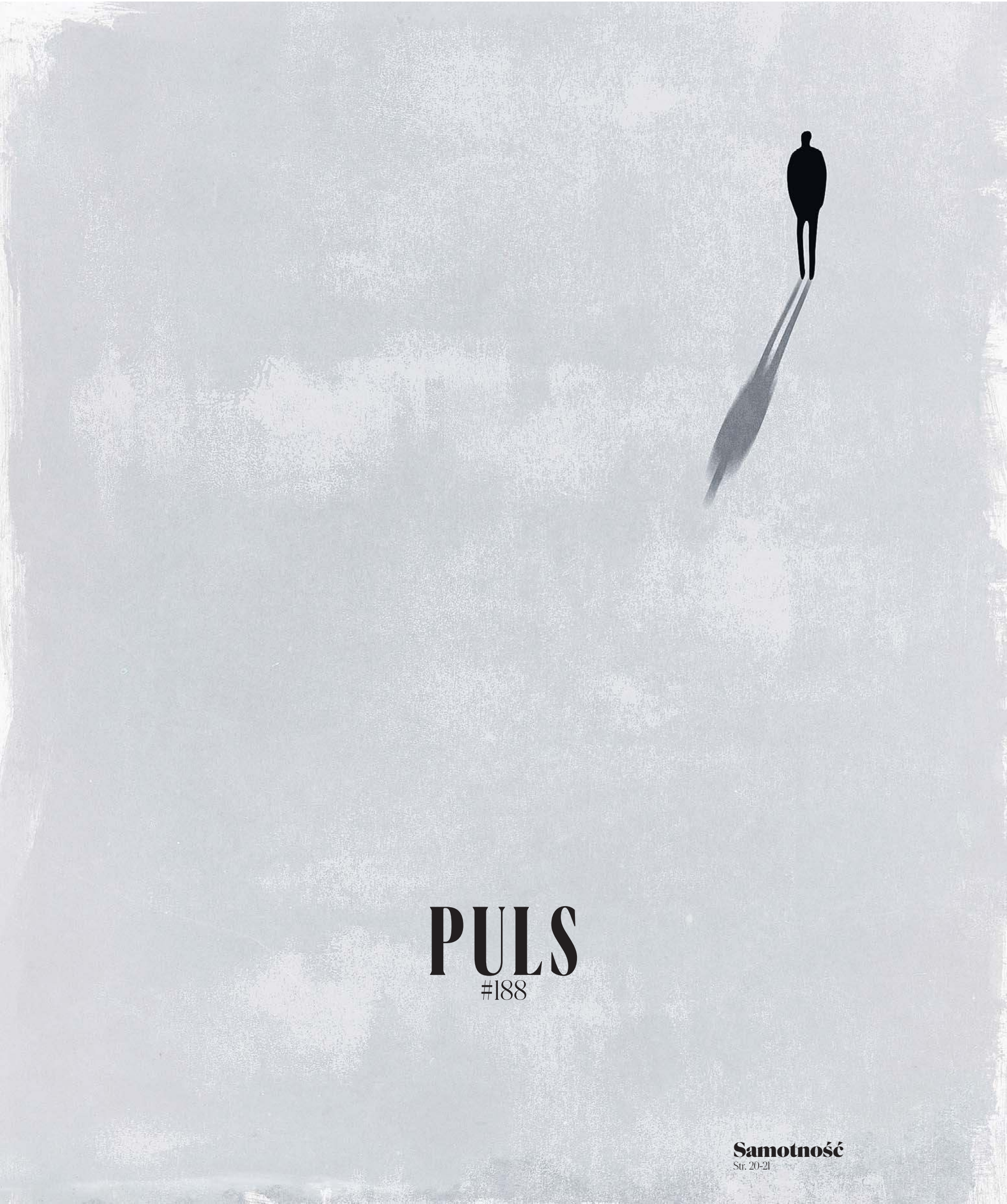
Dziękuję bardzo.

BIO:

Krzysztof Żabka to polski aktor teatralny i telewizyjny oraz pedagog teatralny. W latach 2008–2012 był wykładowcą w Studium Wokalno-Aktorskim im. Danuty Baduszkowej w Gdyni. Obecnie mieszka w Meksyku, gdzie organizuje darmowe warsztaty teatralne oraz promuje polską kulturę. W Oaxaca założył niezależną grupę teatralną El Teatromotorr.



Religijność ma tu inny wymiar



PULS

#188

Samotność
Str. 20-21

NAD GROBAMI BLISKICH KAŻDY MA SWOJĄ OPOWIEŚĆ

Śmierć jest faktem. Nie dyskutuje się z faktami. Trzeba je przyjąć, zaakceptować. Przeżyć żałobę. Płakać, złościć się, złorzeczyć. Poczuć pustkę, bezradność. Potem zacząć żyć na nowo, wyjść do ludzi, bo tylko dzięki nim, choć sami, nie jesteśmy samotni

Dorota Kowalska

Melancholijne to święta. I na swój sposób magiczne. Cmentarze pełne pożółkłych liści, zapach palonych świec, chryzantemy: białe, ciemnofioletowe. Stoimy przy grobach zbici w małe grupki. Razem i osobno. Każdym ze swoją historią w głowie, swoim wspomnieniem o zmarłym. Swoją samotnością.

Opowieść Miry

Mira: „Jest takie czarno-białe zdjęcie. Mam na nim 10 lat, kurtkę w białą-czarną pepitkę, koński ogon i zapłakaną twarz. Stoję, wraz z moją rodziną i znajomymi, nad grobem mojego Dziadziusia. Dziadziusia, nie Dziadka. Dziadków miały inne dzieci, ja miałam Dziadziusia albo Dziadulinę. Dziadkowie byli starzy, brzydko pachnieli, nie można się było z nimi dogadać, bo mówili jakby innym językiem, którego nie rozumiałam. Mój Dziadzius był wysokim, szczupłym mężczyzną, trochę, jak dziś myślę, wojskowym w obyciu, i choć nigdy nie widziałam go w innym stroju niż garnitur, można było odnieść wrażenie, że wciąż chodzi w mundurze. Ale mój Dziadzius był wojskowym, przedwojennym Podhalańczykiem, później walczył w AK. Dla mnie był ukochanym Dziaduliną, towarzyszem wypraw na sanki i do lasu. Opowiadał mi o wojnie, o tym, jak razem z kumplami ukradli pancerną lokomotywę i pojechali na odsiecz zaatakowanego przez Sowietów polskiego miasta Lwów, i dlaczego to się skończyło niemal katastrofą. Rozgrywaliśmy walki na śnieżki, jedliśmy owoce morwy, słodkie od soku. I dużo rozmawialiśmy. Kiedyś, jeszcze jako mały pyrpierc, może sześciolatek, zapytałam Dziadziusia, który wiele opowiadał mi o lojalności, wierności i takim, trudno zrozumia-

łym dla dziecka rzeczom, co się działo, kiedy żołnierz zdradził. Bez chwili wahania odpowiedział: »Kula w łeb«.

Wyobraziłam sobie wówczas, jak kula ziemską, w postaci globusa, spada mi na głowę. I postanowiłam, że nigdy nikogo nie zdradzę. Dziadzius umierał w domu, na raka płuc. Nie miał jeszcze 60 lat. Nic dziwnego: odkąd pamiętam, miał łufkę z zatknietym w niej papierosem w kąciu warg. Razem z Babunią palili papierosy, a łufki, z brunatnego osadu, czyścili za pomocą kurzych piór, czemu przyglądałam się z masochistyczną fascynacją. I też szybko zaczęłam palić. Jednak oprócz tego fatalnego nałogu po Dziadulinie pozostało mi coś więcej, coś znacznie lepszego: bądź wierna, nie zdradzaj. Niczym u Herberta, którego wierzy pewnie nie znał, w »Przesłaniu Pana Cogito«: »Bądź wierny, idź«. No, ale umarł, nie było go, a ja zostałam na wychowanie w kobiecym klanie – matki, babci i tysiąca ciotek, z których to każda miała lepszy pomysł na to, jak mnie wychowywać. Ojca w tym nie było, gdyż, durny gówniarz, pokłócił się z moją »Macierzą« i widywałam go tylko incydentalnie, raz na parę lat. Przez długi czas największy wpływ na moje wychowanie, na moje życie, miała Babunia. Matka Polka, wyrażająca swoją miłość w karmieniu bliskich. Pamiętam, jak biegała za mną z kajzerką posmarowaną świeżym masłem, na który nałożyła soczysty plaster gotowanej szynki i błagała, żebym chociaż ugryzła. Nie, uciekałam, jakby miało zależeć od tego mo-je życie, wiedzioną instynktem młodych organizmów, że nie należy przyjmować zbyt wiele kalorii.

Babunia umarła, kiedy byłam już na studiach. Zanim odeszła, chorowała na alzheimera. Ni-

kogo nie poznawała, z nikim nie rozmawiała, bywała agresywna. Z wyjątkiem mnie. W weekendy, kiedy zazwyczaj przyjeżdżałam do domu, warowała niczym pies stróżujący za firanką, wypatrywała. I zawsze miała dla mnie schowane jakieś słodczyce w szafie, za szmizjerkami i apaszkami. Też lubię karmić ludzi, częstować ich słodczykami, to daje – mnie i im – takie malutkie chwile szczęścia. Będzie truizmem, ale i tak to napiszę – przedstawiamy być dziećmi, kiedy odchodzą nasi rodzice.

Moja mama, Dzidka, urodziła mnie, kiedy miała 18 lat. Nie było jej łatwo – z chorowitym dzieckiem pod pachą skończyła studia, pracowała na dwa, czasem trzy etaty, żeby nas utrzymać. O Ojcu już mówiłam, nie było go w moim życiu. Ale, na szczęście, pojawił się Alek. Dzidka i Alek poznali się, zakochali, a ja dostałam Ojczyzna. Każdemu takiego życzę. I nie chodzi tylko o to, że zrobił mi globus z piłeczki pingpongowej, że nauczył mnie pływać, ale o to, że zawsze był po mojej stronie, miałam kogoś, komu mogłam wszystko powiedzieć. Dzidka była (kochana, dobra) wymagająca, a Alek łał się jak świeży miód. Dzidka umarła pierwsza. Przyszła do kuchni, usiadła, wzięła długopis, książeczkę z krzyżówkami i jej serce odmówiło współpracy. Po roku z hakiem za Dzidką podążył Alek. Umarł spokojnie, w swoim łóżku, miał na sobie śmieszny piżamę św. Mikołaja, jaką dostał pod ostatnią w jego życiu choinkę. Nie pojedę na grób żadnego z nich. Nie dlatego, że jestem leniwa, po prostu – dla mnie – ich tam w grobach nie ma. Są wciąż przy mnie, w moich wspomnieniach, w moich nawykach, zasadach. Po ich śmierci poszłam do lekarza. Na depresantach jestem do dziś. Najbardziej brakuje mi telefonów do Dzidki i Alka. Dzisiaj nie mam do kogo za-

dzwonić. I usłyszeć, zanim skończę: »Tak, tak wszystko już wiem«. Znali mnie lepiej niż ja znam samą siebie. Smutek przeszedł z czasem, została pustka. Chociaż dzisiaj częściej uśmiecham się niż płaczę, bo po żałobie zostają już tylko dobre wspomnienia».

Opowieść profesora

Te pierwsze miesiące, lata są najgorsze. Zapadamy się w siebie albo wręcz przeciwnie – szukamy pocieszenia. Może inni wiedzą, jak wypełnić pustkę?

– Jeśli już zostaliśmy powołani do istnienia, to tak, to nie mamy wyjścia, to śmierć jest potrzebna. Tak tkwilibyśmy w życiu (czy to byłoby w ogóle życie?) niczym mucha w bursztynie. I co poza tym? Właściwie nie byłoby ani nadziei, bo nadzieja jest związana z przyszłością, ani poczucia własnej tożsamości, bo ona się buduje przez jakąś przeszłość, przez doznania, które w sobie gromadzimy, przez zmiany, których doświadczamy w dotychczasowym życiu, przez pamięć o stawianiu się i odchodzeniu wszechrzeczy. Bylibyśmy więc wydani tylko na łup tych samych, niewzruszonych wrażeń bez znaczenia – mówił mi swego czasu świętej pamięci prof. Zbigniew Mikołajko, filozof, etyk.

I tłumaczył, że utrata osoby bliskiej jest utratą radykalną, absolutną, ostateczną.

Profesor nie miał żadnej recepty, żadnego pomysłu na pocieszenie. A tym bardziej pomysłu, który byłby pomysłem uniwersalnym, odpowiednim dla każdego z nas. – Pozostaje zatem to, co jest najbardziej banalne, doszczętnie wyświechtane, bo kryje się w tym jakaś wieczna mądrość: że czas leczy rany. Czas, czyli samo życie, same konieczności życiowe, sama egzystencja doraźna. Jedyną więc receptą, jeśli już jej

szukać, to staranie nasze, aby osoba, która doznała straty, nie dała się przez jej poczucie całkowicie obezwładnić, zagarnąć, zanurzyć w śmierci aż do zatarcenia – dodał prof. Mikołajko.

Śmierć bardzo długo z nas uchodzi. Na początku jest szok, zwłaszcza gdy strata bliskiej osoby jest zaskoczeniem, gdy przychodzi znienacka. Nie dowierzamy, płaczemy, krzyczymy. Czasami zastygamy w bezruchu. – Staję przed śmiercią i jest spuszczone kurtyna. Moją żałobą jest coś w rodzaju zamilknięcia. Nie mam w obliczu śmierci nic do powiedzenia. Inni płaczą, chudną, włosy z głowy wyrrywają, a ja milknę – może te same emocje, tylko inaczej wyrażone. Ale nie mówię wtedy ludziom zbyt wiele – opowiadał mi ojciec Paweł Krupa, dominikanin.

Jesteśmy jeszcze zmobilizowani, musimy zorganizować pogrzeb, mimo że ból rozsada nam głowę, wali serce, brak nam tchu. Nie śpimy, nie jemy, ale działamy. Z czasem ten stan mija i zaczynamy się miotać od rozpacz do poczucia pustki.

Smutno nam tak po ludzku: beznadzieja i strach. Unikamy ludzi, albo wręcz przeciwnie, robimy masę rzeczy, wszystko, żeby tylko nie myśleć. Powoli wracamy do nowej rzeczywistości. Inaczej samotni.

Opowieść Ewy i Martyny

Ewa: »Nie potrafię nawet o tym opowiadać. Byliśmy z Tadeuszem ponad pół wieku. Miałam 19 lat, on 21, kiedy wzięliśmy ślub. Potem pojawiła się Martyna. Wszystkiego dorabialiśmy się sami. Pamiętam naszą radość, kiedy kupiliśmy pierwszy samochód: »malucha«, nową zastawę do domu. Wszystko robiliśmy wspólnie, wszystko nas cieszyło. Tadek jechał na ryby, a ja razem z nim: on łowił, ja siedziałam obok na kocu. Jesienią zbieraliśmy grzyby, latem i zimą ruszaliśmy nad morze. Martyna dość szybko wyprowadziła się z domu. Zostaliśmy sami i to nas chyba jeszcze bardziej do siebie zbliżyło. Wieczorami usypiałam przed telewizorem. Zawsze ze śmiechem wyciągał mi spod głowy poduszkę. »Chodź spać!« – mówił. Pomagał mi we wszystkim. Pracowity, dobry człowiek. Kiedy zachorował, wiedziałam, że nie wróci do zdrowia. Pielęgnowałam go jak potrafiłam: goliłam, myłam, obcinałam paznokcie. Wiedziałam, że odejdzie. Był pogrzeb, byli ludzie. Były sprawy w urzędach. W końcu zostałam sama. Nie byłam na to gotowa. Jego wędki za drzwiami w sypialni. Jego ubrania w szafie. Mieliśmy swoje rytuały, swój rozkład dnia. Teraz nikt nie czekał na śniadanie, nikt nie robił kawy o 16. Nie chciało mi się wstawać z łóżka. Po co? Nie chciało mi się gotować dla sie-

bie samej. Nie chciało mi się chodzić na zakupy. Straciłam męża i najlepszego przyjaciela. Przychodzili znajomi, przyjeżdżała Martyna. Potem każdy wracał do swojego życia. W moim niczego już nie było. Nie potrafiłam być sama. To trwało miesiącami, latami. Któregoś dnia naprawiłam samą pralkę, potem kupiłam nową lodówkę, bo stara się zepsuła. Zobaczyłam, że w szafie wiszą same czarne swetry, spódnice i spodnie. Kupiłam sobie nową bluzkę, ciemnoniebieską i zimową kurtkę. Pojechałam do sanatorium, lekarka dała skierowanie i kazała jechać. Poznałam tam Anię i Ulę. Polubiłyśmy się. Do dzisiaj piszemy do siebie na WhatsAppie. Wróciłam do książek. Bardziej się życiem cieszę, może inaczej – już tyle nie płaczę. Ułożyłam sobie plan dnia. Wstaję około 7, potem idę na zakupy albo na spacer, wiem, że muszę wyjść z domu, ruszać się. Przychodzę, jem śniadanie, czytam. Przygotowuję obiad, około 16 włączam telewizor. Idę spać około 23. Częściej spotykam się z przyjaciółmi, znajomymi. Zaczęłam wyjeżdżać na wakacje. Niby jest dobrze, staram się».

Martyna: »Choroba taty to była walka. Przegrana już na stracie. Wiedziałam, że nie mamy szans. Tata też wiedział. Mama wychodziła z pokoju, a on mówił: »Wiesz, córuś, tak bardzo chciałbym już odejść«. Nic nie odpowiadałam. Co tu mówić? Że wszystko będzie dobrze? Nie będzie. On to wiedział i ja. Coraz bardziej cierpiał, coraz bardziej nie był sobą. Bardzo chciałam, żeby odszedł. I bardzo się tego swojego chcenia wstydziłam. Bo jaka córka modli się o śmierć ukochanego ojca? Kiedy umierał, trzymałam go za rękę. Z oczu poleciała mu łza. Zastanawiałam się potem, dlaczego płaczę. Był na morfinie, nic go już nie bolało. A płakał. Na pogrzeb przyszły tłumy. Tata był cudownym, ciepłym człowiekiem. Nie było w nim zazdrości, zawiści. Nie oceniał innych. Staliśmy wszyscy nad grobem, a ja patrzyłam na mamę. Wiedziałam, że teraz wszystko się zmieni. I zmieniło się. Rozpaczała. Nie myślałam o sobie, tylko o niej. Nie wiedziałam, co powiedzieć, co robić. Przygotować śniadanie? A może nie powinienśmy jeść? Wynieść rzeczy taty już teraz, czy za rok albo dwa? Widziałam samotną, bezbronną kobietę, zasklepioną w swoim cierpieniu. Nie pozwałała sobie pomóc. Nie jadła, nie spała, codziennie chodziła na cmentarz. Mogłam być obok. Tyle. Minął rok, potem drugi. Wciąż nie kupowała nowych rzeczy, bo po co, nie warto. Nie wychodziła do znajomych, przestała czytać. Nie mogłam znieść tego jej



FOT. 123RF

odrętwienia. Byłam miła, do rany przyłoż. »Najchętniej położyłabym się koło taty« - powtarzała w kółko. Potakiwałam, chociaż ciężko było mi tego słuchać. Bo to znaczyło, że ja, moja rodzina nie mamy znaczenia. Nie warto dla nas żyć. »Tylko weź ze sobą koc, ciągnie od ziemi« - wypaliłam pewnego dnia. Tak, bywałam szorstka: „Miliony kobiet straciły mężów. Mamo, choć pójdziemy do psychologa, przecież musisz dalej żyć« - powtarzałam. Kiwała tylko głową. Wracałam do domu i płakałam. Ja też kogoś straciłam, tatę. Czy ktoś mnie pyta, co czuję? Byłam zła. Ale zaraz karmiłam się w myślach i znów martwiłam o nią. Nie wiedziałam, jak jej pomóc. Pomógł czas. Zadzwoiła któregoś dnia i pochwaliła się, że kupiła sobie nową kurtkę. Pomyślałam, że to dobry znak. Od śmierci taty minęły cztery lata. Pojechała do sanatorium, znowu zaczęła chodzić do biblioteki, spotykać się z przyjaciółmi. Częściej się uśmiecha. Jest silną, dzielną kobietą. Radzi sobie. A ja mogłam wreszcie częściej myśleć o tacie. Brakuje mi naszych wspólnych wypadów w góry, spacerów, rozmów. Byliśmy bardzo blisko. Zawsze wychodził po mnie na dworzec, kiedy przyjeżdżałam do domu. Już nie wypatruję go na peronie. Dzwonił i dopytywał czter-

dziestoletniej kobiety: »Córuś, chodzisz w czapce? Straszny ziąb!«. Nie czekam na te telefony. Tylko dzisiaj już nie płaczę, kiedy o tym myślę, uśmiecham się do siebie. Uśmiecham się do wszystkich tatowych wspomnień. Najbardziej lubię chodzić na cmentarz sama. Przykucam wtedy na ławeczce przy jego grobie »No to, kochaniutki, siadaj teraz wygodnie w tym swoim fotelu na górze i słuchaj« - tak zaczynam i opowiadałam mu o tym, co u mamy, u mnie, co u jego wnuczki. Chociaż pewnie wszystko to wie. I zawsze widzę jego roześmianą twarz”.

Opowieść naukowców

Ci, którzy stracili bliskich, mówią o pustce. O wędkach schowanych za drzwiami w sypialni, o samotności. To ponoć jedna z chorób cywilizacyjnych XXI wieku, kolejne „zagrożenie dla globalnego zdrowia publicznego.”

Dr Vivek Murthy, współprzewodniczący powołanej w 2023 roku komisji do walki z tym zjawiskiem, podkreśla: „Zbyt długo problem samotności pozostawał w cieniu, niedostrzegany i niedoceniany”.

Z badania przeprowadzonego przez Instytut Gallupa i firmę Meta w 142 krajach świata wynika, że niemal jeden na czterech dorosłych, czyli około miliarda ludzi na świecie, czuje się bardzo lub dość samotny. To

uczucie dopada nie tylko osoby starsze, ale także te stosunkowo młode.

Badania nad samotnością nie są zresztą czymś nowym. Grupa naukowców z uniwersytetów Harvarda, Stanforda, Curtin oraz uniwersytetu Zachodniej Australii już jakiś czas temu postanowiła zastanowić się nad tym, co może potęgować poczucie samotności. Sprawdzali, czy istnieje związek między tym, jak radzimy sobie z emocjami, a subiektywnym poczuciem osamotnienia. Zbadano grupę 501 dorosłych ludzi. Zapytano ich, czy czują się samotni, jak często, jak bardzo. Potem jak radzą sobie ze smutkiem, gniewem, złością. Okazało się, że umiejętność radzenia sobie z negatywnymi emocjami jest kluczem. Poczucie samotności zwiększa nadmierne rozmyślanie, obwinianie siebie lub innych, wyobrażanie sobie katastroficznych scenariuszy, tłumienie negatywnych uczuć, unikanie innych ludzi, wycofywanie się z życia towarzyskiego, odrzucanie wsparcia emocjonalnego. Kiedy tracimy kogoś bliskiego, bardzo często tacy właśnie jesteśmy - zamykamy się w swoich skorupkach.

- Badania nad samotnością jednoznacznie wskazują, że samotność wpływa na nasze zdrowie. Depresja, stany lękowe to skutki dla wszystkich

oczywiste, ale samotność obniża także nasze zdolności do radzenia sobie z chorobami, obniża naszą odporność - wylicza psycholog Maria Rotkiel. I dodaje, że poczucie wspólnotowości jest jednym z najważniejszych czynników, które sprawiają, że czujemy się szczęśliwi. Poczucie, że żyjemy wśród ludzi, którzy są nam życzliwi. Nie chodzi nawet o posiadanie rodziny, bardziej o bycie w jakiejś wspólnotcie. Wspólnocie, która sprawia, że możemy usiąść z kimś na ławce, porozmawiać, spotkać się na herbatkę z sąsiadką, z inną pójść na spacer. W grupie, wśród innych - mamy poczucie sensu, widzimy w życiu jakiś cel.

Opowieści internautów

Mka16: „Na pewno nie ma jednego schematu żałoby. Każdy przeżywa to inaczej w zależności od własnego usposobienia.

Moja mama zmarła niewiele ponad rok temu. Tuż po jej śmierci było uczucie ulgi, że już nie cierpi, ale trwało to bardzo krótko. Później żal - wiem, że bezpodstawny i głupi - do Niej, że o sobie nie dbała i mnie zostawiła, do siebie samej, że nie zrobiłam wszystkiego, co mogłam. Później był okres, kiedy próbowałam rzucić się w wir pracy. Dopiero po jakimś czasie przyszła potrzeba rozmowy, wspomnia-

nia. 5 miesięcy temu urodziłam swoje pierwsze dziecko, którego moja mama nigdy nie zobaczy. Powrócił ogromny żal, że jej tu nie ma, i znowu chęć niemyślenia o tym, bo za bardzo boli. Żle mi z tym, że staram się o niej nie myśleć, ale dzięki temu mogę jakoś funkcjonować”.

Blanka: „Ostatnie zdanie Twojego postu odzwierciedla dokładnie stan mojej duszy. Działa u nas instynkt samozachowawczy - wiemy, że musimy jakoś normalnie żyć i znajdujemy na to sposób: staramy się nie myśleć, nie rozpamiętywać. W miarę upływu czasu inaczej patrzę na odejście Taty - wiem, że ja mam żyć, i chcę żyć tak, jakby chcieli moi zmarli bliscy”.

Zen: „Odczuwam strach przed przyszłością, nie wiem, jak sobie dam radę. Ona była cudowną żoną, mamą i panią domu. Nie wiem, jak sobie poradzę z tą pustką. Z drugiej strony odczuwam wstręt do życia i poczucie jego beznadziejności. Spędziliśmy razem w ten czy inny sposób prawie połowę mojego życia (jej połowę). Ponad 10 lat. To była moja pierwsza dziewczyna. Zakochanie od pierwszego wejrzenia. Przyjaźń od początku wobec braku możliwości miłości (ona była za młoda na związek). Czekalem 3 lata, 2 lata walczyłem o nią, potem spędziłem z nią 5 najlepszych lat mojego życia.

Dla siebie zerwaliśmy kontakt ze światem, całkowicie poświęciliśmy się sobie, nie było nic i nikogo, tylko my i synek. A teraz jestem nagle sam. Byłem pewny, że tak miało wyglądać moje życie, że znalazłem osobę, która była mi przeznaczona. A teraz jej nie ma, nie ma mojego przeznaczenia”.

Hastry: „Ja straciłam męża. Było bardzo ciężko, jest trochę lepiej, po prostu potrzeba czasu. Na początku była tylko ciemność i świadomość, że na zawsze tak już zostanie. Trzeba być cierpliwym”.

Pigus: „U mnie minęło pół roku. Ciągłe huśtawki nastrojów, obsesyjne opowiadanie o tej osobie, rozmyślanie, czy można było coś zrobić. Zmarł młodo i zostałam z małutkimi dziećmi. Myślę, że radzę sobie. Bardzo pomagają mi rozmowy, nie powstrzymuję łez. Na szczęście mam czasem pomoc, więc mogę wyjść, odreagować: pobiegać, wsiąść w samochód i pokrzyknąć. Ale wiem, że jeszcze wiele przede mną. Boli, nie tak miało być. Ale przecież na moje umieranie jeszcze przyjdzie czas. Teraz chcę żyć”.

Śmierć jest faktem. Nie dyskutuje się z faktami. Trzeba przeżyć żałobę. Płakać, złościć się, złorzeczyć. A potem trzeba zacząć żyć na nowo: wyjść do ludzi, bo tylko dzięki nim, choć sami, nie jesteśmy samotni.

– Nie paraliżuje mnie już myśl o odejściu. Śmierć to druga strona życia
– mówi dziennikarka i pisarka Anna Matusiak, autorka książki
„Ze śmiercią im (nie) do twarzy”, w której znalazły się rozmowy z tymi,
którzy ze śmiercią stykają się codziennie

Anita Czapryn

ANNA MATUSIAK: ZAMIATAMY ŚMIERĆ POD DYWAN, DLATEGO NIE POTRAFIMY SPOKOJNIE ŻYĆ

Co pani czuje, kiedy słyszy słowo „śmierć”?

Jak każdy człowiek, w pierwszym odruchu czuję jakieś napięcie, obawę, lęk. Ale z drugiej strony, po rozmowach, które przeprowadziłam, i po moim doświadczeniu zawodowym, bo skończyłam suicydologię, czyli naukę, która mocno przygląda się śmierci, z tej perspektywy samobójczej, to patrzę na śmierć, a przynajmniej się staram, jak na drugą stronę medalu pod tytułem „życie”. Naprawdę, po zrobieniu wielu podcastów na temat śmierci i dzięki psychologicznemu wykształceniu, mam poczucie, że mówiąc o śmierci, rozmawiamy o życiu. Dlatego tak często podkreślam, że moja książka nie jest ciemna, mroczna ani smutna. Ma na celu sprawić, byśmy jeszcze bardziej, jakkolwiek banalnie to zabrzmiał, potrafili cieszyć się życiem i je dostrzegać. Ale oczywiście w pierwszym odruchu, jak każdy człowiek, wciąż nie pozbyłam się lęku i tego lekkiego odrętwienia, kiedy słyszę słowo „śmierć”. A już tym bardziej, gdy pomyślę o moich bliskich. Moja własna śmierć być może została już trochę oswojona, choć tyle o sobie wiemy, na ile nas sprawdzono. Natomiast lęk o bliskich, o rozstanie z tymi, których się kocha, zawsze wywołuje emocje.

Sam tytuł pani książki „Ze śmiercią im (nie) do twarzy” prowokuje i zmusza do refleksji. Dlaczego taki tytuł?

Po prostu od razu przyszedł mi do głowy. To oczywiście parafraza tytułu filmu, choć moja książka do niego nie nawiązuje. Sam zwrot wydał mi się natomiast adekwatny, zwłaszcza że książka opowiada o perspektywach zawodowych. To „nie do twarzy” albo „do twarzy” gdzieś się ze sobą przenika i miesza. Możemy się zastanawiać, co to właściwie znaczy, czy nam do twarzy ze śmiercią, czy nie? Skoro jest to jedyna rzecz, która spotka każdego z nas, bez względu na wykształcenie, status społeczny, przygotowanie. Nie do końca zgadzam się z powiedzeniem, że śmierć jest jedyną sprawiedliwością, bo przecież czeka każdego. Jak pokazuje doświadczenie, bywa też bardzo niesprawiedliwa. Zabiera dzieci. W podcaście o tym samym tytule, „Ze śmiercią (nie) do twarzy”, rozmawiam z moimi gośćmi książkowymi, ale też z ludźmi po stratach, czego już w książce celowo nie ujęłam. Chciałam, żeby publikacja pokazywała wyłącznie perspektywę zawodową. Rozmowy z osobami po stracie pokazują jednak, jak bardzo śmierć potrafi być niesprawiedliwa, jak bardzo potrafi być nie do twarzy. O to mi właśnie chodziło: o przenikanie się pewnych zwrotów, perspektyw myślenia o śmierci i o życiu.

Dlaczego w ogóle zajęła się pani tematem śmierci?

Wie pani, że to jest pytanie, na które sama nie umiem znaleźć odpowiedzi? I szukam jej

w sobie od dawna. Fascynuje mnie śmierć, ale nie w perspektywie kryminalnej. Nigdy nie zaczytywałam się w brutalnych morderstwach, nie chciałam zgłębiać śmierci z takiego punktu widzenia. Ona fascynuje mnie z perspektywy psychologicznej, filozoficznej, teologicznej. Choć jestem naprawdę bardzo optymistycznym człowiekiem, Kocham życie i staram się czerpać z niego pełnymi garściami, to faktycznie śmierć, a w ogóle tematy trudne, bolesne, oscylujące wokół cierpienia, zawsze mnie pociągały z perspektywy dziennikarskiej, a pracuję w zawodzie od 25 lat. Teraz powoli wchodzi też w zawód pomocowy, czyli zawód psychologa. To stworzyło mi nową perspektywę. A może właśnie dlatego w nią wchodzę, żeby móc tę perspektywę otworzyć z innej strony. Jest w tym coś fascynującego, w tej kurtynie, za którą nie wolno nam spoglądać. W tej magii. Interesuje mnie to nie tylko z punktu widzenia nauki, ale też zjawisk niewyjaśnionych. Po prostu śmierć mnie fascynuje, jakkolwiek to nie zabrzmiał. Zawsze powtarzam, że kiedy grzebię w niej jako dziennikarka, to trochę pod przykrywką mikrofonu, kamery, dyktafonu. I wtedy czuję się bezpieczniej, mam takie złudne poczucie, że nie staram się uchylać tej kurtyny, której nie wolno nam uchylać; ja tylko rozmawiam. Że nie zgłębiam się w tematy, w które może nie powinniśmy. A może właśnie powin-

niśmy? Może właśnie dlatego, że się nie zagłębiamy, potęguje się w nas strach? Śmierć wciąż jest tematem tabu. Choć dziś rozmawiamy już o wszystkim, o śmierci wciąż bardzo trudno nam mówić. Może właśnie dlatego powinniśmy o śmierci rozmawiać, żeby żyć pełniej. A to dla mnie cel nadrzędny.

Wszyscy Pani rozmówcy mają wspólną cechę: zawodowo stykają się ze śmiercią. Jak ich Pani dobierała? Jest i właściciel zakładu pogrzebowego, ksiądz, psycholożka, archeolog sądowy, a nawet medium.

Pewne zawody po prostu musiały się tu znaleźć. Nie wyobrażam sobie książki o śmierci z perspektywy zawodów bez grabarza, psychologa hospicyjnego czy księdza. Ale niektóre postaci pojawiały się w trakcie pracy, bo ktoś kogoś polecił, ktoś inny wspominał, że zna ciekawą historię. Wiele z tych spotkań zrodziło się przypadkiem, choć ja w przypadki raczej nie wierzę. Część rozmów miałam w głowie od początku. Bardzo chciałam dotrzeć do lekarza, który wykonuje eutanazję. Z drugiej strony, zależało mi też na rozmowach z osobami z kręgu duchowości i ezoteryki, dla kontrastu wobec perspektywy naukowej. Chciałam zobaczyć, czy w tych dwóch światach, czyli naukowym i duchowym, znajdę wspólny mianownik. Czy będą to zupełnie różne refleksje, czy może jednak mówimy

o tym samym, tylko innym językiem. Poza tym zależało mi, żeby książka mogła trafić do każdego. Jesteśmy różni. Jednego bardziej poruszy ksiądz albo psycholog hospicyjny, który towarzyszy ludziom w ostatnich chwilach, a do innego przemówi medium czy tarocista. Niektórzy moi rozmówcy pojawili się z czystej ludzkiej ciekawości. Do tarocisty poszłam przede wszystkim zapytać, czy ludzie pytają o własną śmierć. Czy jesteśmy tego ciekawi, czy wolimy nie wiedzieć. I bardzo mnie zaskoczyło, gdy usłyszałam, że tak, że o śmierć pytają często. Ja sama nigdy w życiu bym o to nie zapytała. Dlatego ten dobór postaci jest tak różnorodny. Zależało mi, by każdy czytelnik mógł znaleźć w książce swoją drogę, swój język rozmowy o śmierci.

Co jeszcze łączy ludzi, którzy zawodowo dotykają śmierci? Zauważyła pani w nich jakieś wspólne cechy, jak na przykład spokój czy dystans?

Przed wszystkim łączy ich miłość do życia. To było dla mnie najbardziej zaskakujące, a zarazem najbardziej budujące odkrycie. Ten ogromny szacunek do życia, ale też do ludzi, którzy odchodzą. Nie dostrzegłam w nich rutyny, która przecież byłaby naturalna, a może nawet usprawiedliwiona. Bo kiedy ktoś codziennie styka się ze śmiercią, to włącza się mechanizm obronny, właśnie rutyna, która pozwala w tym zawodzie przetrwać. Gdy myślę

o właścicielu zakładu pogrzebowego, który sam wykonuje makijaż pośmiertny, wyobrażam sobie, że w którymś momencie musiałby chronić swoją psychikę. Oczywiście każdy z moich bohaterów ma pewne predyspozycje, bez których nie da się wykonywać takiej pracy. A jednak w każdym z nich widziałam ogromny szacunek i jednostkowe podejście do drugiego człowieka, do każdego kolejnego klienta czy pacjenta, w zależności od zawodu. Urzekło mnie to: spokój, godność i walka o zachowanie tej godności w obliczu czegoś tak delikatnego, niematerialnego, niepojętego. I dało mi poczucie światła w tunelu; że istota człowieczeństwa wciąż w nas istnieje.

Które ze spotkań było dla pani szczególnie ważne albo trudne? Co najbardziej panią poruszyło?

Odpowiem zupełnie prywatnie. Bardzo trudne i ważne było dla mnie spotkanie z księdzem z Centrum Zdrowia Dziecka. Nie ze względu na jego zawód, tylko ze względu na tego konkretnego człowieka i to miejsce. Siedem lat temu, kiedy urodził się mój synek, leżałam w Centrum Zdrowia Dziecka, walcząc o jego życie. Ksiądz Jacek, który jest bohaterem mojej książki, ochrzcił mojego synka na OIOM-ie. Wyobraża sobie pani, jakie to były emocje? Jaki to był chrzest, gdy nie wiadomo było, czy to chrzest, czy pożegnanie? Powrót do tego miejsca po siedmiu latach, w innej roli, był dla mnie szczególnie ważny. Szczególnie było też spotkanie z tym samym człowiekiem, który wtedy był dla mnie głosem nadziei. Bo w sytuacji granicznej, bez względu na to, czy ktoś jest wierzący, czy nie, człowiek chwytający się każdej nadziei. A ksiądz, który czyni znak krzyża i mówi: „Proszę się nie martwić, będzie dobrze, on z tego wyjdzie”, staje się jakimś głosem Boga. Głosem, który tak bardzo chce się usłyszeć i zinterpretować jako coś więcej niż zwykłe pocieszenie. Po tylu latach wróciłam tam już jako studentka psychologii, na praktyki. To też było doświadczenie niezwykle dla mnie ważne: powrót do tamtego miejsca z nową świadomością, w nowej roli. Jeśli chodzi o samych bohaterów książki, to ogromne wrażenie zrobiła na mnie rozmowa z psycholożką hospicyjną. W jej oczach było tyle światła i radości, gdy mówiła o tak trudnych sprawach. Miała w sobie coś niewiarygodnie pogodnego, ciepłego, pełnego miłości do życia. Powiedziała mi wtedy coś, co często cytuję: „Trafiłam tam przypadkiem; nie było akurat pracy w mojej specjalizacji,



FOT. SZYMON STARNAWSKI

Anna Matusiak: Śmierć to może okres przejściowy, po którym czeka nas coś piękniejszego. Co nie znaczy, że mamy na nią czekać; tylko że możemy się mniej jej bać

więc poszłam tam tylko na chwilę. Zostałam na kilka-nastę lat. Żadne inne miejsce nie nauczyło mnie takiej miłości do życia, jak właśnie to hospicjum. To burzy stereotyp myślenia o hospicjum jako „umieralni”. Bo to jest właśnie miejsce, w którym może się narodzić ogromna miłość do życia. Zapamiętałam też rozmowę z policyjnym negocjatorem, człowiekiem, który rozmawia z ludźmi stojącymi dosłownie na granicy życia i śmierci. Czasem jeden krok dzieli ich od przejścia na drugą stronę. On robi wszystko, żeby ten krok wykonali w przeciwną stronę. Powiedział mi: „Wiesz, Ania, uratowałem setki żyć, ale nie uratowałem własnego brata. Nie zauważyłem. A on to zrobił”. To było dla mnie ogromnie poruszające. Pokazuje, jak bardzo to wszystko jest płynne, delikatne, nienormowalne. Nie mamy papierów na ratowanie życia. Można zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby odwrócić drugiego człowieka ku

życiu, a i tak nie zawsze się uda. Właśnie dlatego skończyłam suicydologię, żeby próbować odwracać ludzi ku życiu, choć mam świadomość, że niektórych po prostu nie da się uratować. Każdy z moich rozmówców zostawił we mnie choć jedno zdanie, które zabieram ze sobą. I wiem, że zostanie ze mną na zawsze.

Ksiądz w pani książce mówi, że dzieci umierają spokojnie. Jak rozumieć ten spokój?

Rozumiem go tak, że dziecko jest może bliżej tej tajemnicy, której my nie znamy. Bliżej źródła, bliżej Ojca, jakkolwiek to sobie nazwiemy. Ktoś powie: bliżej Boga. Ktoś inny: światła, a jeszcze ktoś: prądnicy. To także moje doświadczenie po obserwacji wszystkich, co widziałam w Centrum Zdrowia Dziecka. Dziecko na oddziale onkologicznym niesie obraz, który nas, dorosłych, bardzo boli. Ale dzieci tam zazwyczaj są radosne, szczęśliwe, bo tak wygląda ich świat. W ich świe-

cie jeszcze nie ma perspektywy planów, marzeń, ambicji, które utrudniają pogodzenie się z przemijaniem. Cierpią rodzice. Cierpienie fizyczne dzieci oczywiście boli, bo to po prostu ból. Ale w wymiarze duchowym najbardziej boli cierpienie dorosłych, którzy walczą o swoje dzieci. Dziecko przyjmuje rzeczywistość inaczej, bo jest na innym etapie życia. Po prostu tak wygląda jego świat: dziś jest szpital, jutro może być dom. Tak rozumie słowa księdza Jacka i tak je noszę w sobie.

Czego dowiedziała się pani o śmierci od ludzi, z którymi rozmawiała?

Chyba zostawiłam sobie nadzieję, którą wyczytuję z wypowiedzi moich bohaterów, a może raczej chcę ją sobie wyczytywać. Myślę, że każdy czytelnik znajdzie w tej książce coś innego, ale ja zostawiam sobie tę właśnie nadzieję: że to nie koniec. Że po drugiej stronie coś jest. Że idziemy ku czemuś więk-

szemu. Że śmierć to może okres przejściowy, po którym czeka nas coś piękniejszego. Co nie znaczy, że mamy na nią czekać; tylko że możemy się mniej jej bać. Można cieszyć się perspektywą, że kiedyś odejdziemy, ale do tego czasu powinniśmy żyć jak najlepiej, tu i teraz, jak najpiękniej. Może właśnie o to chodzi, by zasłużyć w życiu na to, żeby za tą kotarą było jeszcze piękniej i lepiej. Więc jeśli miała-bym odpowiedzieć krótko: po rozmowach z moimi bohaterami zostawiłam sobie nadzieję, że jest coś więcej i że to coś będzie naprawdę dobre.

Czy śmierć może być dobra? Pytam też w kontekście tego, jak ludzie chcą umierać. Czy ci, którzy przychodzili do tarocistów i pytali o swoją śmierć, mówili, jak chcą odejść? Czym jest dla pani dobra śmierć?

Przywołam tu spotkanie z Anją Franczak, założycielką Instytutu Dobrej Śmierci. Sama nazwa tej instytucji

wskazuje, że śmierć może być dobra. Wiele oczywiście zależy od kontekstu, od sytuacji, od samego odchodzącego, ale też od tych, którzy pozwalają odejść. Nie da się stworzyć jednej definicji, ale wiem, że ogromnie wiele zależy od atmosfery, w jakiej człowiek odchodzi. To pewnie cholernie trudne pozwolić odejść komuś, kogo się kocha. A jednak można zrobić bardzo dużo, by to odchodzenie było dobre, piękne, spokojne dla wszystkich: i dla tych, którzy żegnają, i dla tych, którzy odchodzą. Oczywiście wtedy, kiedy mamy czas, kiedy śmierć przychodzi po chorobie, a nie nagle. Wtedy możemy pozwolić sobie na to wspólne żegnanie, na konstruowanie ostatnich chwil razem. Tak, wierzę, że śmierć może być dobra. I bardzo bym chciała, żeby kiedyś, oby jak najpóźniej, gdy przyjdzie po mnie lub moich bliskich, potrafiła nas spotkać w spokoju. Żebyśmy znalazła w sobie siłę, by przypomnieć sobie te rozmowy, te twarze, i umiała odejść albo żegnać w dobrostanie, w poczuciu dobra, a nawet, jakkolwiek to zabrzmiałoby, z radością, że odchodzę do lepszego świata.

Pisze pani w książce, że śmierć została wypchnięta z naszej codzienności. Nie mówi się o niej, nie istnieje w mediach, nie ma jej w social mediach. Co tracimy, omijając ten temat?

Tracimy z całą pewnością spokój. Bo wszystko, co jest zamiatane pod dywan, co zostaje wyparte i zamrożone, w nas zostaje. Wraca potem w postaci lęku, napięcia, niepokoju. Jestem przekonana, że niszczy nas to, że nie oswojamy się ze śmiercią w dobry sposób, tylko w jej najbardziej drastycznej formie. Bo jedyne, co dziś kojarzy się ze śmiercią w mediach, to brutalne obrazy: wypadki, morderstwa, katastrofy. Ten przekaz przepełniony jest lękiem. A lęk rodzi jeszcze większy lęk. Naszym naturalnym odruchem staje się wtedy ucieczka od tematu. Zamrażamy się, wycofujemy, udajemy, że śmierci nie ma. Że nie istnieje. A to paradoksalnie tylko pogłębia niepokój. Im bardziej od niej uciekamy, tym bardziej nas dogania.

Ludzie, którzy pomagają umierającym, często mówią, że ta praca pomaga również im samym. W jaki sposób?

Myślę, że rzeczywiście tak jest. To doświadczenie pozwala im uzyskać pewien spokój. Oni mniej boją się własnej śmierci. Oczywiście, kiedy przychodzi moment spotkania z nią twarzą w twarz, nikt z nas nie wie, jak się zachowa. Być może w takiej chwili zapo-

minamy o całym doświadczeniu zawodowym i dopiero wtedy życie pokazuje, jakie emocje naprawdę się w nas odezwą. Ale można żyć w lęku albo w spokoju. Myślę, że ci ludzie, którzy pomagają innym przejść na drugą stronę, żyją w dużo większym spokoju właśnie dlatego, że tego dotykają. Że są przy tym, co najtrudniejsze, a przez to także najbardziej prawdziwe.

A pani? Mniej boi się pani śmierci po napisaniu tej książki?

Nie chciałabym rzucać słów na wiatr i powiedzieć, że boję się zdecydowanie mniej, choć chyba trochę tak. Myślę, że faktycznie czuję odrobinę mniej lęku. To oczywiście nie dotyczy moich bliskich. Sama myśl o ich odejściu napawa mnie przerażeniem i natychmiast wywołuje łzy. Ale jeśli pomyślę o własnej śmierci, to jest już we mnie więcej spokoju. Nie paraliżuje mnie ta myśl. Mam jeszcze wiele planów, wiele rzeczy, które chciałabym zrobić, a przede wszystkim mam małe dziecko. To są jedyne obawy, które przychodzą mi do głowy. Samo odejście przestało mnie jednak przerażać. Łatwiej jest mi o nim myśleć z całą pewnością dzięki sile, energii i światłu, które dały mi te rozmowy. Bo taki właśnie był cel tej książki: światło, a nie mrok.

CV



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Anna Matusiak

Dziennikarka, reportażystka i pisarka, doktor nauk o polityce, wykładowca akademicki. Autorka wielu książek, w tym „Ze śmiercią im (nie) do twarzy. Rozmowy z granicy między światami”, która ukazała się niedawno nakładem wydawnictwa Wielka Litera.



BORYS SZYC: MIAŁEM TAKIE POCZUCIE, JAKBY MNIE NAPRAWDĘ URATOWALI Z TONĄCEGO STATKU

5 listopada swoją premierę będzie miał w serwisie Netflix nowy polski serial – „Heweliusz”. Jest to fabularyzowana opowieść o najtragiczniejszej katastrofie w historii Polskiej Żeglugi Morskiej. Główną rolę w serialu gra Borys Szyc. Popularny aktor odsłania przed nami kulisy tej wyjątkowej produkcji

Patryk Gzyl

W 1993 roku, kiedy doszło do katastrofy promu Heweliusz, miał pan 15 lat. Dotarły do pana wtedy echa tej tragedii?

Dokładnie pamiętam filmową zjawkę w „Wiadomościach” czy w „Teleexpressie” z kadrem statku odwróconego dnem do góry i pogrążającego się w wodzie. Zrobiło to na mnie gigantyczne wrażenie. Moja wyobraźnia wystrzeliła wtedy w kosmos.

Te wspomnienia wróciły, kiedy trafiła do pana propozycja zagrania roli kapitana promu Heweliusz – Andrzeja Ułasiewicza?

Oczywiście. Kiedy oglądałem jakiś film o katastrofie morskiej, jak „Titanic” czy „Tragedia Posejdon”, zawsze wyobrażałem sobie, jakie to musi być straszne, co to trzeba tam przeżyć. Coś jest takiego wyjątkowo przerażającego w tragedii na morzu – pewnie ten ogrom wody sprawia, że ludzki umysł nie umie tego za bardzo ogarnąć. Robiąc ten serial, mogliśmy się zbliżyć do tej tragedii, ale jednocześnie cieszyliśmy się, że my jesteśmy bezpieczni. Trzeba pamiętać, że warunki były wtedy okropne: zima, trzy stopnie na termometrze, wiatr z prędkością 180 km/h, deszcz zacinający praktycznie poziomo. Dlatego to wręcz niewyobrażalne, że ktośkolwiek przetrwał tę katastrofę.

Podobno wdowa po kapitanie Ułasiewiczu wskazała pana jako aktora, który powinien zagrać jej męża. To miało dla pana duże znaczenie?

Dowiedziałem się o tym już później. Zorganizowano nam spotkanie z Jolantą Ułasiewicz, która zaproponowała, abyśmy

przeszli na ty i powiedziała mi, że kiedy zapytano ją, który aktor mógłby zagrać jej męża, wymieniła między innymi mnie. Było mi więc bardzo miło i czułem swego rodzaju namaszczenie ze strony rodziny kapitana. Ale za tym szło poczucie obowiązku, dlatego tym bardziej chciałem poznać, jaki prywatnie był mąż Joli. Sie dzieliśmy, jedliśmy i rozmawialiśmy, a ja słuchałem jej opowieści.

Co panu dało to spotkanie z rodziną kapitana?

Przed wszystkim właśnie to przyzwolenie, że to ja jestem tą właściwą osobą, która ma go zagrać. A od strony aktorskiej była to niezwykła pomoc. Jola sprezentowała nam bowiem Świętego Graala tej produkcji – nagranie na kasecie VHS, które kapitan Ułasiewicz zrobił jeszcze za życia. Pół roku przed śmiercią kupił bowiem kamerę wideo i nagrywał wszystko dokoła, jak każdy, kto pierwszy raz w życiu miał kamerę w rękę. To taki moment zachłyśnięcia się jej możliwościami, kiedy kręci się co popadnie, zbliża, oddala, etc. I on nagrywał nie tylko rodzinę, ale też wszystkich na statku, różne jego pomieszczenia, w tym całą swoją kajutę, łącznie z łazienką. Dlatego ta jego kajuta jest w serialu odwzorowana jeden do jednego, łącznie z przedmiotami na stole i na półkach. Dokładnie tak, jak było na statku.

A jeśli chodzi o samą postać kapitana?

Dzięki temu filmowi mogliśmy zobaczyć, że był bardzo lubianą osobą. Miał poczucie humoru, uwielbiał mocną muzykę rockową i dobrą kuchnię.

Był więc bardzo wdzięczną postacią do oddania. U niego zawsze leciało jakieś AC/DC na cały statek. Z różnych wypraw przywoził egzotyczne przyprawy, które pozwalały mu potem gotować ciekawe potrawy. Lubił dobrze zjeść, jego córka Agnieszka wspominała, że „tata zawsze był na diecie”, co znaczyło, że ciągle się odchudzał. To mi było bardzo bliskie. Uznaliśmy, że muszę przybrać na wadze do tej roli, więc w serialu widać moją zmianę fizyczną, bo miałem 15 kg więcej niż mam teraz. Do tego dorobiliśmy jego specyficzną łysinkę na głowie. W związku z tym, że kapitan oraz jego rodzina to jedyne prawdziwe osoby, które pojawiają się w serialu, chciałem, aby moja postać była bliska prawdziwego człowieka. W serialu oglądamy fragmenty z życia kapitana, on nie jest cały czas obecny na ekranie, staraliśmy się więc oddać w tych sekwencjach jakąś prawdę o nim. Jest tam taka scena, w której bliscy kapitana oglądają nagrania z tej kasety VHS. To było właśnie dosłownie przełożone z opowieści jego córki Agnieszki. Widać tam, jaką mieli ze sobą ciepłą relację, to, że kazał się jej uczyć angielskiego, to, że specyficznym mówił takie przedłużone „kurrrrrr”. Z tych małych śladów i okrucich wspomnień, jakie pozostały po człowieku, staraliśmy się go ożywić na ekranie. Dlatego to spotkanie z rodziną kapitana dało mi niezwykle dużo.

Bardzo wzruszająca jest ta sekwencja, w której kapitan nagrywa przez telefon wiadomość dla żony przed wyruszeniem w morze. To kilka zdań – a pięknie charakteryzuje tę po-

stać od prywatnej strony. To był autentyczny monolog?

Autentyczne jest to, że Ułasiewiczowie nie mieli w domu telefonu i kapitan zawsze przed wypłynięciem w morze nagrywał się na automatyczną sekretarkę u wujostwa swej córki. Potem jego żona i córka odsłuchiwały sobie te wiadomości. Ostatnie takie nagranie zostało zarejestrowane właśnie przed jego śmiercią.

Żona i córka kapitana widziały już serial?

Tak. Jola i Agnieszka otrzymały serial i widziały całość. Dostałem od nich potem niezwykle wzruszające wiadomości, które pokazują, jak to mocno na nie zadziało. Że nie spodziewały się, iż po 30 latach związane z tym emocje będą tak silne, zwłaszcza u Joli. To dla mnie niezwykle ważne w tej całej układance, którą stworzyliśmy, że oddaję swą rolę hołd tej osobie, która poszła na dno razem ze swym statkiem.

Czuł pan na sobie wyjątkową odpowiedzialność za takie pokazanie kapitana, żeby to była filmowo pełnokrwista postać, a jednocześnie jego żona i córka zobaczyły na ekranie swego męża i ojca?

Starłem się zrobić to, jak najlepiej potrafiłem, zwłaszcza mając na uwadze to, że ostatecznie nasz serial jest fabularny, jedynie inspirowany prawdziwymi wydarzeniami. Po zakończeniu zdjęć Agnieszka spytała mnie, czy myślę, że to właśnie tak było w jego ostatnich chwilach, jak pokazaliśmy w serialu. Oczywiście miało to retoryczny ton, ale było świadectwem tego, że ona wypierała to tyle czasu i nie dopuszczała do siebie myśli, jak to mo-

gło wyglądać, a teraz zobaczyła to na ekranie. To musiało zrobić na niej ogromne wrażenie. Zresztą podobnie było ze mną. Kiedy oglądałem scenę śmierci kapitana na monitorze, to miałem po prostu łzy w oczach. Kiedy bowiem człowiek wyobrazi sobie, jak to mogło być, to jest potwornie wzruszające.

Nie miał pan łatwego zadania, bo tak jak pan wspomniał, w scenariuszu Kaspra Bajona kapitan Ułasiewicz to główny bohater serialu, ale tak naprawdę pojawia się w niewielu scenach. Spodobało się panu takie przedstawienie tej postaci?

Rozmawiałem z Kasprem i wiedziałem, jaki jest jego zamysł. Uznałem, że to będzie ciekawe: skupić się na postaci, która jest poboczna i nagle okazuje się być pierwszoplanową. Mam tu na myśli bohatera, którego gra Konrad Eleryk. Tymczasem główna postać, czyli kapitan Ułasiewicz, jest obecny duchem w każdym odcinku, ale na ekranie oglądamy go tylko na początku i na końcu. Zaczęłem przygotowania do zagrania tej postaci od odsłuchania nagrania audio ze statku, w którym kapitan wzywa pomocy. Są tam liczne zakłócenia, jest ten sztor, ale słysząc, jak ludzki głos przedziera się przez nie i woła: „Mayday! Mayday!”. To coś poruszającego. Słuchając tego, miałem zaciśnięte gardło. Wyobraziłem sobie, jak musiał się czuć kapitan, wiedząc, że nie ma wyjścia i musi nadać taki komunikat. Pokazujemy to w naszym serialu – i te sceny z kapitanem mają tak ogromny ładunek emocjonalny, że wystarczyło ich kilka, aby ułożył się z nich jego wyrazisty portret.

Jakim doświadczeniem było dla pana zagranie sceny śmierci kapitana, kiedy naprawdę woda podchodziła panu do ust?

To było ciężkie przeżycie od strony emocjonalnej i fizycznej. Wchodziłem do gigantycznej scenografii odwróconego już statku, która zjeżdżała 9 metrów w dół i była prawie cała zanurzana w wodzie. I w tym momencie, kiedy jestem uwięziony na mostku i woda mi się powoli zbliża do głowy, wyobraziłem sobie, jak musiał się czuć kapitan, wiedząc, że za chwilę złapie ostatni oddech i dalej nie będzie już nic. To było coś przerażającego i poruszającego. Nikomu tego nie życzę. Nakręcenie tego było bardzo trudne.

Oglądając w filmie takie historie, zawsze zadajemy sobie pytanie: „Co ja bym zrobił na jego miejscu?”. Pan też tak miał?

Oczywiście. Ale to zupełnie abstrakcyjna myśl i można sobie tylko tak gdybać. Nie chciałbym tego nigdy sprawdzać w prawdziwym życiu.

„Heweliusz” został zrealizowany z ogromnym rozmachem, dzięki temu, że zajął się tym Netflix. Ta dbałość o realia pomogła panu wejść w rolę?

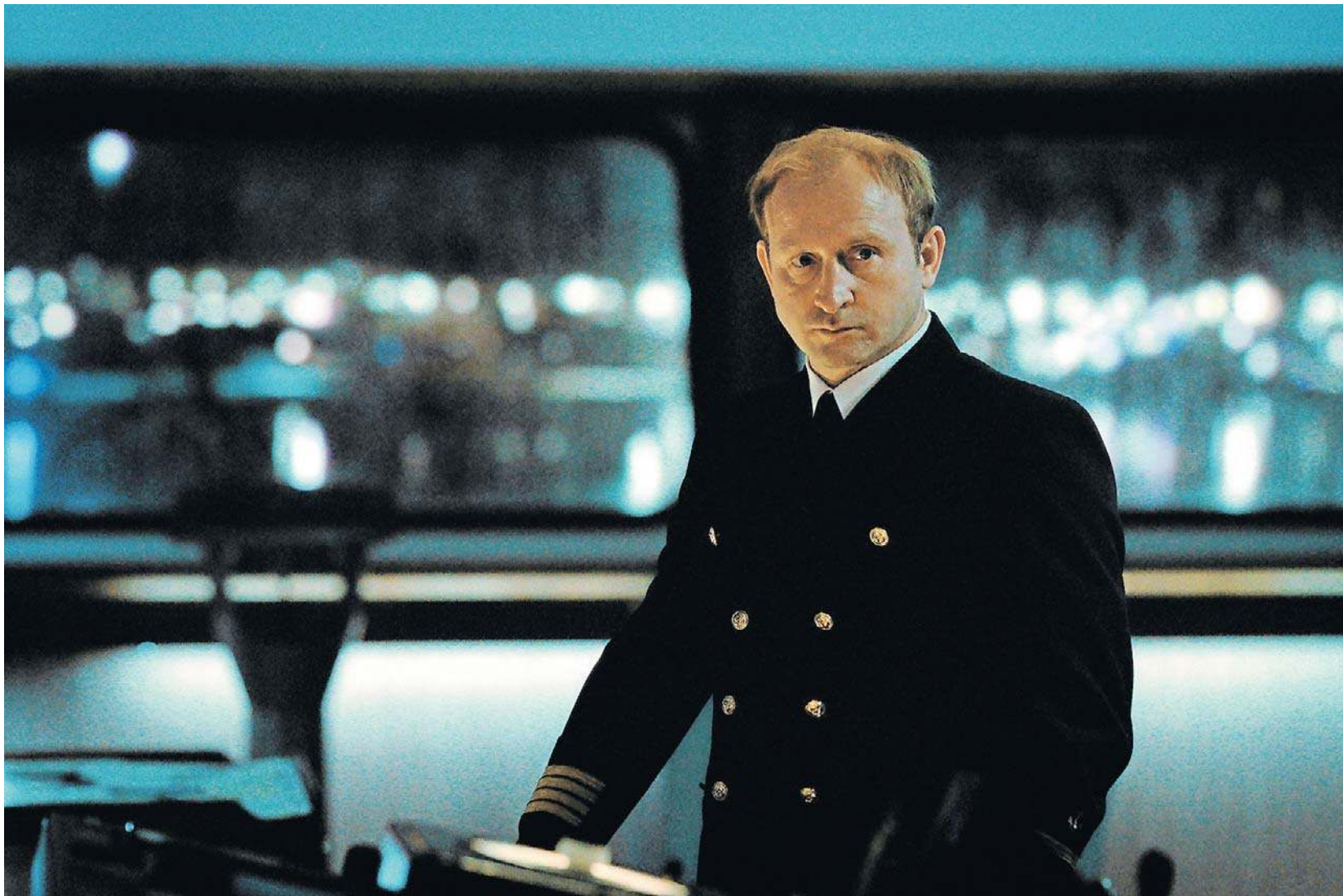
Absolutnie. To była produkcja o największym rozmachu, w jakiej brałem udział. Już myślałem, że naprawdę niewiele rzeczy mnie zaskoczy na filmowym planie, a tutaj spotkałem się z czymś wyjątkowym – zwłaszcza w tych scenach wodnych. I to we wszystkich wymiarach: organizacyjnie, ale też od strony scenografii i efektów specjalnych. Skala tego przedsięwzięcia była absolutnie niepowtarzalna. Myślę, że nic podobnego może mi się jeszcze długo nie przydarzyć.

Jak powstawały te efektowne sceny kręcone na tonącym promie?

Pierwsze zdjęcia, kiedy statek zaczyna się powoli przechylać, kręciliśmy na hali w Warszawie. To były te sekwencje, w których ten przechył miał jakieś 30 stopni. Potem, kiedy miał sięgać 75 i 90 stopni, pojechaliśmy pracować w hali w Belgii, gdzie stworzono gigantyczny basen, w którym ogromne dźwigi uzyskiwały ten efekt. Do tego trzeba było pokazać ten potworny sztorm: my, aktorzy, siedzieliśmy w środku, a w szyby waliły tony wody, do tego dookoła zbudowane były ekrany ledowe, na których pokazywano nagranie wychodzenia promu z portu w nocy. Mózg był więc atakowany ze wszystkich stron i absolutnie oszukany. Zanim zaczęliśmy zdjęcia, byłem na prawdziwym promie płynącym ze Szczecina do Ystad i przyglądałem się na mostku, jak wygląda wychodzenie z portu. Nagrałem sobie wszystko – i kiedy musiałem to odtworzyć na planie, nie było w tym żadnej różnicy dla mojej głowy. Miałem poczucie, że jestem na promie, on rusza, skręca i płynie. Iluzja była niezwyczajna.

Jak pan sobie radził z tym przechylem, wodą i wiatrem?

Byliśmy tym wykonawcami. Po 12 godzinach kręcenia w takim przechyle, w ogromnej wilgoci i gigantycznym hałasie, bo wszystko było napędzane wielkimi wiatrakami i pompami, miało się wszystkiego dość. Zanim weszliśmy na plan, mieliśmy treningi w Mszczonowie na najgłębszym basenie do nurkowania w Polsce, który ma ponad 45 m w dół. I dla mnie najtrudniejszy fizycznie do przejścia był moment utonięcia kapitana Ułasiewicza i opadania ciała bez wydychania tlenu. Nie mogłem wypuszczać z nosa bąbelków, tylko opadać na całkowitym bezdechu. Musiałem więc nauczyć się mieć w płucach tyle powietrza, żeby wytrzymać kilkanaście sekund, ale na tyle mało, aby



FOT. MATPRAS, NETFLIX/ ROBERT PAKA

Borys Szyc: W związku z tym, że kapitan oraz jego rodzina to jedyne prawdziwe osoby, które pojawiają się w serialu, chciałem, aby moja postać była bliska prawdziwego człowieka. Staraliśmy się więc oddać w tych sekwencjach jakąś prawdę o nim

swobodnie opadać w dół jakieś 7 metrów, będąc lekko obciążonym.

Myślałem, że to kaskader gra. Nie. Ja to wszystko robiłem sam.

To dlatego powiedział pan: „Pokonałem przy tym serialu wiele swoich strachów”?

Tak. Kiedy byłem małym chłopcem, topiłem się, lęk przed wodą był więc jednym z moich największych w życiu. Pokonałem go już częściowo wcześniej, biorąc udział w Iron Manie, gdzie musiałem płynąć w zatoce w Gdyni. Nurkowanie w wodzie zawsze jednak wiązało się u mnie ze strachem. Za każdym razem przewijały mi się wtedy w głowie kadry z tych różnych filmów katastroficznych. A tutaj musiałem tego na żywo doświadczyć i przeżyć. Pomogły mi to przełamać zajęcia z nurkami i kaskaderami. Ćwiczyliśmy nawet w Belgii na dzień przed kręceniem tej sceny z użyciem liny, która była przypięta 9 metrów w dół. Dlatego kiedy potem grałem to na planie, czułem się już pewnie.

Zagrał pan kapitana Ułasiewicza na 200 procent. Trudno było panu otrząsnąć się po tej roli po zakończeniu zdjęć? Po prostu byłem szczęśliwy, że udało mi się dotrzeć do końca. Miałem takie poczu-

cie, jakby mnie naprawdę uratowali z tonącego statku. (śmiech) Jest taki film z końca zdjęć, na którym widać, jak mnie wiozą na takiej tratwie, wszyscy mi klaszczą, a Janek Holoubek oblewa mnie jeszcze z góry wodą ze szlauchu. To był bardzo wzruszający moment. Bardzo jestem wdzięczny Macłowi Maciejewskiemu, czyli szefowi kaskaderów, który osobiście mnie nadzorował i pilnował w czasie tych wszystkich scen, żebym to bezpiecznie prze-trwał. Bo to były naprawdę bardzo trudne fizycznie zdjęcia. Te chwile, kiedy trzeba było grać, kiedy od dołu cała scenografia powoli się topiła – to było dla mnie wcześniej coś nie do wyobrażenia. Mieliśmy oczywiście ochraniających nas nurków, ale wykonanie tego kosztowało mnie wiele siły i emocji. Dlatego bardzo cieszyłem się, że to się szczęśliwie skończyło. Druga porcja silnych emocji czekała mnie w moim bezpiecznym domu, kiedy oglądając ten serial, byłem niezwykle poruszony. Podobnie moja żona. Trudno jej było to nawet momentami oglądać.

Mówimy tu o żywiole morza, a niedawno miał pan okazję zetknąć się również z żywiołem gór – za sprawą kryminalnego serialu „Forst”. To prawda, że wszedł pan w ten

projekt ze względu na swą miłość do Tatr?

Jak najbardziej. Kocham Tatry, uwielbiam Zakopane, górali, ich muzykę i kulturę. Jestem też smakoszem tamtejszej kuchni. Mam na Podhalu wielu przyjaciół i często ich odwiedzam. Bardzo się więc ucieszyłem, że możemy tę historię zbrodni w górskich plenerach z powieści Remigiusza Mroza przenieść na ekran. Dla mnie tym bardziej było to duże wydarzenie, że był to pierwszy projekt filmowy, który również produkowałem. Miałem więc okazję razem z moją agentką i wspólniczką Martą Barańską i naszą firmą BoMa Films zająć się realizacją serialu również od tej strony. Prześledziłem uważnie cały ten proces produkcyjny, dużym wydarzeniem była też nasza współpraca z Netflixem. Ale również wielka odpowiedzialność. To był bardzo intensywny czas – w sumie siedzieliśmy w górach aż 3 miesiące. Było to od strony organizacyjnej dosyć trudne, bo musieliśmy z całą ekipą dzień po dniu wchodzić na Giewont. Zaczynaliśmy ten spacer o 5 rano w asyście goprowców i „nositczy”, którzy targali tony sprzętu na górę.

Jak to było kręcić o świcie na Giewoncie?

Robiło to gigantyczne wrażenie. Zaczynaliśmy wchodzić w kompletnej ciemności z la-

tarkami na głowach. Towarzyszyła nam kompletna cisza, słychać było tylko nasze oddechy, gdzieś tam jedynie szemranie strumyków, które płynęły po bokach. Dzień budził się powoli ze snu i dopiero potem rozbrzmiewały głosy zwierząt. Kiedy zaczynaliśmy kręcić, była połowa października, tak że na szczęście nie było jeszcze pełnej zimy. Nam się wtedy wydawało, że fajnie by było, gdyby był śnieg, ale zrozumieliśmy po tych 2-3 dniach, że gdyby on naprawdę pokrył Giewont, to nigdy byśmy tam z tym całym naszym majdanem nie weszli. Pogoda była więc po naszej stronie. Szczególnie piękne wrażenia mieliśmy, kiedy kręcąc u podnóża Giewontu, pojawiało się słońce.

A skąd u pana ta miłość do Tatr?

Jeździłem tam jako dziecko na wakacje, potem kiedy chodziłem do liceum, to każdy sylwester spędzałem w Zakopanem. Było to zawsze bardzo wesołe wydarzenie. (śmiech) Myślę, że wzięło się to najpierw z literatury, potem pokochałem góralską muzykę. Moi rodzice studiowali w Krakowie na Akademii Sztuk Pięknych i w naszym domu zawsze dużo było tych opowieści o górach. Dlatego ta podhalańska nuta drgała w moim sercu. Kiedy byłem w Akademii Teatralnej,

zdawałem egzamin z „Na szkle malowane”, miałem więc okazję wykonywać krakowskie i góralskie piosenki. Ten repertuar jest mi więc bardzo bliski. A moją ukochaną kolędą jest „Oj, Małuśki”. (śmiech) Zawsze mnie ciągnęło w góry.

Serial w Tatrach był dla pana trochę sentymentalną wyprawą?

To prawda. Odwiedziłem Martę Krzeptowską, która zarządza schroniskiem w Dolinie Pięciu Stawów. Ci wszyscy górale tam to też przyjaciele Janka Młynarskiego, który wychował się w Tatrach i zrobił całą oprawę muzyczną do tej produkcji. Spędziliśmy tam więc cudowne chwile – łącznie z niezwykle koncertem z okazji urodzin Janka, kiedy to najpierw wozem, a potem kolejką, przywieziono do Doliny Pięciu Stawów pianino, na którym zagrał potem Marcin Masecki. Z gór przyszli chłopcy ze swoimi instrumentami i wspólnie zrobili niesamowitą jam session. Było to przeżycie jedno na milion. Ludzie, którzy akurat wtedy byli w schronisku, wygrali po prostu los na loterii. (śmiech)

Skoro w „Forście” zagrał pan, ponieważ kocha Tatry, to w „Vinci 2” ze względu na miłość do Krakowa?

W „Vinci 2” zdecydowałem się zagrać, bo grałem w „Vinci”.

W „Vinci” z kolei zagrałem przede wszystkim, bo reżyserował Julek Machulski, a że działo się to w Krakowie, było to dla mnie najpiękniejszą wisienką na torcie. W ten sposób spełniło się bowiem moje marzenie, aby nakręcić coś w tym mieście. Tym bardziej, że pracowaliśmy wokół Akademii Sztuk Pięknych, w której studiowała moja mama, a ja żyłem jej opowieściami od dziecka. Miałem więc wrażenie, że los sprawia mi cudowny prezent, będący jakąś kodą czasową w moim życiu. A teraz wrócić do Krakowa po 21 latach było równie przyjemnie.

Bardzo się Kraków zmienił z pana perspektywy?

Unowocześnił się i zmienił, ale nie na złe, jak niektóre miasta. Nadal jest piękny, pełen sztuki, niezwykłego zapachu, dobrego jedzenia. Jest ciągle taką mieszkanką kultur, którą uwielbiam.

Skoro jesteście przy Krakowie – to bardzo czekaliśmy tutaj na „Kantora”. Jakie są losy tego filmu?

Trzeba się dobijać do producentów. Ja już trochę na to nie mam siły. Walczę o ten film i walczę, nawet obejrzałem go w tym roku w całości. Są wokół niego jednak ciągle problemy natury organizacyjnej i produkcyjnej. W 2022 roku zmarł jego reżyser Janek Hryniak – i to nie ułatwia sprawy. Ale myślę, że film nawet w takiej formie, w jakiej jest teraz, byłby absolutnie bardzo ciekawy. Mam nadzieję, że kiedyś ujrzy on salę kinową.

Ci, którzy widzieli fragmenty, pisali, że Tadeusz Kantor to może być pana „rola życia”. Rzeczywiście tak mocno wszedł pan w tę postać?

Tak. Kiedy obejrzałem film w zeszłym roku, to zrobił na mnie wielkie wrażenie. Odwzorowaliśmy tam spory kawałek spektaklu „Umarła klasa”, który dzieje się na różnych scenach. Zaczynamy w Krzysztoforach, potem jesteśmy w Starym Teatrze i Teatrze Słowackiego, potem wychodzi to za granicę aż do Nowego Jorku. Są to więc też momenty ścisłające za gardło. Tadeusz Kantor to postać, która zasługuje na niejeden film, a my nie możemy jednego skończyć.

To chyba też bliska dla pana postać ze względów rodzinnych.

To prawda. Słyszałem o nim od mamy od dziecka. Mama miała taką relikwię – legitymację do Krzysztoforów, podpisaną przez Kantora. Jej opowieści były więc dla mnie wspaniałym wstępem do zagrania tej roli. A jej zagranie – kolejną kodą czasową w moim życiu.

Alicja Polewska

OD ICH GŁOSÓW JESZCZE
DRŻY POWIETRZE

Nie lubię tego dnia. Kiedyś lubiałam. Od kilkunastu lat - nie. Boli. Cały czas. Już nie tak intensywnie, raczej ćmi gdzieś w środku głowy i w okolicach serducha, ale wraca. Czasami w zupełnie niespodziewanym momencie, w środku dnia, rano albo w złotej godzinie między dniem a zmierzchem. Coś mignie przed oczami, jakiś dźwięk w morzu hałasu ulicznego, jakaś myśl, cisza, pustka albo tłum.

Chodziliśmy „na groby”.

1 listopada - wiadomo, bo trzeba, ale następnego dnia - bo... No właśnie: bo.

Wtedy znicze paliły się raptem przez kilka godzin, a dym dawały taki, że cmentarze we Wszystkich Świętych spowite były czarną chmurą bardziej niż w najbardziej smogowych latach Śląsk i Kraków razem wzięte. W Zaduszki szliśmy więc zapalić nowe i zabrać „doniczkowe” miseczki tych wypalonych do dna. Nikt wtedy jeszcze nie znał nawet słowa „recycling”, a co dopiero uprawiał świadomą gospodarkę odpadami. Po prostu braliśmy te pojemniczki, by zrobić w domu nowe znicze; czasami kupienie nowych graniczyło z cudem, nie to co teraz.

To lubiałam najbardziej - magię roztopiania w rondelku ogarków świeczek, staryny i parafiny. Wycinanie - z pokrywek od blaszanek od pasty do butów - stojaków do knotów i robienie tych ostatnich z bawełnianego sznurka albo sznurowadła. Potrzebne jeszcze były patyki albo drewniane łyżki, które knot utrzymywały, kiedy wlewaliśmy gorącą masę. Później nasze domowe znicze zastygały. Stawialiśmy po jednym, góra dwa na każdym rodzinnym nagrobku. I jeszcze obok na tym, na którym wisiała tabliczka „Nieznany”. I u hrabiego...

Cmentarz jest stary. Przedwojenny. Jak ten grób. Tu i ówdzie popękał ponad 100-letni beton, odpadło kilka kafelków z glazurowanej mozaiki, ale inskrypcja wykuta na granitowej tablicy daje się odczytać: imię, nazwisko, daty i podpis - *Tua figlia* (*twoja córka*). Zdjęcie na emalii nic nie straciło ze świeżości. Nie pamiętam już, dlaczego uznaliśmy, że to musiał być hrabia - może dlatego, że jego nazwisko poprzedza arystokratyczne „de”? To nie ma znaczenia. Więc chodziliśmy tam i stawialiśmy domowy znicz na jego grobie. Później już szklany albo taki z kapturkiem.

To był nasz rytuał.

Tylko tego jednego dnia w roku.

Nadal to robię. Teraz z moimi córkami. Przypominają - weź jeszcze jedno światełko dla hrabiego, przecież go nie zostawimy.

Nie lubię tego dnia.

Tua figlia

Adam Bula

TRANSMISJA NA ŻYWO
Z GWAŁTU NA ROZUMIE

PiS świetnie sobie radził przez lata, traktując generalnie swoich wyborców jak idiotów. Dziś poszli jednak krok dalej i zaczęli mieć za idiotów samych siebie, czego dowodem jest akcja z „Tuskową aferą CPK”.

Podobno to sam prezes po dobie od ujawnienia przekrętu Telusa wydał rozkaz, by PiS przestał się kajać i przeszedł do ofensywy. Miało to sens, bo sytuacja zaczęła się im wymykać spod kontroli lawinowo. Do tego stopnia, że nawet pracownicy TV Republika zaczęli kasować na wizji ministra Telusa bredzącego, że sprawa opchnięcia przez niego 160 ha państwowej ziemi pod CPK prywaciarzowi z Dawtony to „atak na niego za to, że sprzeciwia się umowie Merosrulu”.

Ton pierwszej dobie nadał zresztą sam premier Gliński swym chyba zbyt spontanicznym wpisem: „Tysiące polskich patriotów, członków Prawa i Sprawiedliwości, wypruwa sobie żyły dla Polski, broni Ojczyzny przed Tuskiem, a jakiś głupek sprzedaje działkę i całą pracę w piach! Nie ma na to zgody!”.

To była katastrofa, bo trafiała w sam środek rzewnych opowieści PiS o tym, jak to oni dbali o rozwój Polski, robiąc megainwestycje, które teraz Tusk chce pozamykać. A tu raptem nawet największy nieogar z KO przyswoił tekst: „Za rządów PiS nie robiliście żadnych wielkich inwestycji, to były tylko preteksty do waszych wielkich przekrętów”. I w sumie tak to wygląda...

Więc kiedy błyskawiczne zawieszenie przez prezesa czterech najbardziej zamieszanych w aferę członków w prawach członka PiS nie pomagało (bo zamieszanych lawinowo przybywało), decyzja o zmianie taktyki wydawała się sensowna. Zwłaszcza że po kolejnych dziennikarskich ustaleniach opowieść rządu, jak to rzetelnie i sprawnie stara się wyjaśnić aferę i odkreślić jej skutki, też zaczęła się sypać. Wiatru w żagle PiS dała zwłaszcza informacja, że działkę Dawtony państwo może odkupić po cenie sprzedaży, ale tylko po spełnieniu jednego z 8 dość specyficznych warunków.

Wystarczyło więc zgubić to, co w ostatnim zdaniu jest na końcu i jakaś linia obrony zaczęła się pisowcom układać.

Co się stało potem w ciągu 12 godzin, od środowego (29.10) poranka do wieczora? Ano doszło do zupełnie innej katastrofy, którą może jeszcze nie tak bardzo wi-

dać, ale jej skutki dla partii mogą być o wiele bardziej bolesne i długotrwałe. Chodzi mi o to, że być może po raz pierwszy PiS zafundował swoim betonowym wyborcom taki poziom bezczelnego odwracania kota ogonem, że... no wszystko kiedyś skruszeje.

Bo poszło tak. Jeszcze rano dyżurna mediodziwka PiS (akurat trafiło na niejakiego Kłęczka) ogłosiła - zgodnie z nowymi wytycznymi - że jego zdaniem sprawa działki CPK to w 30% afery PiS, ale już w 70 % to afery Tuska. Kilka godzin później nikt z PiS już o tych 30 proc. nawet nie wspominał, pojawiły się za to głosy o potrzebie rehabilitacji ministra Telusa, „udręczonego z rodziną” haniebnym atakiem. Warto tu podkreślić, że tonący aktyw partii okazał się zdolny do niespotykanej, skoordynowanej aktywności. Nikt tam nie odstawił na moment nogi, cały dzień taśmowo produkując coraz bardziej absurdałne wersje „afery Tuska z CPK”.

Jak to sklemano. (Uwaga: w tym zdaniu i dalej ani raz nie pojawi się słowo PiS).

Więc, no cóż, dwa lata temu prywatny właściciel nabył dużo ziemi istotnej dla planów CPK.

Wersja 1. Prywaciarz kupił tę ziemię, planowaną pod CPK, kiedy już było wiadomo, że wybory wygrał Tusk, który chciał zamknąć CPK. Więc o co chodzi? No chodzi o to, że to brzmi słabo, sięgamy więc po wersję nr 2:

Patrioci sprzedali prywatnemu tę ziemię, ale tam wcale nie musi być CPK, bo ono może być gdzie indziej.

Tę wersję forsował sam Marcin Horała, zasypywany równolegle memami, że „wziął 4 miliony za pilnowanie łąki i nawet tego nie zrobił”.

Więc może wersja nr 3:

Prywatny nabywca ziemi sprzedanej przez patriotów to późniejszy sponsor kampanii Trzaskowskiego. Więc to afery KO, która ciągnie kasę od właścicieli Dawtony, zamiast odkupić od nich działkę po cenie sprzedaży.

No niby tak, ale ciągle jest problem z nieśmiałym pytaniem: a po co ją było patriotom w 24 godziny tuż przed utratą władzy sprzedawać?

Kurde balans, tak do niczego nie dojdziemy. Odpalamy zatem wersję full:

Niemiecki sługus Tusk przez dwa lata nie zrobił nic, żeby odzyskać ziemię sprzedaną prywaciarzowi, a teraz robi o to aferę, bo chce i zawsze chciał zniszczyć projekt CPK.

Lub wersja skrócona:

Największą aferą tragicznych dla Polski rządów Niemca Tuska jest to, że przez 2 lata nie wyjaśnił ostatniego dużego przekrętu rządów PiS.

I czego nie rozumiecie?

Ile pracy [czołowi politycy PiS - red.] włożyli pod stołem w to, żeby w 24 godziny przeprowadzić skomplikowaną operację z wieloma dokumentami. Już nigdy nie użyję tego skrótu CPK na opisanie tej wielkiej inwestycji komunikacyjnej. Dzisiaj wszyscy w Polsce odczytują ten skrót jako „cały PiS kradnie”

KRYMINAL

Słów kilka o poczuciu humoru Raymonda Chandlera

Karakter wydał właśnie siódmą powieść Raymonda Chandlera „Playback”, w nowym tłumaczeniu Bartosza Czartoryskiego. „Playback” miał premierę w 1958 r., rok przed śmiercią pisarza.

Marlowe tropiący rudą piękność

To nie był dlań najlepszy czas – po śmierci żony w 1954 r. wpadł w melancholię podlewaną monstrualnymi ilościami alkoholu. Od 1946 r. mieszkał w La Jolla, opisaną w „Playbacku” jako nadmorski kurort Esmeralda.

Fabula powieści jest dość wyrafinowana: Philip Marlowe ma śle dzić młodą kobietę, a właściwie nie spuszcza jej z oka pod żadnym pozorem. Rudowłosa piękność to Betty Mayfield, oskarżona w głośnym procesie sądowym o zamordowanie własnego męża. Marlowe wyjeżdża za nią z Los Angeles i trafia do Esmeraldy. Okazuje się, że jego też ktoś śledzi. Zaczyna się kryminalna kołomyja.

Chandler chichocze pod nosem

Wróćmy do CV Chandlera, Piszząc „Playback”, mógł być w depresji i na bani, ale czy w powieści faktycznie odbija się psychofizyczny kryzys pisarza? Redaktorzy z Karakteru nie mają wątpliwości: książka jest „kameralna, wyciszona, przejmująca do głębi” – czytamy w opisie. „Chandler nigdy nie był tak gorzki”.

No dobrze, otwieramy książkę na pierwszej stronie i czytamy: „Głos w telefonie był ostry i apodyktyczny, ale nie słyszałem zbyt dobrze, co w ogóle mówił – po części dlatego, że jeszcze się nie rozbudziłem, po części dlatego, że trzymałem odwrotnie słuchawkę”.

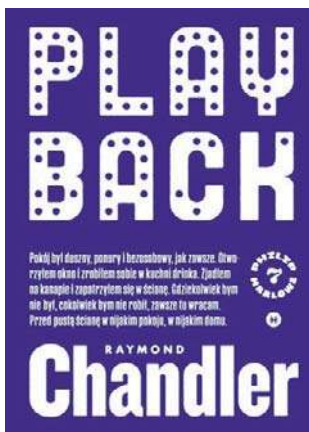
Czy powyższy fragment to dowód na Chandlerowską gorycz, czy raczej na to, że pisarz miał poczucie humoru? Kilka stron dalej:

„– Christian Dior – powiedziała, czytając we mnie jak w otwartej księdze. – Nigdy nie noszę niczego innego. Ogień proszę. – Dzisiaj nosi pani znacznie więcej – otwarłem zapalniczkę. – Nie gustuję w umizgach o tak wczesnej porze. – A która godzina byłaby odpowiednia, panno Vermilyea?”. I jeszcze coś ze środka:

„– Czemu pan nie powiedział, że jest detektywem? – Cóż za pytanie. – Uśmiechnąłem się – czy detektyw kiedykolwiek się przyznaje, że jest detektywem. Przecież pan ogląda filmy. – W telewizji z miejsca można poznać detektywa: nigdy nie zdejmuje kapelusza”.

Jak się masz Lucky?

Jest w życiorysie Chandlera epizod właśnie z 1958 r., gdy już ponoć nie odrywał się od butelki. Oto podczas spontanicznie podjętej podróży na Capri przeprowadził wywiad z mafiosem, niejakim Lucky Luciano, twórcą nowoczesnej przestępczości w Stanach, tzw. Narodowego Syndykatu. Esej pod tytułem „My Friend Luco” nigdy nie ukazał się drukiem, ale skłania do hipotezy, że może jednak z Chandlerem nie było wówczas aż tak źle? **margra**



Raymoind Chandler,
„Playback”,
wyd. Karakter,
Kraków 2025,
kraca 49 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

KATARZYNA CICHÓPEK

Zaprosiła na bagna

Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami w minioną sobotę prezenterka wzięła ślub ze swym obecnym partnerem – Maciejem Kurzajewskim. Uroczystość odbyła się w Hotelu Drob w Urszulinie, niedaleko malowniczego Poleskiego Parku Narodowego. Para zaprosiła około 150 gości, w tym wielu znanych z mediów i polityki, aby świętować ten niezwykły dzień. Huczną imprezę zaszczycili swą obecnością m.in.: Aleksander Sikora, Magdalena Narożna, Joanna Kurka czy Agnieszka i Grzegorz Hyży. Dekoracje weselne utrzymane były w jesiennej kolorystyce. Panna młoda była ozdobą wieczoru dzięki czterem kreacjom, za które odpowiadała renomowana projektantka Viola Piekut. Maciej Kurzajewski z kolei zdecydował się na klasyczny garnitur. W niedzielę nowożeńcy zaprosili gości do spędzania czasu na świeżym powietrzu, a głównym punktem tego dnia było... wspólne zwiedzanie bagien Poleskiego Parku Narodowego.

JOANNA PRZETAKIEWICZ

Zachwyciła się

George Clooney zawiązał kilka dni temu do Łodzi na Igrzyska Wolności. W wydarzeniu wzięła udział również Joanna Przetakiewicz. Projektantka podzieliła się potem na Instagramie pamiątkowymi zdjęciami z aktorem. Okazuje się, że zrobił na niej ogromne wrażenie. „George Clooney – tak, na żywo też jest piękny i czarujący. Spotkanie z nim to czysta przyjemność. Kiedy zadaje pytanie – słucha i jest zainteresowany. Klasa. Urok. Wdzięk. Zero pretensjonalności” – napisała celebrytka. I dodała: „Ale to, co naprawdę mi zaimponowało, to jego postrzeganie świata. Jako hiper gwiazda o światowej rozpoznawalności wykorzystuje swój mocny głos do obrony najważniejszych spraw. Ojciec nauczył go wybitnej społecznej odpowiedzialności” – podsumowała.

AGNIESZKA KACZOROWSKA

Tańczy po swojemu

Nie milkną echa minionego odcinka „Tańca z Gwiazdami”,



Joanna Koroniewska przyznała, że kiedyś nie odpowiadała jej własna powierzchowność

w którym decyzją widzów i jurorów Agnieszka Kaczorowska i Marcin Rogacewicz odpadli z programu. W odróżnieniu od wielu wyeliminowanych, którzy zegnali się z produkcją w kurtuazyjny sposób, partnerzy w życiu i na parkiecie show nie kwapili się, by podziękować jurorom i pozostałym uczestnikom. Tancerka łamiącym się głosem pożegnała się natomiast z publicznością. – Możemy schować się wreszcie przed całym tym hejtem, którego doświadczyliśmy i choler nie bolał. Ludzie, bądźcie dla siebie dobrzy, życzliwi – powiedziała.

MAGDA MOŁEK

Bywa niegrzeczna

W ciągu kilku dekad swojej telewizyjnej działalności dziennikarka dorobiła się wizerunku nieokazującej uczuć profesjonalistki. Pojawiały się nawet głosy, że jest zbyt „chłodna” i „grzeczna”. W nowym wywiadzie, którego Mołek udzieliła serwisowi Onet Kobieta, odniosła się do tych zarzutów. – Chyba wciąż jestem za grzeczna. Ale nie chcę i nie umiem być kontrowersyjna. Wolę dobrze się wsłuchać i znaleźć u rozmówcy tę jedną rzecz, która jest nowa, wyjątkowa, niebanalna – stwierdziła. Ale dodała: – Bywam czasami bardzo „niegrzeczna” w sprawach, które są dla mnie bardzo istotne. Wciąż kobieca nieustępliwość jest klasyfikowana jako bycie tą niegrzeczną, trudną, konfliktową. To bzdura! – podkreśliła.

JOANNA KORONIEWSKA

Dużo ćwiczy

W niedawnej rozmowie z Pudełkiem aktorka wprost przyznała, że za młodu przeszkadzały jej za długie stopy i za mały biust, który wypełniała wieloma poduszkami. Dziś postrzega się już lepiej, ale kosztuje ją to sporo wysiłku. Niedawno opublikowała na Instagramie swe zdjęcie w kostiumie kąpielowym, przy którym napisała: „Nic nie przychodzi za darmo. W moim wieku to już w ogóle. Dlatego dużo ćwiczę. Z naciskiem na dużo”.

RAFAŁ MROCZEK

Nie może zasnąć

Popularny aktor intensywnie dokumentuje postępy w budowie swojego nowego domu, który dzieli z żoną Magdaleną Czech. Obwieścił właśnie na Instagramie, że prace weszły w kolejny etap – wykończenie. Choć 43-latek ma już gotowych kilka projektów, to remont wciąż spędza mu sen z powiek. „Wybór materiałów i detali trwa... i serio, można dostać zawrotu głowy. Kiedyś było łatwiej – kilka opcji i decyza zapadała w sekundę. Teraz? Wszystko jest takie piękne, że trudno wybrać” – napisał na Instagramie. I dodał: „Mimo przemyślanej strategii wykończenia... Zасыpiam i myślę: „Co jeszcze mogę zmienić, póki mam czas?” Chyba to nieuniknione” – stwierdził.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Dziś poczujesz przyływ energii. Horoskop dzienny radzi wykorzystać ją, by ruszyć z planem, który odkładasz od dawna.

Ryby (19.02 - 20.03)

Czas na spokój i refleksję. Nie śpiesz się: horoskop na dziś mówi, że najlepsze decyzje dojrzewają w ciszy.

Baran (21.03 - 19.04)

Komunikacja to Twój klucz do sukcesu. Horoskop dzienny na piątek radzi słuchać uważnie innych ludzi.

Byk (20.04 - 20.05)

Zaufaj intuicji. Horoskop dzienny zapowiada, że serce poprowadzi Cię we właściwe miejsce, nawet jeśli rozum ma inne plany...

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Świat patrzy na Ciebie z podziwem. Horoskop na dziś to wskazówka, by wykorzystać ten moment i pokazać swoje prawdziwe możliwości.

Rak (22.06 - 22.07)

Porządkując przestrzeń, porządkujesz myśli. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że drobne zmiany dziś przyniosą duże efekty jutro.

Lew (23.07 - 22.08)

Nie przejmuj się drobnymi niepowodzeniami. Horoskop dzienny uspokaja, że jutro nie będzie po nich śladu.

Panna (23.08 - 22.09)

Będiesz przez cały dzień w doskonałej formie. Horoskop na dziś bardzo wyraźnie zapowiada, że dużo uda Ci się dzięki temu osiągnąć.

Waga (23.09 - 22.10)

Przygoda czeka tuż za rogiem. Zrób krok naprzód: horoskop dzienny na piątek mówi, że los nagrodzi Twoją odwagę i ciekawość.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Twoja determinacja dzisiaj zaimponuje. Nie zrażaj się przeszkodami. Horoskop dzienny mówi, że sukces już widać na horyzoncie.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Twoja kreatywność dziś popłynie szerokim strumieniem. Horoskop dzienny radzi zaufać swoim pomysłom.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Uczucia nabiorą dziś głębi. Pozwól sobie na szczerość. Horoskop dzienny na piątek wróży, że ktoś bliski naprawdę tego potrzebuje...

Nauczyciel ociera się o wieczność. To więcej niż zawód

Katarzyna Adamczyk
katarzyna.adamczyk@polskapress.pl

Być nauczycielem to coś znacznie więcej niż zawód. To misja i dar kształtowania przyszłości! Nauczyciel ociera się o wieczność. Nigdy nie może stwierdzić, gdzie kończy się jego wpływ.

Każdy z nas pamięta takiego nauczyciela, który coś w nas zmienił na lepsze. To mogło być jedno jego zdanie, jedno

spojrzenie pełne zrozumienia, jeden uśmiech w trudnej chwili. Jego wiara w nas, której sami w sobie w szczenięcych latach jeszcze nie mieliśmy. Dobry nauczyciel potrafi bowiem dostrzec w uczniach ich potencjał, pasję i talent - nawet gdy są ukryte gdzieś głęboko pod brakiem pewności siebie czy pierwszymi porażkami. To właśnie dlatego wpływ pedagogów nie kończy się ani wraz z dzwonkiem lekcyjnym, ani opuszczeniem murów szkoły.

Nauczyciele zostają w nas na lata - w naszych wyborach, postawach i wartościach, które niesiemy dalej przez życie.

Dlatego tak ważne jest, by zatrzymać się na chwilę i powiedzieć tym swoim wspaniałym belfrom - zarówno obecnym, jak i byłym - gorące „dziękuję”. Właśnie temu służy nasz Plebiscyt Edukacyjny. Chcemy tych, którzy z pasją i zaangażowaniem budują lepszą przyszłość. Ta akcja to właśnie to symboliczne „dziękuję” -

za trud, cierpliwość i serce, które wkładają w pracę każdego dnia. W jej ramach uczniowie i rodzice wskazują nauczycieli, pedagogów, psychologów oraz placówki edukacyjne, które zasługują na to szczególne wyróżnienie. To wyjątkowa okazja, by docenić tych, którzy każdego dnia z cierpliwością i oddaniem uczą, wspierają i inspirują. A także okazja, by poznać ich bliżej, dlatego dziś poznajcie pierwszych uczestników!

LIDERZY RANKINGÓW

Oto lista nauczycieli, którzy od początku głosowania do czwartku do godz. 10 zdobyli najwięcej głosów wśród liderów z powiatów oraz lista liderów głosowania na dyrektorów, nauczycieli akademickich i placówki edukacyjne.

NAUCZYCIEL PRZEDSZKOLA

1. **Sylvia Węsiara**, Niepubliczne Przedszkole TO JA, Gdańsk
2. **Katarzyna Littwin**, Gminne Przedszkole, Goręczyno
3. **Agnieszka Krella**, Publiczne Pozytywne Przedszkole i Żłobek, Swarzewo

NAUCZYCIEL KLAS O-III

1. **Katarzyna Wikaryczyk**, Szkoła Podstawowa nr 13 im. Lucjana Cyłkowskiego, Gdynia
2. **Martyna Tarnowska**, Podstawowa Szkoła Gedanensis, Gdańsk
3. **Marta Radziejewska**, Szkoła Podstawowa nr 3 im. gen. Mariusza Zaruskiego, Ustka

NAUCZYCIEL KLAS IV-VIII

1. **Dorota Maślona**, Szkoła Podstawowa im. Henryka Sienkiewicza, Globino
2. **Michał Łukawski**, Szkoła Podstawowa, Kowale
3. **Natalia Węgrecka**, Podstawowa Szkoła Społeczna Niedźwiednik, Gdańsk

NAUCZYCIEL SZKOŁY PONADPODSTAWOWEJ

1. **Janina Wołosewicz**, Zespół Szkół Hotelarsko-Gastronomicznych, Gdynia
2. **Anna Maria Rozenek**, Zespół Szkół Elektryk im. Noblistów Polskich, Słupsk
3. **Przemysław Wacławek**, Zespół Szkół, Brusy

PRZEDSZKOLE ROKU

1. **Mikiland Przedszkole**, Szymbark, Rzemieślnicza 4
2. **Chrześcijańskie Przedszkole Montessori Ptasie Radio**, Rumia, Świętopełka 92
3. **Niepubliczne Przedszkole Oksfordzik**, Gdynia, Reja 19

SZKOŁA ROKU

1. **Niepubliczna Integracyjna Szkoła Podstawowa Lawendowy Król**, Pruszcz Gdański, Powstańców Warszawy 81D
2. **Szkoła Podstawowa im. Henryka Sienkiewicza**, Globino, Główna 47
3. **Niepubliczna Szkoła Podstawowa Gedanensis**, Gdańsk, Dworska 34

NAUCZYCIEL AKADEMICKI

1. **dr Bartosz Nowak**, Uniwersytet Gdański, Wydział Zarządzania, Sopot
2. **mgr Karolina Wojciechowicz-Pęksyk**, Gdański Uniw. Medyczny, Wydział Lekarski, Gdańsk
3. **dr Katarzyna Wądołowska-Lesner**, Uniwersytet Gdański, Wydział Filologiczny, Gdańsk

DYREKTOR ROKU

1. **Joachim Szyk**, Podstawowa Szkoła Gedanensis, Gdańsk
2. **Agnieszka Szwejkowska-Kulpa**, Zespół Szkolno-Przedszkolny nr 6, Gdynia
3. **Joanna Kaizer-Prondzińska**, Przedszkole Niepubliczne Aniołek, Kiełpino

PSYCHOLOG LUB PEDAGOG SZKOLNY

1. **Natalia Chrzanowska**, SP nr 59 im. I Dywizji Pancernej im. gen. Stanisława Maczka, Gdańsk
2. **Adam Mańkowski**, Niepubliczne Liceum Ogólnokształcące Mental Arts, Gdańsk
3. **Marta Bielawska**, Szkoła Podstawowa nr 6 im. Aleksandra Majkowskiego, Rumia

SZKOŁA JĘZYKOWA ROKU

1. **King's Language Academy**, Przdokowo, Sportowa
2. **KK-LINGUA**, Gdynia, Zgoda 5/18
3. **English Point Szkoła Językowa**, Tczew, Paderewskiego 8/Lok. 3

Sprawdź aktualne wyniki i głosuj na:
www.dziennikbaaltycki.pl/nauczyciel

Przypadek rozpoczął wspaniałą historię, która trwa i się nie nudzi

Sabina Tylawska (Szkoła Podstawowa nr 8 im. Obrońców Helu, Gdynia) związała się z tym zawodem nieco przypadkowo, ale mówi, że jest to wspaniała podróż, która się nie nudzi.

Czym jest dla Niej praca w oświacie? - Nieustannym samorozwojem, podróżą w świat edukacji, a że podróże są moją największą pasją to reasumując praca jest również moją pasją - odpowiada pani Sabina. W pracy dużą radość czerpie z rozwijania pasji artystycznych, kreatywności, roz-



budzania poczucia estetyki, chęci postrzegania świata poprzez kontakt ze sztuką u swoich podopiecznych. Uwielbia, kiedy Jej artyści biorą udział w konkursach, przełamują swoją nieśmiałość, chcą odważnie działać i iść przez życie czerpiąc jak najwięcej. - Zawsze było we mnie dużo radości, spontaniczności i kreatywności, są to cechy, które młodzież ma w sobie i których mogliby nauczyć dorosłego człowieka, niejednego z nas. Natomiast ja zawsze posiadałam te cechy i pielęgnuję je w sobie od zawsze.

Trzeba mieć odwagę, by widzieć potencjał tam, gdzie inni widzą problem

- Bycie nauczycielem współorganizującym to nauka uważności, pokory i odwagi, by widzieć potencjał tam, gdzie inni widzą problem - mówi Alicja Hinc.

Praca w oświacie to dla Niej nie tyle zawód, ile przestrzeń między światem dorosłych a światem dzieci. I choć nie planowała zostać wspomagającym, to życie postawiło ją między dzieckiem, które nie mieściło się w szkolnych ramach, a systemem, który nie umiał go objąć. Co daje Jej najwięcej zawo-



dowej satysfakcji? - Największą satysfakcję czuję, gdy dziecko, w które nikt już nie wierzy, zaczyna wierzyć choć odrobinę we mnie, a potem, krok po kroku, w siebie - wyznaje Alicja Hinc (Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 5 im. Gryfitów, Słupsk). Uczniowie nauczyli ją, że odwaga nie zawsze wygląda jak wielki gest - czasem to po prostu stanie obok kogoś, kogo inni omijają, oraz że ta wiara w drugiego człowieka potrafi zrobić więcej niż niejedna reforma oświaty.

Praca jest Jego zawodowym spełnieniem i zwyczajnie sprawia radość

Tymoteusz Peta (Uniwersytet Pomorski, Instytut Zarządzania, Słupsk) mówi jasno, że uwielbia pracować z ludźmi, którzy są żądni wiedzy, a środowisko akademickie daje Mu taką możliwość.

- Praca w oświacie jest dla mnie zawodowym spełnieniem, obracanie się wokół ludzi żądnych wiedzy zwyczajnie sprawia mi radość - wyznaje pan Tymoteusz. Jak zaczęła się Jego przygoda z nauczaniem? - Studiowałem socjologię, wiedziałem bowiem, że chce się obracać



wśród ludzi. Gdy nadarzyła się okazja, by poprowadzić zajęcia na uniwersytecie, nie wahałem się ani chwili - wspomina. - Największym szczęściem, a jednocześnie ulgą, myślę, że nie tylko dla mnie, jest kolokwium zdane przez wszystkich na 5. Miło wiedzieć, że coś studentom zostało w głowach z zajęć. Uwielbiam również momenty, kiedy studenci zadają pytania. Oznacza to, że temat ich zainteresował - dodaje. Ta praca pokazała Mu, jaką wspaniałą młodzież, ambitną i chętną do działania mamą.

archipeląg na krańcu Ameryki Południowej	śnieżny pagórek	sposób, taktyka klient urzędu	duch panujący w wojsku	drapieżna ryba z Amazonki	np. domino	biblijny prorok	Michałkow, reżyser	sportowa drużyna	zastona w boksie model Kia ubiega się o urząd	stragan górski strumień	marka papierosów z orzeszkami	małpa wąsnosa kontroler											
		6									środek repre-syjny	17											
				król z polskiej legendy				jedzie na sygnale		Polak dla Polaka													
biuro fabryki kotara, zasłona				owoc tarniny				ojciec Kaina część dramatu		mebel z oparciem	karciana wziątka palce jelenia												
dokładny do przesady		9		5	indyjski obyczaj pogrzebowy	kozacki oficer				paciorek do naniżania													
krzew ozdobny, dzię-gława					wagon kolejowy			awantura autor powieści fawo-ryty			niedostatek, ubóstwo	świętynia w Mekce											
przeło-żony, szef	nowo-rodek, bobas		arysto-krata grzyb jadalny			inter-punk-cyjny	ojczyzna Edypa struś z Aust-ralii spada na cztery łapy		13	„King” Cole	głos kozy												
			zator na szosie „... do radości” perła Krakowa				miasto na północy Włoch			drwina, sar-kazm		12											
wyrób z Tuły						dziew-czyna ratow-nika	24			grecka litera	szósta litera po alfie												
				mocny argu-ment				puszysty ogon			roz-dział Koranu	drapieżny kot z Ameryki	20	ustalony termin									
bachan-tka jadło, pokarm							AUTOPROMOCJA 0110990246				szer-miercza broń												
narządy oddę-chowe ryb			stolica z Kolo-seum	grecka kraina	odmiana chalce-donu		Przy sobocie... rozwiązuję krzyżówki i rozwijam umysł Nowe wydanie sobotnie "Dziennika Bałtyckiego" już jutro. Zapraszamy do lektury				lichy utwór lite-racki	stolica Ghany	pod-władny retmana	druch Aramisa									
			10			hazardo-wa gra						2											
źródło dla poety	poziome drzewce masztu		płynie przez Pinczów	model Polo-neza		... Azna-vour, piosen-karz					dra-pieżnik z sa-wanny	dyskiem lub oszcze-pem	fale radiowe										
arabskie księ-stwo			11																				
chroni od deszczu	18	kul-szowa doleg-liwość		ptowy ptak	rzymska Selene					Louis, aktor z Francji	sztor-mowa na morzu	na koszulce piłkarza	14	duży garnek									
sylwes-trowy trunek	domena sza-tana		„niemy” aktor	niski głos kobiety	3	amery-kańskie kroko-dyle	muzyka impro-wizowa-na	prawie kumpel	dobry okres w życiu	zwiewna tkanina	charak-ter czło-wieka												
						czeska cięża-rówka			głębi-nowa strefa mórz				główny port Kenii	przodek kury domowej									
zasada wiary		rzeźbi w metalu		waluta Gruzji kopalny głowonóg			dryf statku miły zapach			1	meta-lową listwa u drzwi	22	pełzak z nibynózkami odmiana piaskowca										
		23			sejmik cza-rownic	materiał opatrunkowy			strzał z wielu dział				port w Algierii										
Indianie Ameryki Pół-nocnej	gruby koc		dawny prze-cinek	chroni metal przed rdzą				w port-felu Chiń-czyka			ludowa nazwa kozłarza czerwonego			Miro-sław, aktor z filmu „Reich”	pan w kon-tuszu								
po sylurze						kraj w Afryce z Lome			ścisk w tramwaju kuzyn drozda		21												
				nagły rozkwit gospo-darki				produkt z młyna		19		powieść Lema											
straża-cka baza miara złota						rakiety świet-łne			np. „Sło-necz-niki”		15			płynie przez Zagrzeb	16								
				izotop wodoru				forsa, mamona				żeruje w kuchni, karaluch											
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą rozwiązanie – przysłowie angielskie.

ROZWIĄZANIE: SMUTNE GODZINY TRWAJĄ DŁUGO.

Gryf Słupsk walczył z mistrzem Polski do końca! Nie brakowało kontrowersji

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Słupski Gryf zagrał znakomite spotkanie w 1/16 finału STS-u Pucharu Polski. Drużyna trenera Krzysztofa Müllera momentami nie ustępowała pola mistrzowi Polski.

Przed meczem wszystkie pieniądze można było obstawiać na drużynę Lecha Poznań, która jako mistrz Polski miała „spacerkiem” zapewnić sobie w Słupsku awans do 1/8 finału STS-u Pucharu Polski. Nie może być inaczej, jeśli jedna z najlepszych ekip w kraju mierzy się z zespołem z piątego szczebla rozgrywkowego.

Gryf postanowił jednak napisać zupełnie inny scenariusz do swojej pucharowej przygody. Podopieczni trenera Krzysztofa Müllera dali się przytłoczyć w pierwszym fragmencie spotkania z „Kolejorzem”, za co zapłacili stratą dwóch bramek. Kombinacyjna gra zespołu z Wielkopolski przyniosła Lechowi prowadzenie 2:0. Na listę strzelców wpisywali się Filip Jagiełło oraz Joel Pereira.

IV-ligowiec z Pomorza miał jednak jeden duży atut. Boisko przy Zielonej, po obfitych opadach deszczu, było nasiąknięte wodą. To warunki, które w ligowej rywalizacji na niższych

szczeblach, występują bardzo często późną jesienią lub wczesną wiosną. Nawykli do niemal idealnej nawierzchni zawodnicy Nielsa Frederikseny z każdą kolejną minutą mieli duży problem, aby prezentować techniczny futbol.

Po zespole Gryfa widać było, że chcą na długo zachować w pamięci ten dzień i walczyli w trudnych warunkach z jednym z krajowych potentatów. Słupszczanie nie ograniczali się do wybijanki. Ba, momentami bardzo dobrze operowali piłką, zachowując taktyczną dyscyplinę.

Lech dostał bardzo duże ostrzeżenie w 45 minucie. Tuż przed końcem pierwszej połowy Damian Wojda wyszedł do świetnego, prostopadłego podania Damiana Mosiejki. Stał „oko w oko” z bramkarzem Bartłojem Mrozkiem, ale nie zdołał go pokonać. W ogóle końcówka pierwszej połowy mogła zaskoczyć, bo Lech w kilku sytuacjach pod własną bramką musiał się mieć na baczności. Skacząca piłka pomiędzy masą piłkarzy nie chciała jednak po raz kolejny polecieć bezpośrednio w pole strzeżone przez golkipera „Kolejorza”.

Poznański zespół chciał podwyższenia wyniku po zmianie stron, ale rezerwowi Yannick Agnero był wyjątkowo nieskuteczny. Przy dru-



FOT. MATEUSZ SUROWIEC

Na deszczowym stadionie w Słupsku Gryf podjął rękawicę w meczu z Lechem Poznań

giej próbie nie pomylił się za to Wojda, który dostał asystę od Adriana Kwiatkowskiego, przebiegł całą połowę rywala i posłał futbolówkę w długi róg bramki Lecha.

W 54 minucie było więc 1:2. A w 85 minucie było już 2:2! Wielką radość Gryfa przerwał jednak Mateusz Jenda z War-

szawy. Arbiter wskazał, że przy wrzutce Mosiejki na pozycji spalanej był Daniel Piechowski. Tylko, że to skaczący obok Mateusz Skrzypczak zaskoczył własnego bramkarza niefortunnym strzałem głową i samobójczym trafieniem tuż przy słupku! Radość nie trwała długo.

Sędzia Jenda rozsierdził słupskich kibiców, którzy od razu zaczęli przywoływać sytuację na 2:0 dla Lecha. Wówczas bramkę zdobył Joel Pereira, ale w momencie uderzenia Mikael Ishak, będąc na spalonym, zasłaniał interweniującego Kamila Gołębiewskiego.

Gdyby bramka Gryfa została uznana, to mogłoby dojść do dogrywki. A w takich okolicznościach we wcześniejszej rundzie ekipa Krzysztofa Müllera wyeliminowała I-ligową Polonię Warszawa.

Obrazu skuteczności i postawy Lecha w Słupsku dopełnia sytuacja tuż przed końcowym gwizdkiem. Wówczas, grający w jedenastu na dziesięciu mistrzowie Polski, wyszli z kontratakiem. W bramce Gryfa nie było Gołębiewskiego, który chciał pomóc kolegom w drugim polu karnym. Dwójka lechitów biegła na rozpaczliwie powracającego obrońcę, strzelili nawet bramkę, ale w momencie podania... był spalony.

© P

Gryf Słupsk - Lech Poznań 1:2 (0:2)

Bramki: 0:1 Filip Jagiełło (19), 0:2 Joel Pereira (33), 1:2 Damian Wojda (54)

Gryf: Gołębiewski - Kwiatkowski, Wiśniewski (90min.), Piechowski, Pryndeta (64 Amoa), Szygenda - Łyszyk (72 Butowski), Mosiejko, Wojda (84 Ciechański), Gregorek (72 Kaziorek) - Kukuruza (84 Książkiewicz)

Lech: Mrozek - Pereira, Douglas, Skrzypczak, Moutinho - Ismaheel (73 Fiabema), Kozubal, Jagiełło (46 Pórðarson), Rodríguez (83 Dudek), Bengtsson - Ishak (46 Agnero)

Sędziował: Mateusz Jenda (Warszawa)

REKLAMA

0011246076

dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń, **Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/300 32 11**
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - **PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76** www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - **ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31** tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - **Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni** ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - **Gdańsk**, Połęż 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - SPRZEDAM

STARA Kiszewa dom w stanie surowym otwartym 75m², działka 1999m², bd lokalizacja 697685471

DOMY - KUPIĘ

SKUP części nieruchomości, cała Polska, 518-503-404

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

BUDOWLANA

BORZECHOWO - działki z mediami i dobrą lokalizacją, tel.697685471

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

AWARIE - dachy, blachy, kominy, papy, rynny, malowanie; 517-744-487

ODNAWIANIE wanien, 600-979-826

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

OGRODNICZE

WYCINKA drzew i samosiej tel. 723-894-857

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone kupię zaniedbane powypadkowe. Najlepiej płacimy, całe pomorskie 514-514-610

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy koło Wadowic - tradycyjne turnusy świąteczne, tel.: 501-642-492.

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zleć przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI nioski dowóz 600500710

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,

K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/

tona, 500-669-621

Matrymonialne

BIURO "Serduska Dwa" 883-783-782

Różne

SKUP KSIĄŻEK, 668-571-329

SKOKI PREZES PZN NIE BĘDZIE NAMAWIAŁ STOCHA DO DALSZEGO SKAKANIA

Adam Małysz liczy na olimpijski medal we Włoszech i zamierza współdziałać z AWF Katowice

Jacek Sroka
j.sroka@dz.com.pl

Rozmowa z Adamem Małyszem, prezesem Polskiego Związku Narciarskiego, byłym medalistą igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata, a także 4-krotnym triumfator Pucharu Świata.

Wydarzeniem ostatniego weekendu był występ w Letniej Grand Prix Kacpra Tomasiaka. 18-letni debiutant z LKS Klimczoka Bystra spisał się najlepiej z Polaków i jako jedyny zajął w Klingenthal miejsce w pierwszej dziesiątce.

Kacper to zawodnik nieprzeciętny. Popatrzmy nie tylko na wyniki, ale też jego reakcje na skoczni. Dzisiaj psychika ma duży wpływ na zawodnika, a on sobie poradził w debiucie w LGP. Miejmy nadzieję, że równie dobrze jak w Klingenthal będzie spisywał się zimą w Pucharze Świata. Takich perełek jak Tomasiak mamy jednak w polskich skokach kilka. Czekaliśmy na nie długo po sukcesach moich, a później Kamila Stocha, Dawida Kubackiego czy Piotrkę Żyły, ale mam nadzieję, że teraz pokażą się z dobrej strony.

Najważniejszą imprezą sezonu są igrzyska olimpijskie w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo. Z jakimi nadziejami pojedą polscy narciarze do Włoch?

Po tych wszystkich latach z medalami przywożonymi z igrzysk nie wyobrażam sobie, żeby tych krązków w przyszłym roku nie było. Nie chcę nadmuchiwać balonika, ale nasze oczekiwania związane z tą imprezą są bardzo duże. Tak mówić mi nie tylko serce, ale i głowa. Współpracujemy z prof. Michałem Wilkiem z AWF Katowice, który nie tylko prowadzi badania skoczaków, ale też ich trening siłowy, i myślę, że możemy być spokojni, bo pod tym względem poszli mocno do przodu. Atmosfera w kadrze też jest zdecydowanie lepsza. Już to lato pokazało, że do wysokiej formy zaczyna wracać Kamil. Dawid skacze jeszcze w kratkę, Piotrek też, ale myślę, że trzeba dać im trochę czasu. Teraz pojawił się młody Tomasiak. Do rozpoczęcia sezonu zimowego jeszcze mamy kilka



Adam Małysz chce współpracować z AWF Katowice

tygodni i jesteśmy pełni nadziei, że to wszystko zaskoczy. Zmiany sprzętu nie ułatwiły życia Pawłowi Wąskowi, który w poprzednim sezonie był najlepszym z naszych zawodników. On ciągle nie może się odnaleźć w tym wszystkim, ale też ma już przebyte, więc nadzieje na dobry start na igrzyskach trzeba mieć.

Kamil Stoch zapowiedział, że to będzie jego ostatni sezon. Nie będzie go pan namawiał do zmiany decyzji?

Nie, bo to jest przede wszystkim jego decyzja i nikt nie może wywierać na niego żadnych nacisków. Sam do zakończenia kariery przygotowałem się dwa lata. Myślę, że to była przemyślana decyzja Kamila i do niej po prostu dojrzał. Jak ją już ogłosił to wiadało, że psychika się troszkę uwolniła i mówiąc kolokwialnie go „puściło”. Skacze teraz bardziej swobodnie.

Dobrze byłoby, żeby na swoich ostatnich igrzyskach Kamil znów stanął na podium i sięgnął po piąty olimpijski medal w karierze...

Oczywiście, że tak, ale nikt nie będzie wywierał na nim presji. Znając Kamila wiem jednak, że będzie mierzzył na tych swoich ostatnich igrzyskach bardzo wysoko.

Puchar Świata ruszy 21 listopada w Lillehammer, ale pol-

scy kibice już czekają na zawody w Wiśle. Szykujecie jakieś niespodzianki na skoczni im. Adama Małysza?

Miejmy nadzieję, że będzie śnieg i nie trzeba będzie robić zawodów hybrydowych, a kibice obejrzą ciekawe konkursy. Po raz drugi będziemy organizować zawody w Mikołajki i to jest okazja, by stworzyć w Wiśle zupełnie inny Puchar Świata niż w listopadowym prologu. To 2-3 tygodnie więcej na przyjęcie zimy i zgromadzenie śniegu, a i atmosfera tego dnia jest szczególnie.

Na początku 2024 roku gościliśmy najlepszych skoczków świata nie tylko w Wiśle i Zakopanem, ale także Szczyrku. Czy powrót do organizacji PolSKI-ego Turnieju jest możliwy?

Na dziś nie ma takiej możliwości, ale cały czas o tym myślimy, bo takie turnieje mają rację bytu. Zawodnicy nie muszą wówczas tyle podróżować, lecz skaczą w miejscowościach położonych blisko siebie. Wcześniej był pomysł, by zorganizować taką imprezę z Czechami, ale teraz ich skoki przeżywają ciężkie chwile i mają duży problem, żeby się z tego dołka podnieść. Na razie cieszymy się, że Wisła i Zakopane są na stałe w kalendarzu Pucharu Świata i zawsze chcemy zorganizować konkursy w Polsce jak najlepiej.

Myśli pan nie tylko o najbliższej zimie, ale też kolejnych i chce zreformować szkolenie trenerów narciarskich. Jak zamierza się pan do tego zabrać?

Dużą krzywdą było uwolnienie tego zawodu. Teraz w zasadzie każdy może być trenerem i nie jest wymagany do tego jakikolwiek papier. Byli zawodnicy chcą szkolić następców, ale nie chodzą na żadne kursy. My dwa lata temu wprowadziliśmy wymóg uczestniczenia w takich szkoleniach jeśli ktoś chciał dostać licencję PZN. Trzeba było zaliczyć odpowiednią liczbę godzin takich zajęć, żeby ta licencja została odnowiona. Spotkało się to na początku z dużą krytyką, bo jak mówiłem nie wszyscy chcą się szkolić, ale też z dużym zainteresowaniem, bo była grupa, która chciała poszerzać swoje umiejętności.

W tej reformie ma wam pomóc Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach, z którą nawiązaliście właśnie współpracę.

Mam nadzieję, że kursy i szkolenia organizowane wspólnie z katowickim AWF-em będą się cieszyć dużą popularnością wśród trenerów i dociekamy się nowych szkoleniowców, bo tego narybku trener-skiego jest w polskim narciarstwie bardzo mało. Prawdziwych fachowców też jest zresztą niewiele. W takich skokach narciarskich trenerów z papierami, którzy są po AWF-ie i mają opanowaną nie tylko praktykę, ale i teorię oraz potrafia pisać plany szkoleniowe, jest może 3-4. Oni są w stanie kształcić swoich następców i musimy to wykorzystać. Wybór katowickiej AWF nie był przypadkowy, bo ta uczelnia prowadzi takie kursy od lat i chyba jako jedyna zajmuje się sportami zimowymi mając przy tym odpowiednio zaplecze naukowe.

Po ilu latach spodziewa się pan owoców tej reformy? Pewnie trzeba będzie trochę poczekać na efekty, ale mam nadzieję, że za 5-6 lat nie będzie już w Polsce problemów z trenerami. Coraz mniej dzieci chce uprawiać u nas sport, ale mam nadzieję, że gdy ich prowadzeniem zajmą się odpowiednio wyszkoleni fachowcy, to tych dzieciaków znacznie przybywa. ©©

Wyplaty w WTA Finals 2025. Takiej kasy jeszcze w historii tenisa nie było

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Meczem z Amerykanką Madison Keys (sobota, nie przed godz. 16) Iga Świątek zainauguruje udział w prestiżowym turnieju tenisowym WTA Finals 2025, którego gospodarzem jest Rijad.

Nasza tenisistka trafiła do Grupy Sereny Williams. Oprócz Madison Keys w tej fazie turnieju zagra jeszcze z inną Amerykanką Amandą Anisimovą i Rosjanką z paszportem Kazachstanu – Jeleną Rybakina.

Z kolei w Grupie Steffi Graf wystąpią: liderka rankingu światowego, Białorusinka Aryna Sabalenka, Amerykanki Coco Gauff i Jessica Pegula oraz Włoszka Jasmine Paolini.

Do półfinałów awansują po dwie najlepsze zawodniczki z każdej z grup. Turniej w „King Saud University Indoor Arena” zakończy się 8 listopada.

Bilans Igi Świątek:

* z Madison Keys: 5-2.

Szczególnie bolesną porażkę Polka poniosła w styczniu tego roku w półfinale Australian Open.

* z Amandą Anisimovą: 1-1.

Oba mecze panie rozegrały w tym roku i najpierw Polka rozgromiła rywalkę 6:0, 6:0 w finale Wimbledonu, a następnie Amerykanka zrewanżowała się w ćwierćfinale US Open, wygrywając 6:4, 6:3.

* z Jeleną Rybakina: 6-4.

W tym roku tenisistki spotkały się czterokrotnie i za każdym razem lepsza była Polka.

Już w ubiegłym roku triumfator turnieju kończącego sezon w wykonaniu tenisistek, Coco Gauff, zarobiła w siedem dni oszałamiające 4 805 000 dolarów! To największa premia finansowa w historii kobiecych rozgrywek tenisowych. Nagroda

byłaby wyższa o kolejne 350 000 dolarów, gdyby Amerykanka nie przegrała jednego meczu w fazie grupowej (z Czechką Barborą Krejčíkovą, co oznaczało wyeliminowanie... Igi Świątek).

Zatem w ubiegłym roku Coco Gauff mogła za zwycięstwo odebrać czek nawet na 5 155 000 dolarów (335 000 \$ za sam udział w turnieju + 1 050 000 \$ za trzy zwycięstwa grupowe – każde „warte” 350 000 \$ + 1 270 000 \$ za zwycięski półfinał + 2 500 000 \$ za zwycięski finał!).

Ubiegłoroczna pula nagród wynosiła 15 250 000 USD. W tym roku jest większa o 250 000 \$.

4 805 000 dolarów Amerykanki Coco Gauff to najwyższa jednorazowa wypłata w historii kobiecego tenisa.

Wcześniej rekordzistą był Serb Novak Djoković, wygrywając w hali „Pala Alpitour” w Turynie męski Masters w 2022 roku – zainkasował wówczas 4 740 000 dolarów.

Wśród kobiet największą premią – 4 420 000 dolarów – przypadła Australijce Ashleigie Barty po zwycięstwie w WTA Finals w Shenzhen w 2019 roku.

Jaka kasa w tym roku?

Pula nagród wzrosła do 15 500 000 dolarów, z czego singlistki mają do podziału 12 400 000 „zielonych”, a deblistki 3 100 000 dolarów.

Tenisistka, która wygra WTA Finals 2025, będąc niepokonaną w imprezie, może liczyć na rekordową wypłatę 5 235 000 dolarów!!! Oto składowe tej premii:

* 340 000 \$ za sam udział;

* 355 000 \$ za każdą wygraną grupową (w sumie 1 065 000 \$);

* 1 290 000 \$ za wygrany półfinał,

* 2 540 000 \$ za wygrany finał.

W przypadku wygrania zawodów, ale z jedną porażką grupową, najlepsza tenisistka zainkasuje 4 880 000 dolarów...

©P



Iga Świątek wygrała turniej WTA Finals w 2023 roku w Cancún. Na korcie zarobiła dotychczas 42 945 490 \$

SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

W weekend rozegrane zostaną mecze w czwartej lidze na Pomorzu.

Program 14. kolejki: Gryf Wejherowo - Jaguar Gdańsk (niedziela, godz. 11), Bytovia Bytów - Gedania Gdańsk (piątek, godz. 18), Powiśle Dzierzgoń - Grom Nowy Staw (niedziela, godz. 12),

Czarni Pruszcz Gdański - KP Starogard Gdański (niedziela, godz. 12), Pomezania Malbork - Stolem Gniewino (piątek, godz. 19), Wierzyca Pelplin - Anioły Garczegorze (niedziela, godz. 14), Piast

Człuchów - Gryf Słupsk (niedziela, godz. 13), Sokół Bożepole Wielkie - Chojniczanka II Chojnice (niedziela, godz. 13), Pogoń Lębork - Arka II Gdynia (niedziela, godz. 14). (stan)

PIŁKA NOŻNA

Chojniczanka Chojnice zagra na wyjeździe.

Chojniczanka Chojnice zagra w Sosnowcu z Zagłębiem w meczu drugiej ligi. Początek spotkania dziś o godz. 20.30. (stan)

Lechia z mękami przeszła Puszczę

Paweł Stankiewicz
Niepołomice**PIŁKA NOŻNA. Lechia Gdańsk musiała się mocno namęczyć, żeby awansować do 1/8 finału STS Pucharu Polski. Losowanie kolejnej rundy we wtorek.**

John Carver, trener Lechii, zapowiadał zmiany w składzie Lechii na mecz z Puszczą, ale nie miało być ich aż tak wiele. W sztabie wszyscy jednak pamiętają o bardzo ważnym spotkaniu z Radomiakiem, które rozegrane zostanie w Gdańsku już 3 listopada.

- Musimy szanować rywala i podejść do meczu profesjonalnie i skoncentrowani oraz z właściwym nastawieniem mentalnym. Nikt w zespole nie uważa, że to będzie łatwy mecz. Będzie kilka zmian w składzie, ale to nie będzie rewolucja. Musimy też brać pod uwagę sprawy zdrowotne. Monitorujemy sytuację i na pewno damy odpocząć tym zawodnikom, którzy będą tego potrzebować. Będziemy musieli uważać z liczbą zmian na mecz z Puszczą, bo chcemy wygrać i awan-

sować do kolejnej rundy - zapowiadał Carver.

Tymczasem trenerzy dokonali aż ośmiu zmian w składzie w porównaniu do spotkania z Rakowem Częstochowa. Miejsce w podstawowej „11” zachowali tylko Alex Paulsen, Iwan Żelizko oraz Tomasz Neugebauer. To oczywiście odbiło się na grze gdańskiego zespołu. Akcje były niemrawe i brakowało dokładności, a przez to okazji bramkowych. To Puszcza była bliżej objęcia prowadzenia w tym spotkaniu. Olaf Korczakowski oddał z bliska dwa strzały, ale futbolówka nie chciała wpaść do siatki. Po błędzie Maksyma Diaczuka jeszcze lepszą szansę miał Korczakowski, który znalazł się sam na sam z Alexem Paulsenem, ale nie zdołał pokonać bramkarza białozielonych. Tuż przed przerwą Iwan Żelizko uderzył z rzutu wolnego i to był pierwszy celny strzał ze strony gdańskiego zespołu w tym spotkaniu.

W drugiej połowie Lechia ruszyła do zdecydowanych ataków i szukała gola, żeby rozstrzygnąć to spotkanie. Bardzo dobrą akcję zakończoną strzałem przeprowadził Bohdan Wjunnyk, ale Michał Walski



Piłkarze Lechii zwycięstwo zapewnili sobie w dogrywce

wybił piłkę z linii bramkowej. Trener Carver chciał uniknąć dogrywki, więc wpuszczał na boisko dwie największe gwiazdy zespołu, czyli Tomasza Bobacka i Camilo Menę. Słowacki napastnik szybko miał okazję bramkową, ale Perchel odbił piłkę po jego strzale. Z rogu dośrodkował Żelizko, a celnym

strzałem popisał się Maksym Diaczuk, który strzelił pierwszego gola w barwach Lechii. Białozieloni mieli upragnione prowadzenie, ale zamiast kontrolować mecz, to pozwolili gospodarzom wyrównać, a piłkę do siatki skierował dziesięć minut później rezerwowy Christopher Simon. Żadna z drużyn

nie rozstrzygnęła meczu, więc sędzia Paweł Raczkowski zarządził dogrywkę.

Decydująca sytuacja w meczu miała miejsce w drugiej połowie dogrywki, kiedy po strzale Michała Głogowskiego piłkę ręką zagrał Radosław Kanach. Sędzia obejrzał sytuację na monitorze i podyk-

tował rzut karny, który na zwycięskiego gola dla Lechii zamienił Bobcek. Jeszcze w samej końcówce trzeciego gola zdobył Aleksandar Cirković.

- Jak się dokonuje tylu zmian, to jest hazard i ryzyko. Rozmawialiśmy tym, żeby dać szansę piłkarzom, którzy mniej grają. Mecz był fizyczny, a właśnie takiego się spodziewałem. Jak przyjeżdżasz do pierwszoligowca, to musisz być silny mentalnie. Były momenty lepsze i gorsze w naszym wykonaniu, ale najważniejszy jest awans. Oczywiście nie cieszę się, że graliśmy dogrywkę - powiedział trener Carver. ©©

Puszcza Niepołomice - Lechia Gdańsk 1:3 (0:0, 1:1)**Bramki:** 0:1 Maksym Diaczuk (64), 1:1 Christopher Simon (74), 1:2 Tomasz Bobcek (115-karny), 1:3 Aleksandar Cirković (120+2)**Puszcza:** Perchel - Mroziński, Piekarski, Solowiej (61 Barczak), Przybyłko (74 K. Stepien) - Korczakowski (61 Simon), Walski (M. Stepien), Kanach (Francois (61 Nascimento) - Basse (66 Iwao)**Lechia:** Paulsen - Wójtowicz, Olsson, Diaczuk, Kalahur - Sezonienko (61 Mena), Żelizko, Neugebauer (110 Kapić), Wjunnyk (61 Cirković) - Awad Alla (99 Głogowski) - Kurminowski (61 Bobcek)**Sędziował:** Paweł Raczkowski (Warszawa)
Widzów: 1100

Arka Gdynia leci samolotem, żeby wydrzeć punkty Górnikowi Zabrze

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl**PIŁKA NOŻNA. Arka chce w końcu wygrać spotkanie wyjazdowe w tym sezonie, ale zadanie w Zabrzu będzie ogromnie trudne. Zatrzyma lidera PKO Ekstraklasy?**

Przed piłkarzami Arki bardzo trudne zadanie. Drużyna potrzebuje zwycięstw, aby uciekać od strefy spadkowej w PKO Ekstraklasie. W tej chwili przewaga wynosi pięć punktów, ale cały czas trzeba ją budować, aby jak najszybciej zapewnić sobie ekstraklasowe utrzymanie.

Arka musi pokazać jakość w meczach wyjazdowych. W siedmiu meczach PKO Ekstraklasy w tym sezonie poza Gdynią zdobyła tylko jeden punkt, strzeliła jednego gola, a straciła ich aż szesnaście. Autorem jedynej bramki był Edu Espiau, który trafił do siatki



Tomasz Bobcek strzelił gola w Gliwicach i w kolejnym meczu też chce pomóc Lechii wygrać mecz

w przegranym spotkaniu z GKS-em Katowice. Co ciekawe, żółto-niebiescy jedyny punkt na wyjeździe zdobyli w Warszawie, gdzie bezbramkowo zremisowali z Legią. Skoro postawili się tak silnemu rywalowi, to może powtórzą to w Zabrzu.

Górnik jest niespodziewanym liderem w PKO Ekstraklasie, ale drużyna naprawdę dobrze prezentuje się na boisku. Bilans domowy to pięć zwycięstw i dwie porażki, więc wiadać, kto będzie faworytem tego spotkania. Ousmane Sow to ten piłkarz Górnika, na którego trzeba uważać. W tym sezonie strzelił już sześć goli. Zdecydowanie rozkręca się Maksym Chłań, były zawodnik Lechii Gdańsk. Arka musi zatem pokazać swoją konsekwencję i odpowiedzialność w grze defensywnej, ale dodać do tego także atuty w ofensywie. Wtedy będzie mogła myśleć o korzystnym wyniku w Zabrzu. Piłka-

rze sami czują niedosyt po meczach wyjazdowych, więc w Zabrzu na pewno będą zdeterminowani, żeby walczyć o komplet punktów.

Przed sztabem szkoleniowym i drużyną teraz trudne zadanie, żeby Arka zaczęła wygrywać także na wyjazdach. W siedmiu meczach zdobyła tylko jeden punkt.

- Składa się na to szereg rzeczy. Wprowadziliśmy kilka zmian, a na mecz do Zabrza lećmy samolotem. Z Piastem dowieźliśmy zwycięstwo dzięki temu, jak zawodnicy pracowali, ale w Białymstoku zegraliśmy lepszy mecz z piłką. Mam nadzieję, że z naszą pomocą los się odwróci i w niedzielę zdobędziemy punkty na wyjeździe - powiedział Dawid Szwarga, trener Arki.

Mecz Arki Gdynia z Górnikiem w Zabrzu rozpocznie się w niedzielę o godz. 12.15. Transmisja w Canal+ Sport 3. ©©